Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 31 (1427) ROK XXVIII 3 SIERPNIA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

■ „Wielki las" Zbigniewa Nienackiego
■ Uwagi o przyszłości
■ Disco w pokrzywach
■ Inicjacja
■ Kamikadze

M—dla córeczki (2)

EDWARD BRYL

29 czerwca 1985 roku zapadł wyrok w Sądzie Wojewódzkim w Łodzi w Wydziale I Cywilnym:

„Unieważnia się przydział lokalu mieszkalnego nr 86, przy ul. Tatrzańskiej 85 dokonany w dniu 2 listopada 1983 r. przez Sp. Mieszkaniową „Zarzew" w Łodzi na rzecz Jolanty Lewandowskiej córki Edwarda".

Sąd stwierdził w uzasadnieniu, iż przydział zapadł niezgodnie z zasadami, normami współżycia społecznego, które zostały jawnie pogwałcone przez wyżej wymienioną spółdzielnię mieszkaniową.

Reportaż „M dla córeczki" zamieszczony w „Odgłosach" nr 19 z 85.05.11, szczegółowo donosił o okolicznościach, w jakich nastąpiło w SM „Zarzew" owo niefortunne posunięcie. Zanim doszło do sprawy sądowej, Prokurator Wojewódzki został zobowiązany do wyszukania ludzi oczekujących na mieszkania, którzy znajdują się w warunkach znacznie gorszych niż córka prezesa J. Lewandowska. Wystąpili oni na obu rozprawach 24.V. i 19 czerwca 1985 r. w charakterze świadka.

Znamienną sprawą dla całego procesu był fakt, iż pełnomocnik SM „Zarzew", jak również obrońca pozwanej J. Lewandowskiej uważali, iż nie w spółdzielni „Zarzew" zostały naruszone zasady współżycia społecznego, lecz w Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Obydwaj panowie wybielali swoich mocodawców, jakby nie na posiedzeniu w SM „Zarzew" z udziałem czynnika społecznego dokonano owego przydziału i w dodatku wbrew woli prezesa i jego *córki... Podczas gdy pierwszy zwyczajnie wymógł, nieważne jakimi sposobami*, na członkach Zarządu *i Rady Nadzorczej SM „Zarzew" i* podpisał ów przydział, oraz *zarządził kapitalny* remont w lokalu, dokładniejszy niż zazwyczaj, a córeczka po prostu wprowadziła się. Szczególnie rażąca i wysoce nieetyczna była postawa wobec innych oczekujących na mieszkania spółdzielców.

Bożena Łuczyńska w WS. Mieszkaniowej posiada zgromadzony pełny wkład na M-3 od roku 1976. Do chwili obecnej mimo starań nie otrzymała mieszkania. Ostatni raz składała wniosek o przyspieszenie w marcu 1985 roku. Czyniła przedtem to wielokrotnie, zawsze otrzymywała odpowiedź negatywną. Znajduje się w bardzo trudnych warunkach. Mieszka wraz z dzieckiem i mężem u teściowej w dwóch pokojach z kuchnią o powierzchni 28 m. kw. Oprócz teściowej, jej przyjaciela, w lokalu tym zamieszkują dwaj bracia męża, żonaci „dochodzący" do swoich żon... Zajmuje wraz z dzieckiem, mężem i bratem męża pokój o powierzchni 12 m kw. Prosiła o jakiekolwiek mieszkanie. Otrzymała odpowiedź, że uzyska je nie wcześniej niż w roku 1990, o żadnym przyspieszeniu nie mogło być nawet mowy, cienia nadziei...

Łucja Hynas również posiada zgromadzony pełny wkład na M-3 od 1976 roku. Wielokrotnie składała wniosek o przyspieszenie, odpowiedź niezmiennie była negatywna. Ostatnio prosiła o mieszkanie rotacyjne, też nie otrzymała. Ma ciężko chorego męża, który jest od kilku lat na rencie inwalidzkiej. Mieszka na strychu w starym drewnianym domku. Wilgoć, do pokoju o pow. 8 m. kw. wchodzi się po drabinie, ubikacja na dworze, woda na ulicy... Nie ma żadnych wymagań, chce otrzymać jakiekolwiek mieszkanie.

Maria Banacińska od roku 1980 stara się o przyspieszenie przydziału mieszkania. Od 1977 r. posiada zgromadzony wkład na M-3. Mieszka u babci męża w jednej izbie, bez żadnych wygód. Lokal 16 m. kw. zamieszkuje staruszka, 81 lat, mąż i pięcioletnia córka. Ojciec rodziny kończy studia, dorabia po pracy. W izbie nad bramą zimno, wilgoć... Wielokrotnie prosiła o przyspieszenie przydziału mieszkania.

Państwo Majchrzakowie zajmują dwie małe izby. Przeciekający dach, okna zupełnie wypaczone, popękane, zawilgocone ściany. W tym mieszkaniu wychowują dwie córeczki w wieku 13 i 7 lat. Na nowe lokum oczekują już ponad 9 lat. Do Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej pisali wielokrotnie.

Mówi Bożena Niewiadomska:

5

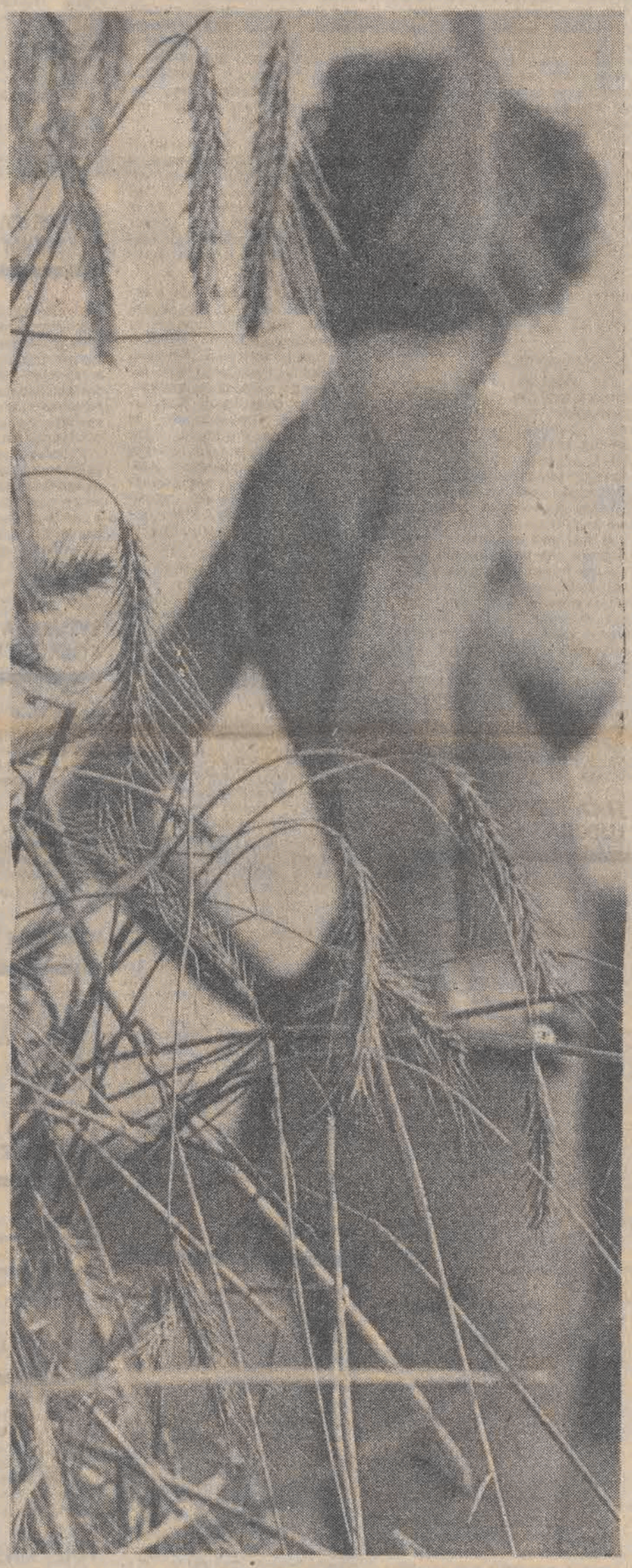

Już od jutra w kioskach „Ruchu"

„Śmierć higieniczna"

— tom opowiadań SF z „Biblioteki Odgłosów"

Twardsze prawo

Rozmowa z dr JACKIEM RZĄDKOWSKIM zastępcą Prokuratora Wojewódzkiego w Łodzi.

1 lipca 1985 r. weszły w życie dwie ustawy z zakresu prawa karnego, które to ustawy zostały uchwalone przez Sejm 10 maja tego roku. Proszę powiedzieć naszym Czytelnikom, co spowodowało, że prawo karne zostało tak bardzo zaostrzone i czym różni się od tego, które obowiązywało dotąd?

— Proszę bardzo. Otóż pierwsza z tych ustaw jest ustawą o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach i ta ustawa wprowadza do przepisów kodeksu postępowania karnego i do kodeksu wykroczeń trwałe zmiany, a więc takie, które będą obowiązywać bezterminowo. Natomiast równolegle weszła w życie również 1 lipca 1985 r. druga ustawa nosząca nazwę „Ustawy o Szczególnej Odpowiedzialności Karnej", która jest aktem prawnym o charakterze przejściowym, bowiem będzie obowiązywała przez trzy lata, do końca czerwca 1988 roku.

Pierwsza ustawa, która wprowadza trwałe zmiany w kodeksie karnym, jak również i ta druga, są odpowiedzią na wielokrotnie zgłaszane postulaty przez społeczeństwo czy to na spotkaniach czy zebraniach. Uważa się bowiem powszechnie, że istnieje potrzeba zaostrzenia represji karnej wobec faktu, iż przestępczość, niestety, wykazuje tendencję zwyżkową. Podnoszono szczególnie kwestię zwiększenia dolegliwości ekonomicznej w stosunku do sprawców przestępstw po to, aby przestępstwo uczynić nieopłacalnym.

Odpowiedzią na te postulaty jest zwiększenie kary grzywny, która jest wymierzana w postępo-

10

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(2)

Rycerz Czerwonego Krzyża

1.

Więc, co tu gadać o kulturze, o inteligencji, o czystości obyczajów i języka?

Nigdzie, poza naszą kochaną Ojczyzną, nie popełnia się przestępstw jako sztuka dla sztuki — bez motywu, bez nadziei zysku, bez realnej potrzeby zemsty. Nigdzie nie oszpeca się i nie demoluje tego, co jest bezsporną własnością społeczną, a więc pociągów, tramwajów, autobusów, domów prywatnych i gmachów użyteczności publicznej, ławek w parku i wolno stojących kabin telefonicznych, które gromady rodzimych Hunów i Wandali wymazały z mapy miasta. Nigdzie, ani na Wschodzie, ani na Zachodzie, naród nie podcina gałęzi na której siedzi.

Jeśli więc Polacy chcą moralnej i kulturalnej odnowy, muszą zacząć od rzeczy najprostszych — nie od załamywania rąk nad katastrofalnym stanem języka, tylko nad katastrofalnym stanem ustępów, nie od biadoleń na temat obrzydliwej architektury bloków, tylko od troski o ich mury i bramy, o ich klatki schodowe, windy, piwnice i śmietniki. Kary za okaleczone tynki, powybijane okna i zdewastowane poręcze powinny być tak wysokie, jak za ciężkie włamania i gwałty, w wypadku zaś, kiedy popełniają owo społeczne harakiri dzieci, płacić za szkody powinni rodzice — może bardziej by wówczas dbali o wychowanie swoich synów i córek.

2.

Chłopak z puszką Czerwonego Krzyża na piersi pracował spokojnie i metodycznie. Dzwonił do wszystkich po kolei mieszkań na piętrze, a potem schodził na niższe piętro i znowu dzwonił do wszystkich po kolei mieszkań, czekając na to jedno — jedyne, otwarte i puste, w którym mógłby dokonać poważniejszej kradzieży.

W puszce dźwięczały już pieniądze. Było także kilka banknotów o niewysokich nominałach. Polacy mają dobre i szlachetne serca:

— O co chodzi, kawalerze? — zagadywali Rycerzyka panowie i panie z Manhattanu.

— Jestem z Cerwonego Krzyza — seplenił chłopiec i potrząsał znacząco puszką.

— To widzę, ale na co zbierasz?

— Na Muzynów w Angoli, bo teraz jest susa, strasna susa.

— W Angoli?

— Tak.

— Nie w Etiopii przypadkiem? — dziwili się niektórzy. — W Angoli, to była rewolucja.

— Ale susa tez była — mówił z dużą pewnością siebie Rycerz.

— Ano, może i tak... — mamrotali niewyraźnie mieszkańcy Manhattanu i wciskali do puszki wedle stopy życiowej i współczucia.

Wąską i mroczną klatką schodową, nie tą, którą kursowały dwie, szybkobieżne windy, lecz tą, która była przeznaczona jako wyjście awaryjne na wypadek pożaru — tfu! — czy też innego nieszczęścia, opuścił się Rycerz na kolejne, niższe piętro.

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2251. P-2.

Przegląd prasy

Zdarza się, że niektóre poglądy, funkcjonujące w naszym obiegu publicznym, wykazują zdumiewającą trwałość, zda się nawet, iż mają żywot wieczny. Tak dzieje się na przykład z opinią, że

WŁADZA NIE LUBI KRYTYKI

Nikt rozsądny takiemu poglądowi, wyrażonemu np. na gruncie najzupełniej nawet towarzyskim, nie zaprzeczy, gdyż naraziłby się na śmieszność co najmniej, jeżeli nie na całkowitą anatemę u ekstremistów (jeżeli przebywa z takowymi w towarzystwie...). Publicznie natomiast chętnie takiemu poglądowi zaprzeczają funkcjonariusze władzy, ale tylko do czasu...

Ostatnio o reakcjach ludzi utożsamianych z władzą na krytykę wypowiedział się Stanisław Kwiatkowski, dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej, w „Polityce" (nr 30 — 85.07.27 — „Krytyka i wiarygodność"). Domyślam się, dlaczego... Z tonu wypowiedzi pułkownika Kwiatkowskiego zaczyna bowiem „wyglądać" smutna pewność, towarzysząca niegdyś posłańcom, kierowanym do satrapy czy imperatora ze złymi wieściami, że w nagrodę dadzą głowę pod miecz albo zawisną na najbliższym drzewie.

Kwiatkowski podaje, że z raportów jego Centrum wynika, iż *„co najmniej połowa społeczeństwa wypowiada się krytycznie o stanie gospodarki, o sposobie sprawowania władzy, o polityce w ogóle"*. Przy czym nie jest to krytyka o nastawieniu wyłącznie opozycyjnym, głoszona wyłącznie w antyustrojowych intencjach. Takiej jest — zdaniem Kwiatkowskiego — zaledwie kilka procent. Przedmiotem krytyki najczęściej są zjawiska niesprawiedliwości społecznej, zdarzenia i działania antydemokratyczne, nieprawdziwe informacje, arogancja władzy (dotyczy administracji lokalnej na ogół), spekulacja, zła organizacja pracy, bałagan i marnotrawstwo.

„Nie powinno to być powodem do zmartwień dla rządu. Czymże martwić się — pisze Kwiatkowski — jeśli to, co się potępia, co jest przedmiotem krytyki, jest antysocjalistyczne? I w tym sensie, w takim stopniu nasze społeczeństwo stało się już socjalistyczne". Podzielam ten pogląd. Tak, na ogół nie zdajemy sobie sprawy z tego jak głęboko liczne ideały socjalistycznego ustroju społecznego tkwią w naszej świadomości. Tyle że tkwią w niej osobno, nie jako system.

Nie ulega wątpliwości, że kampania wyborcza będzie

OKRESEM WZMOŻONEGO KRYTYCYZMU

Właśnie w imię wypracowania rzetelnego programu dla przyszłego parlamentu. Dlatego zgadzam się z Kwiatkowskim, gdy pisze:

„Opowiadam się za tym, żeby stymulować, nagłaśniać, organizować krytyczne myślenie i wypowiedzi. Przejąć inicjatywę. W pierwszej kolejności i najłatwiej zrobić to w propagandzie, w polityce informacyjnej, w środkach masowego przekazu. Niestety, propaganda przez nas uprawiana nie potrafi wielu ludzi przekonać za czym być powinni. (...) Połowa społeczeństwa, o której mówiłem, potrzebuje argumentacji wielostronnej, a nie jednostronnej, czarno-białej. Chce być przekonana, chce mieć luksus wyboru. Propaganda musi dać ujście temu krytycyzmowi dać się ludziom wygadać, umożliwiać kompromitacje poglądów skrajnych, szkodliwych i głupich."

No i pięknie. Sam czuję się winny; tylko że od takich konstatacji i przygan oraz pouczeń nasza propaganda nie zmieni się nigdy — do tego potrzebny jest swoisty klimat polityczny oraz pewne — minimalne zresztą — gwarancje stałości zasad porządkujących wzajemne stosunki między dysponentami propagandy a jej wykonawcami. A pułkownik Kwiatkowski wie o tym równie dobrze jak ja czy ktokolwiek inny, w tym fachu pracujący.

Jeszcze ciekawiej prezentują się poglądy Kwiatkowskiego na temat „rządowych" reakcji na krytykę i w ogóle na wyniki badań opinii. Oto po zdaniach: *„Kto obserwuje pracę rządu, zauważył, że „góra" chce słuchać, co mówią na „dole". Jest otwarta na propozycje, konsultacje, odpowiada na krytykę prasową i listy obywateli, analizuje opinie zbierane przez wyspecjalizowane instytucje i zespoły opiniująco-doradcze"*, pisze on tak: *„Zdarza mi się z racji pełnionych obowiązków słuchać „ludzi na stanowiskach", utożsamianych właśnie z władzą. Zauważyłem, niestety, że trafiają się wśród nich tacy, którzy mają do instytucji skarg i listów, do krytyki prasowej stosunek nazbyt osobisty, tzn. prawie się obrażają, czują się jakby osobiście dotknięci, najchętniej ani by tego nie słuchali, ani nie czytali „wiedzą swoje", „wiedzą lepiej". Widać ich zdenerwowanie albo dobroduszną pobłażliwość, gdy przychodzi mówić o krytyce społecznej. (...) podobnie reagują owi dostojnicy na wyniki sondaży opinii społecznej — z wyraźną rezerwą, albo z pobłażaniem („znamy, znamy") i nonszalancją („nic nowego, szkoda czasu") albo ze zniecierpliwieniem („czy nie za wiele już tych krytykantów") albo — co gorsza — skupiają się na tym, jakby te wyniki zakwestionować..."*.

No więc jak to jest — lubi władza krytykę czy nie? Parunastoletnie uczestnictwo w życiu publicznym i oglądanie świata, jakim jest w rzeczywistości, pozwala mi sformułować następującą modyfikację tezy o stosunku władzy do krytyki: Władza zasadniczo, programowo i teoretycznie lubi krytykę, pod warunkiem wszakże, że nie dotyczy ona bezpośrednio osoby na ten temat się wypowiadającej bądź kogokolwiek z kręgu jej przyjaciół, współtowarzyszy, czy w ogóle ludzi w sprawowanie władzy zaangażowanych, wyjąwszy (wcale częsty) przypadek, gdy akurat osobą krytykowaną (lub sprawą krytykowaną, za którą osoba owa odpowiada) jest ktoś, kto z dowolnych przyczyn pozostaje w konflikcie z wypowiadającym się o swej miłości do krytyki. I taka jest prawda, bo

TAKA JEST NATURA LUDZKA.

Doprawdy rzadkie jest połączenie szczególnej wrażliwości na krytykę z zupełnym wyzbyciem się miłości własnej, tak aby deklaracje ludzi władzy były do końca wiarygodne. Choć muszę przyznać, że i to się zdarza...

Szczególnie ważne słowa na temat krytyki padły ostatnio nie z żadnej oficjalnej wysokiej trybuny, ani nie użyto ich w publicystyce — znalazły się w wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego, dotyczącym sprawy skargi „Tygodnika Powszechnego" na decyzję Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk zakazującą druku krytycznego tekstu o zamierzonej zmianie przepisów prawa karnego. (Uzasadnienie opublikowała „Rzeczpospolita" — nr 170 — 85.07.24 i „Tygodnik Powszechny" — nr 30 — 85.07.28).

O samej sprawie pisać nie zamierzam — dość powiedzieć, że sąd oddalił skargę dopatrując się w treści zamierzonej publikacji oczywistego przestępstwa — mianowicie poniżenia naczelnego organu państwa (art. 270 § 1 i 273 kodeksu karnego). Ale przy okazji NSA sformułował kilka poglądów ogólnych, z których jeden szczególnie wart jest możliwie najszerszego upowszechnienia:

„Krytyka jest niezbywalnym elementem wszelkiej działalności publicznej. Tolerancja dla krytyki nie może być rozumiana jako subiektywnie odczuwana i okazywana „wielkoduszność" czy

GEST WOBEC PRASY.

Krytyka jest integralną częścią składową konstytucyjnej i ustawowej wolności słowa i druku, wymiany poglądów i prawa wypowiadania się w sprawach publicznych".

Wobec tego oglądu, który odtąd będzie miał swą wagę przynajmniej jako argument w sporach sądowych, ciekawe wydaje się być — jako uzupełnienie — zdanie wypowiedziane w słynnej już dyskusji „Odrodzenia" (nr 28 — 85.07.14) o języku polityki:

„W odczuciu społecznym władza nie ma monopolu na prawdę ani na słuszność. W moim rozumieniu „język polityki" musi być językiem komunikacji dwukierunkowej, a nawet wielokierunkowej. Chodzi więc nie tylko o to, jak dzięki komunikacji w języku politycznym władza ma dotrzeć do mas, wśród których jest rzeczywiście wielu zdezorientowanych, niepewnych i zabiąkanych, ale przecież nie brakuje też całkiem pewnych swej racji i dobrze zorientowanych. Lecz chodzi także o to, aby poprzez komunikację w języku politycznym różnymi drogami spowodować równoprawne i równosilne oraz nie zdeformowane docieranie opinii, racji i stanowisk w odwrotnym kierunku, także wtedy, gdy różnią się one od poglądów i zamierzeń władzy. Bez spełnienia tego warunku o żadnym dialogu nie może być mowy."

Pogląd ten wypowiedział prof. Mikołaj Kozakiewicz. I chwała mu za to. Ale co robić, gdy domniemani, a tak konsekwentnie bronieni przez profesora kandydaci do dialogowania nagle zaczynają mówić w różnych obcych językach?...

Przejdźmy wszelako do kwestii jakby lżejszych, bo i pora po temu. We wspomnianym tu już numerze „Polityki" Szymon Kobyliński wyjaśnia Erykowi Lipińskiemu, dlaczego nie interesuje go propozycja zrzeszenia się w Organizacji Karykaturzystów. Uzasadnienie to przypadło mi do gustu, jak zresztą cała tzw. publigrafika Kobylińskiego z pierwszej strony „Polityki" (w odróżnieniu od innych publicznych wypowiedzi tego artysty, które już to budzą śmiech pusty, już to litość i trwogę...).

Kobyliński stawia pytanie: czy zrzeszanie się służy kulturze? — zdecydowanie odpowiada: *„otóż moim skromnym zdaniem — w ogóle nie tyczy kultury, lecz*

PRZEŻYWIENIA ARTYSTÓW

w ciężkich okresach". To prawda — chodzi o legitymację w kieszeni, która dawałaby jakieś przywileje, kwitki na zupę i brystol... Nie ma nic wspólnego z twórczością, a *„sztuka nie byłaby i nie jest demokratyczna"* — grzmi, jakże słusznie, Kobyliński. *„Nie dyplom, nie samopoczucie, nie zajęcie nawet decydują o przynależności do grupy artystów, ale wylegitymowanie się dorobkiem, który jest (również w znaczeniu finansowym) pokupny. Który ma swoich odbiorców i zwolenników (...)"*.

Brawo, mistrzu Szymonie! Tak ma być właśnie: *„każdy na własny rachunek, w swoim imieniu, jak zawsze się działo w autentycznej sztuce, prawdziwym dziennikarstwie, w służeniu talentem ogółowi."*

A jeśli już o służeniu talentem ogółowi mowa, to spieszę donieść, że

PREZES BEDNARCZYK,

którego tarnowskie perypetie w Hucie „Laura", najpierw z władzami, a potem z załogą, która zbyt przywiązała się do wysokich zarobków, parokrotnie tu już wspominałem — odnalazł się, wypłynął!...

Jak on sam powiada, w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Wprost" z Poznania (nr 30 — 85.07.28) — *„zachowałem twarz, nie straciłem pieniędzy"* — przyjął propozycję firmy „Inter — Fragrances" i został pierwszym zastępcą jej dyrektora. Okazuje się, że rację miał generał Ryba, przewodniczący niegdysiejszej Centralnej Komisji Postępowania Porządkowego, który — zdejmując Bednarczyka z prezesury — powiedział, że jest on młodym zdolnym menedżerem, który w przyszłości będzie mógł objąć kierownicze stanowisko.

I fakt — co nie znaczy, że jest to wystarczający dowód na to, iż generałowie rzadko mylą się w ocenie przydatności ludzi, którzy wpadli im w ręce.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

W MOSKWIE ROZPOCZĄŁ SIĘ XII ŚWIATOWY FESTIWAL

Młodzieży i Studentów pod hasłem „O antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń". Bierze w nim udział 150 delegacji z krajów całego świata, reprezentanci organizacji międzynarodowych oraz liczni goście, a także ludzie przybyli do Moskwy na zasadach czysto turystycznych.

Po zgrupowaniu w Łodzi na festiwal udała się 600-osobowa delegacja polskiej młodzieży (warto pamiętać, że pojechali za własne, wypracowane przez wszystkie organizacje pieniądze...). Polscy delegaci biorą udział we wszystkich najważniejszych wydarzeniach politycznych i kulturalnych festiwalu, przede wszystkim w codziennych spotkaniach na forach i seminariach poświęconych podstawowym zagadnieniom międzynarodowym. Do dyspozycji delegatów i ich gości przekazano specjalny klub polski, podobno najciekawiej zaprogramowany spośród innych centrów festiwalowych, najprawdopodobniej dzięki systemowi komputerowemu, wyposażonemu w bogaty zestaw gier, przyciągających uwagę delegatów i mieszkańców Moskwy.

W imponującej uroczystości otwarcia festiwalu, w sobotę na łużnickim stadionie im. Lenina wziął udział sekretarz generalny KC KPZR Michaił Gorbaczow.

NOWELIZACJĘ USTĄWY O SZKOLNICTWIE WYŻSZYM

uchwalił m.in. Sejm podczas dwudniowych obrad w ubiegłym tygodniu. Konieczność nowelizacji ustawy, wprowadzającej pewne zmiany w stanie prawnym samorządności szkół wyższych (głównie w dziedzinie zwężenia uprawnień ciał kolegialnych na rzecz sprawnego zarządzania przez organy jednoosobowe) spowodowana została troską o dobro nauki i kształcenia oraz wychowywania młodych kadr dla gospodarki narodowej, troską o zapewnienie spokoju na uczelniach i o nadanie socjalistycznego charakteru procesowi edukacji inteligencji.

Podczas debaty poseł Edmund Osmańczyk zarzucił komisjom przygotowującym projekt nowelizacji zbytni pośpiech, uleganie naciskom ministra oraz niebranie pod uwagę opinii społecznych, w tym zwłaszcza Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a także zgłosił formalny wniosek o odłożenie prac do następnej kadencji. Wniosek został przez Sejm, po głosowaniu, odrzucony, zaś ustawę uchwalono zdecydowaną większością głosów (327 — za, 5 — przeciw i 9 — wstrzymujących się). Obszerne fragmenty debaty transmitowało radio i telewizja.

SYTUACJA GOSPODARCZA PO PIERWSZYM PÓŁROCZU

jest — według komunikatu GUS — w sumie niezbyt optymistyczna. Produkcja wzrosła tylko o 2 proc. w stosunku do tego samego okresu roku ubiegłego, a tempo wzrostu wydajności pracy nadal jest niższe od tempa wzrostu wynagrodzeń. Te ostatnie wzrosły przeciętnie o ok. 19 proc. w przemyśle osiągając średnio 21,5 tys. zł. Uwzględniając blisko 13-procentowy wzrost kosztów utrzymania, przyjąć można, że przeciętne wynagrodzenie realne wzrosło o ok. 5 proc. W rzeczywistości wzrost ten jest nader nierównomierny i dlatego sytuacja materialna części rodzin uległa, jak się szacuje pewnemu pogorszeniu. Katastrofalnie spadła ilość oddawanych mieszkań, 48,9 tys. mieszkań to zaledwie 83,4 proc. tego, co oddano do użytku w I półroczu 1984 roku.

RZECZNIK PRASOWY RZĄDU

minister Jerzy Urban w wywiadzie dla PAP powiedział: „Obywatele kształtują swoje przeświadczenia przede wszystkim w oparciu o obserwację faktów. Większe znaczenie ma to, co władza robi, niż to, co mówi. Jednakże rządowe programy, projekty ustaw, a także poczynania administracji państwowej są w moim przekonaniu lepsze, a realne dokonania większe, niż wyrażane o nich opinie znacznej części obywateli".

ROZPOCZĘŁA SIĘ PIERWSZA LIGA

piłkarska, a w niej nie najlepiej wystartowały do nowego sezonu przetrzebione przez wojsko, kary i kontuzje oba łódzkie kluby. Piłkarze „Widzewa" zremisowali 1:1 u siebie z lubelskim „Motorem", natomiast ŁKS przegrał w Chorzowie z „Ruchem" 2:1. Nie jest to wszakże powód do załamywania rąk — mamy skądinąd poważniejsze zmartwienia.

AFERA Z AUSTRIACKIMI WINAMI

dotknęła także i nas. Jak się okazuje, sprowadziliśmy pewne ilości (podobno około 300 ton!) tamtejszych win. Nie wiadomo, czy były one „uzupełniane" glikolem, gdyż u nas nie badano aż tak szczegółowo, a przez posmakowanie wykryć się tego ichniego „boryga" nie da. W każdym razie import wstrzymano, a nienaruszone butelki można zwracać do sklepów. Przestawiamy się na rynek hiszpański...

FINEZYJNE TRIKI REKLAMOWE

stosuje ostatnio „Polityka". Oto pismo zwróciło się do swoich czytelników z pytaniem, w jaki to mianowicie cudowny sposób zdobywają dla siebie bezcenne egzemplarze kolejnych numerów. Ponieważ jestem czytelnikiem tygodnika od 25 lat, odpowiadam — po prostu kupuję w dowolnym kiosku, w dowolnej porze dnia, w dowolny dzień tygodnia — jeżeli tylko kiosk jest otwarty, z czym ostatnio gorzej. Ale, przynajmniej w Łodzi, „Polityka" jest w ciągłej sprzedaży. Czas pomyśleć o reklamie lepszej niż poprzez sztuczne wywoływanie wrażenia niedostępności pisma. Byle nie metodami „Veto" — może po prostu robić „Politykę" nieco ciekawiej?

VICESEKATOR

Uwagi o przyszłości

WITOLD KASPERKIEWICZ

Nie ma potrzeby wyjaśniać, jak istotne znaczenie dla sterowania rozwojem gospodarki narodowej ma dobry plan, tj. plan umożliwiający najlepszą realizację głównych celów społeczno-gospodarczych przy optymalnym wykorzystaniu czynników wytwórczych i uwzględnieniu istniejących ograniczeń materialnych, technicznych i finansowych. Konieczność opracowania takiego planu wynika z faktu, że gospodarka polska stoi w obliczu ważnych i ostrych wyzwań rozwojowych wypływających z przyspieszenia światowego postępu naukowo-technicznego (rewolucji technologicznej) oraz aspiracji naszego społeczeństwa w sferze konsumpcji materialnej i niematerialnej (oświata, kultura itp.) Rozległy kryzys ekonomiczny wywołał, niebezpieczne dla perspektyw rozwojowych kraju, zjawisko powiększania się luki technologicznej między Polską a czołówką światową. Odzyskanie przez gospodarkę właściwego rytmu rozwojowego i równowagi jest nakazem chwili, gdyż w przeciwnym razie grozi nam prowincjonalizm techniczny, a w rezultacie brzemienny w skutki społeczne i polityczne dalszy regres cywilizacyjny. Asumpt do rozważań na temat zagrożeń i szans rozwoju społeczno-gospodarczego Polski w najbliższym okresie daje przedstawiony przez przewodniczącego Komisji Planowania przy RM w maju br. na posiedzeniu Sejmu PRL zarys koncepcji (w trzech wariantach) Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego na lata 1986—1990.

Wspomniany dokument nie jest projektem planu, lecz propozycją kierunków czy też szkicem koncepcji rozwoju gospodarki w najbliższym pięcioleciu. Dopiero po uwzględnieniu zgłoszonych podczas konsultacji społecznych wniosków i poprawek opracowany będzie projekt planu przedłożony następnie Sejmowi. Głównym celem wszystkich trzech wariantów koncepcji planu jest tworzenie i utrwalanie zdolności gospodarki do zrównoważonego efektywnego rozwoju. Konkretyzację tego hasłowo sformułowanego celu stanowią trzy najistotniejsze zadania stojące przed polityką gospodarczą w nadchodzącej pięciolatce, a mianowicie:

— osiągnięcie i utrwalenie równowagi rynkowej przy stałym wzroście spożycia z dochodów indywidualnych i niedopuszczeniu do pogorszenia stopnia zaspokojenia potrzeb w sferze konsumpcji zbiorowej;

— przyspieszenie modernizacji gospodarki, a zwłaszcza przemysłu, nawiązanie kontaktów ze światową nauką i techniką, stworzenie warunków do rozwoju procesów innowacyjnych sprzyjających wprowadzaniu do produkcji materiało- i energooszczędnych technologii i konstrukcji;

— zwiększenie ekspansji i poprawa efektywności eksportu oraz stworzenie warunków do zahamowania wzrostu zadłużenia.

Ocena propozycji zawartych w trzech wariantach wymaga uprzedniego komentarza dotyczącego rozumienia pojęcia „wariantu koncepcji". Otóż przedstawione w projekcie Komisji Planowania warianty koncepcji planu nie różnią się od siebie w sensie podejścia do strategii wykorzystania czynników wzrostu gospodarczego. Są to właściwie trzy odmiany jednej koncepcji strategicznej wyróżniające się tylko tempem wzrostu dochodu narodowego, inwestycji, poziomu konsumpcji, także skalą napięcia zadań w dziedzinie podniesienia efektywności produkcji.

W wariancie pierwszym, określonym mianem wariantu zaspokojenia minimalnych potrzeb społeczno-gospodarczych, zakłada się osiągnięcie w 1990 r. poziomu spożycia per capita z 1980 r. Spełnienie tego zadania oznacza wzrost spożycia per capita o 1,5 proc. średnio rocznie. To z kolei wymaga wzrostu dochodu narodowego wytworzonego o 16 proc. (3 proc. średnio rocznie), a podzielonego o 14 proc. (2,7 proc. średnio rocznie). Podstawowym warunkiem realizacji tego wariantu, jak również i pozostałych, jest położenie tamy procesom dekapitalizacji majątku trwałego, jego modernizacja, a w niektórych dziedzinach rozbudowa. Dla powstrzymania dekapitalizacji niezbędne są nakłady inwestycyjne w wysokości ok. 5,3 biliona zł, w okresie 5-lecia. Jednocześnie muszą być podjęte inwestycje, które powiększą majątek produkcyjny po roku 1990; wymagać to będzie nakładów w wysokości 1,05 biliona zł. Do tych kwot należy dodać nakłady na zbudowanie 1,15 mln mieszkań w wysokości 2,63 bln zł. oraz nakłady na infrastrukturę społeczną (oświata, lecznictwo itp.) wynoszące 0,62 bln zł. Całość nakładów inwestycyjnych w tym wariancie wynosi więc 9,6 bln. zł., co oznacza zwiększenie udziału inwestycji w podzielonym dochodzie narodowym z 18,3 proc. w 1985 r. do 20 proc. w 1990 roku.

Drugi wariant, któremu nadano nazwę wariantu przekroczenia bariery odtworzenia majątku trwałego i przyspieszenia wzrostu poziomu spożycia, zakłada uzyskanie średniorocznego tempa wzrostu spożycia per capita w wysokości 1,8 proc. i osiągnięcie poziomu spożycia z 1980 r. przed upływem 5 lat (prawie o rok wcześniej). Wariant ten wymaga wzrostu dochodu narodowego: wytworzonego o 19 proc. (3,5 proc. średnio rocznie) oraz podzielonego o 17,2 proc. (3,2 proc. średnio rocznie), a inwestycji do poziomu 10 bln zł., czyli podniesienia udziału inwestycji w podzielonym dochodzie narodowym do 21,1 proc. w 1990 r. Struktura nakładów inwestycyjnych jest podobna do struktury z wariantu I, z tym, że proponuje się przeznaczenie zwiększonych nakładów na rozbudowę majątku trwałego w sferze produkcyjnej (o 0,29 bln. zł.)

W wariancie trzecim, hasłowo określonym mianem wariantu przyspieszenia odbudowy poziomu spożycia i tworzenia lepszych warunków rozwoju po 1990 roku, proponuje się roczny wzrost spożycia per capita o 2 proc., co wymaga wzrostu dochodu narodowego wytworzonego o 21,5 proc. (4 proc. średnio rocznie) i podzielonego o 19,8 proc. (3,7 proc. średnio rocznie). Nakłady inwestycyjne wynoszą w tym wariancie 10,3 bln. zł, z tym, że lwią część przyrostu przeznacza się na sferę produkcji. Udział nakładów inwestycyjnych w podzielonym dochodzie narodowym osiąga poziom 22 proc.

Analiza wariantów koncepcji planu skłania do wniosku, że najbliższe pięciolecie będzie okresem bardzo powolnego wzrostu spożycia per capita; w przypadku wariantu I poprawa rzędu 1,5 proc. rocznie mieści się w granicach tzw. błędu statystycznego. A więc perspektywy podniesienia dobrobytu materialnego nie rysują się optymistycznie, poszczególne warianty cechuje duża wstrzemięźliwość w oferowanym wzroście spożycia. Dodać należy, że również proponowane dwa warianty wzrostu płac realnych mogą budzić rozczarowanie. Wariant I zakłada utrzymanie w dwóch pierwszych latach (1986—1987) realnego poziomu płac na poziomie roku 1985, a w następnych latach wzrost ok. 1,5—1,6 proc. rocznie. W wariancie II przyjmuje się wzrost płac realnych o ok. 1,5 proc. w ciągu wszystkich lat pięciolecia. Wariant I sprzyjałby, w opinii Komisji Planowania, szybszemu niż wariant II przywracaniu równowagi rynkowej.

Wobec propozycji nikłego wzrostu spożycia i płac niefortunne i mylące wydają się nazwy nadane omawianym wariantom. Określenie wariantu II sugeruje przyspieszenie wzrostu spożycia, gdy tymczasem wzrost ów ma być tylko o 0,3 proc. rocznie wyższy niż w wariancie I, któremu przecież dano nazwę wariantu „zaspokojenia minimalnych potrzeb społeczno-gospodarczych". W wariancie III operuje się, tak jak w II określeniem „przyspieszenie odbudowy poziomu spożycia". Owe nieprawidłowości terminologiczne, wprawdzie drugorzędne z punktu widzenia meritum problemu, mogą jednak rodzić zamęt u czytelników poszukujących treści adekwatnej do tytułu.

Zgodnie z zasadami ekonomii wzrost spożycia uzależniony jest bezpośrednio od wzrostu dochodu narodowego, a także od proporcji podziału dochodu na fundusz akumulacji i konsumpcji. Truizmem jest stwierdzenie, że „krawiec tak kraje, jak mu materii staje", a więc nie można więcej dzielić ani na bieżące, ani na przyszłe potrzeby niż się wytworzy. Krawiecka metafora nie oznacza, że założenia planistyczne zawarte w wariantach NPSG nie powinny budzić zastrzeżeń. Wręcz przeciwnie należy wytknąć dokumentowi Komisji Planowania zbytnią pasywność w atakowaniu problemów ekonomicznych, poddanie się obezwładniającej presji negatywnych uwarunkowań gospodarczych (inflacja, niedobory środków produkcji, zadłużenie, deficyt siły roboczej itp.). Zarzut pasywności został sformułowany przez posłów podczas debaty w Sejmie; podkreślono, że Komisja Planowania uwzględniła przede wszystkim uwarunkowania negatywne, nie doceniając w pełni możliwości, które przecież drzemią w naszej gospodarce, ale wymagają racjonalnego spożytkowania (np. kadry wykwalifikowane, zasoby surowcowe, osiągnięcia naukowo-techniczne na „półkach", inicjatywy lokalne społeczeństwa w dziedzinie infrastruktury etc.). Charakteryzując uwarunkowania rozwoju autorzy projektu koncepcji mimochodem wskazali na nieinwestycyjne i kapitałooszczędne możliwości zwiększenia produkcji i poprawy efektywności. Autorzy nadali temu formę krótkiego rejestru rezerw tkwiących w gospodarce; rezerw, których wykorzystanie pozwoli złagodzić dotkliwość barier w postaci niedostatecznego przyrostu zasobów siły roboczej (ok. 325 tys. w całym pięcioleciu), niewielkiego wzrostu podaży podstawowych surowców, paliw i energii oraz niedostatecznego importu.

Kluczowym problemem przyszłego pięciolecia będzie niewątpliwie działalność inwestycyjna mająca istotne znaczenie dla równoważenia gospodarki, efektywności produkcji i poziomu spożycia. Przewodniczący Komisji Planowania twierdzi, że rysem charakterystycznym przyszłej pięciolatki będzie zapoczątkowanie długofalowych zmian strukturalnych w gospodarce oraz modernizacja aparatu wytwórczego. Tymczasem założenia koncepcji planu zaskakująco lakonicznie traktują sprawę inwestycji.

Władze centralne, mimo licznych zapowiedzi, nie przeprowadziły prawdziwej rewizji listy inwestycji kontynuowanych. Przeciwstawiały się temu różne względy, z których największą rolę odegrały interesy resortowe oraz psychologiczna obawa spisania na straty obiektów inwestycyjnych już względnie zaawansowanych. W związku z tym niepokojem napawa fakt, że warianty planu 5-letniego nie proponują niczego nowego w kwestii inwestycji kontynuowanych. W koncepcji planu przyjęto bowiem strategię ich kontynuacji, co sprawia, że pod hasłem restrukturyzacji gospodarki będzie postępować utrwalanie starych, tradycyjnych struktur. Problem zmian strukturalnych wymaga jasnego określenia docelowego modelu struktury gospodarki narodowej i przedstawienia „ścieżek" dojścia do owego modelu. Utrzymywanie dotychczasowej materiało- i energochłonnej struktury gospodarczej, „pożerającej samą siebie", stawia pod znakiem zapytania realność założeń planu dotyczących zmniejszenia zużycia surowców i materiałów na jednostkę dochodu narodowego o: 6,1 proc. w wariancie I, 8,6 proc. w wariancie II i 10,3 proc. w wariancie III. Założony w planie spadek energochłonności produkcji ma wynieść, w zależności od wariantu, od 8,1 proc. do 12,3 proc. Są to zadania bardzo napięte, bezprecedensowe w porównaniu z dotychczasowymi długookresowymi tendencjami występującymi w naszej gospodarce.

Ocena realności zadań postawionych w dziedzinie oszczędności surowców, materiałów i energii rodzi pytanie dotyczące instrumentów, przy pomocy których władza centralna oddziaływać będzie na efektywność gospodarowania przedsiębiorstw. Co proponuje w tej materii dokument Komisji Planowania? Przede wszystkim obszerną listę tego, co należy robić, aby osiągnąć założone wskaźniki. Brak jest natomiast odpowiedzi na pytanie, jak to robić, czyli jakie zastosować instrumenty i mechanizmy, aby wyzwolić pożądaną efektywność gospodarowania. Wyjątek stanowi polityka zatrudnienia, dla której opracowano bogactwo instrumentów opartych zarówno na zachętach do podjęcia pracy przez bierne zawodowo grupy społeczeństwa, jak i działaniach restrykcyjnych mających zwiększyć dyscyplinę pracy i zmniejszyć fluktuację. W pozostałych dziedzinach instrumenty realizacji zadań przybierają formę postulatów i pobożnych życzeń. Bardzo zdawkowo został potraktowany problem rozwoju systemu funkcjonowania gospodarki w najbliższej pięciolatce, a więc problem upowszechnienia i egzekwowania zasad reformy gospodarczej. Nie jest tajemnicą, że proces ten napotyka na olbrzymie trudności obiektywne i subiektywne, nowy mechanizm rodzi się w bólach. Dotychczas stosowane instrumenty ekonomiczno-finansowe obarczone są wadą dysfunkcjonalności, tzn. że jedne instrumenty zmierzają do zaostrzenia reguł gry (utwardzenia pieniądza), zaś inne — liberalizują te reguły. Założenia planu ograniczają się jedynie do stwierdzeń, że „należy konsekwentnie usprawniać system", „powinno się rozwijać przedsiębiorczość" itp.

Dokument Komisji Planowania zawiera znacznie więcej niż przedstawiliśmy w tym szkicu dylematów i otwartych pytań. Ich rozstrzygnięcie wymagać będzie uwzględnienia preferencji ogólnospołecznych, które ujawnią się w procesie konsultacji założeń planu. Takim dylematem jest np. zrezygnowanie z części przyrostu spożycia na rzecz przyspieszenia budownictwa mieszkaniowego czy też propozycja wyższego tempa wzrostu dochodów indywidualnych kosztem wzrostu tzw. spożycia zbiorowego. Są to niesłychanie trudne dylematy ze względu na fakt, że założenia proponują „ascetyczne" wskaźniki wzrostu spożycia i płac realnych. Jak wobec tego można zastanawiać się nad dalszym ich uszczuplaniem? Debata na temat koncepcji planu powinna dać odpowiedź na pytanie, czy planiści uwzględnili wszystkie możliwości i rezerwy szybszego postępu, czy ich koncepcja nie jest obciążona filozofią minimalizmu ukrytą pod formułką konieczności respektowania realiów. Nie oznacza to, iż koncepcji tej należy przeciwstawić fantazyjną wizję dobrobytu materialnego czekającego Polaków w 1990 roku. Koniecznością jest jednak taka rewizja owego dokumentu, aby przy poszanowaniu twardych realiów gospodarczych, wprowadzić doń elementy nowatorskiego podejścia do dylematów ekonomicznych i rozwiązania gwarantujące mobilizację potencjalnych sił rozwojowych gospodarki narodowej.

Wybory zdrowego rozsądku

Spośród obywateli...

...o nieposzlakowanej postawie moralno-politycznej, zaangażowanych w działalności społecznej, dających rękojmię należytego wypełniania powierzonego mandatu dla dobra wyborców i całego społeczeństwa zgodnie z konstytucyjnymi zasadami ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — lud pracujący wybiera swoich przedstawicieli na posłów do Sejmu. Tak stanowi artykuł pierwszy ordynacji wyborczej.

Spośród obywateli — czyli spośród nas samych, mniej więcej 26 milionów wyborców. Wybrany może być każdy obywatel, któremu przysługuje prawo wybierania, jeżeli w dniu wyborów ukończył 21 lat — w ten sposób grono potencjalnych kandydatów zmniejsza się o tych między osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia oraz o pozbawionych prawa wybierania.

Nie sposób nie zauważyć, że kryteria przywołane przez ustawę mają charakter wymogów na poziomie **minimalnym**, poniżej którego już w samym doborze kandydatów z mocy prawa zejść nie wolno. Nieposzlakowana postawa, zaangażowanie społeczne, rękojmia należytego wypełniania powierzonego mandatu — to minimum wymagań wobec przyszłego posła, to te cnoty obywatelskie, od których „w górę" zaczyna się selekcja kandydatów. Aż do najlepszych, którzy będą jeszcze obdarzeni zaufaniem i autorytetem, wykażą zdolności (ponadprzeciętne!) nie tylko kierowania, ale i wsłuchiwania się w opinie innych, słowem: będą potrafili jednocześnie przewodzić i służyć. A przede wszystkim zdecydują się altruistycznie wyzbyć na długo bardzo wielu składników własnej prywatności — bowiem posłem jest się 24 godziny na dobę przez cztery lata, a bywa, że i kilka kadencji.

Ludzie wybrani do Sejmu muszą po prostu mieć szczególną osobowość — mocno osadzoną w powszechnie akceptowanych normach, a jednocześnie wyposażoną w wysokie kwalifikacje etyczne, intelektualne i polityczne. Warto w tym miejscu uświadomić sobie pewien specyficzny dualizm społecznej funkcji posła. Sejm oto, składający się tylko i wyłącznie z posłów, jest najwyższym organem władzy w państwie — ale tylko jako ciało działające wyłącznie kolegialnie. Poseł nie jest natomiast władzą, nie dzierży na własny rachunek jednej czterystaseśdziesiątej części władzy Sejmu, poseł jest tylko przedstawicielem obywateli, obdarzonym przez nich mandatem do sprawowania władzy, jedynie poprzez Sejm. Świadomość tego podwójnego usytuowania posłów w społeczeństwie musi wywierać wpływ na osobowość samych posłów, jak i na mechanizmy oraz ludzi uczestniczących w procesie ich proponowania i wybierania — głównie w postaci uświadomienia sobie wszystkich konsekwencji pełnienia szczególnej **służby społecznej** przez posłów.

Praktycznym tego wyrazem jest zgoda na kandydowanie. Sądzę wszakże, że winno to być coś więcej. Nie chodzi bowiem o samą bierną zgodę, bo odmawiać bez wyraźnych powodów nie wypada. Chodzi o aktywną chęć kandydowania, o poczucie własnej wartości i odpowiedzialności. Przyznać należy, że jest to niepolska właściwość obywatelska; panuje u nas bowiem etos niewychylania się, fałszywa skromność jako cnota, która prędzej czy później zostanie zauważona i nagrodzona („siedź w kącie..."). Przyznać należy, że praktyka naszego życia publicznego, utrącającą wszędzie i zawsze jednostki ponadprzeciętnie aktywne „same z siebie", wybitnie sprzyja upowszechnieniu postawy owej specyficznej bierności, gdy trzeba ubiegać się o funkcję publiczną z wyboru — ciągnie się to już od Piasta Kołodzieja, który też „nie chciał" władzy, co mu powszechnie przypisywano jako cnotę...

Tymczasem przedstawicielstwo, jako obywatelska funkcja społeczna i polityczna winno być aktywne, nie tylko w znaczeniu częstotliwości, jakości i wagi podejmowanych działań — przede wszystkim jako psychiczny stosunek reprezentanta do własnej funkcji. Trzeba tego chcieć, a nie tylko godzić się na posłowanie.

Oczywiście, moje żądanie jest nieco wygórowane wobec aktualnych standardów naszego, zbiorowego myślenia o sprawach publicznych. Ludzi aktywnie dążących do brania na siebie obowiązków i funkcji skłonni jesteśmy natychmiast podejrzewać o ukryte, osobiste i nieczyste intencje. Z przeszłych doświadczeń wynika, że nader często podejrzenia te bywały trafne... Nie oznacza to wszakże, iż musimy tkwić bez końca w tej zniewalającej atmosferze „polskiego kotła".

Z natury zadań, które sami przecież narzucamy najwyższemu organowi władzy, wynika, że będą w nim potrzebni ludzie obdarzeni politycznym temperamentem, organizatorzy życia społecznego, przywódcy i opiniotwórcze autorytety, krytyczni pozytywiści i reformatorzy. A więc ludzie, którzy już działają i dali się poznać większym grupom wyborców. Z tych właśnie względów tak ważne wydaje mi się wypracowanie, „dorobienie się" w najbliższej przyszłości przez organizacje uprawnione do zgłaszania kandydatur swoistej „parlamentarnej kadry rezerwowej", czyli grupy ludzi nie tylko przewidzianych do ewentualnej poselskiej kariery, ale wręcz do niej przygotowywanych. Chodzi o to, by uniknąć coczteroletniej, ad hoc montowanej akcji „nasz kandydat". Chodzi o to, by przedstawić do wyboru naprawdę najlepszych, sprawdzonych i wyposażonych w odpowiednią wiedzę o stosunkach społecznych, które przyjdzie im kształtować.

Posądzeń o „prywatyzację" parlamentarnej kariery oczywiście nie uda się wyeliminować łatwo i szybko. Ale czyż nie jest możliwe wyszukanie i zweryfikowanie autentycznych altruistów, jedynie dobro społeczne mających na względzie? Czyż nie jest możliwe prawdziwe przedstawianie funkcjonowania posła — tak, by ogół wyborców wiedział doskonale, że żaden to przywilej (poza może immunitetem), jeno, mówiąc nieco symbolicznie, „krew, pot i łzy"? Sądzę, że można...

Należy przy tym wszystkim zwrócić szczególną uwagę na oceny, subiektywny i nieostry charakter kryteriów ustanowionych przez prawo. Nieposzlakowana postawa moralno-polityczna na przykład nie ma wszak odpowiedniego wzorca, a systemy wartości w tej dziedzinie różne są w różnych środowiskach, zwłaszcza w kwestiach moralnych, tyczących prywatnej sfery życia ludzi. A przecież ewentualny kandydat nie będzie ani wolny od, ani chroniony przed publiczną penetracją jego intymności czy spraw ściśle osobistych. (Mieliśmy takie przykłady podczas ubiegłorocznych wyborów do rad narodowych). Jedynym praktycznym progiem wartościującym będzie tu chyba tylko brak sprzeciwu wobec kandydatury — najpierw konwentu wyborczego, potem obywateli na zebraniach konsultacyjnych.

Baczmy przeto, by nie popełniać błędów w wyborze (szczególna odpowiedzialność spoczywa tu na konwentach), chociaż samo prawo daje nam możliwość naprawienia tych błędów. Rzecz wszak nie w tym, aby mieć — w postaci trybu odwołania posła — gwarancję naprawienia skutków błędnego wyboru, lecz w tym, by błędów nie popełniać.

TOMASZ SAS

Czy bomba „A" zadecydowała o klęsce Japonii

TADEUSZ KAMIŃSKI

26 lipca 1945 r. Urząd Wojennych Informacji w Waszyngtonie opublikował tekst ultimatum dla rządu japońskiego, które przeszło do historii pod nazwą Deklaracji Poczdamskiej. W ultimatum tym szefowie rządów USA, Wielkiej Brytanii i Chin Czang Kaj-szekowskich powtórzyli żądanie bezwarunkowej kapitulacji Japonii jak również przedstawiono wiele postulatów M. in. wyeliminowania władzy tej części społeczeństwa, które popierało wojnę i podboje. Uprzedzono, że Japonia zostanie poddana okupacji do czasu wykorzenienia militaryzmu. Zbrodniarze wojenni mieli zostać ukarani. Żołnierzom, którzy złożą broń przyrzeczono prawo powrotu do domów. Rząd japoński zobowiązano także do spłacenia reparacji.

JAPONIA ODRZUCA ULTIMATUM

W ultimatum nie mówiono wprawdzie o możliwości użycia broni atomowej, ale za to kategorycznie przedstawiono rządowi w Tokio alternatywę: albo natychmiastowa i bezwarunkowa kapitulacja wszystkich pozostających do jego dyspozycji sił zbrojnych, albo Japonia ulegnie szybkiemu i całkowitemu zniszczeniu.

Następnego dnia, 27 lipca, wojskowe radio USA zakomunikowało Japonii treść ultimatum. Ostateczny jego termin upływał w ciągu najbliższych 24 godzin.

29 lipca 1945 r. z samolotów amerykańskich zrzucono nad Japonią miliony ulotek z ostrzeżeniami dla ludności cywilnej. Poza powtórzeniem niektórych żądań ultimatum z 26 lipca, ulotki zawierały także wykaz 11 miast japońskich, z których — jak zapewniano — przynajmniej cztery miały wkrótce zostać całkowicie zniszczone wskutek ataku powietrznego. W tej sytuacji, zdając sobie sprawę z przegranej, rząd japoński zwrócił się do ZSRR z prośbą o mediację. Józef Stalin jednak odrzucił ją, informując o tym Harry Trumana i Richarda C. Attleego w Poczdamie. 29 lipca (po południu) na spotkaniu z dziennikarzami japońskimi, premier Kantaro Suduki wyraził oficjalnie następujące stanowisko w kwestii alianckiego ultimatum:

...rząd (japoński — przyp. T. K.) nie widzi w nim doniosłej wartości i nie ma innego wyjścia, jak całkowicie zignorować je oraz zdecydowanie walczyć aż do zwycięstwa".

Jak wynika z relacji Harry Trumana, premier Suduki określił ultimatum jako *„absurdalne, zarozumiałe i niezgodne z rozwagą"*. Tego samego dnia radio japońskie podało, że rząd w Tokio nie przyjmuje warunków kapitulacji. Teraz nastąpił bardzo szybki bieg wydarzeń na froncie azjatyckim.

PIERWSZY CEL: HIROSZIMA

24 lipca 1945 roku główny dowódca sił zbrojnych USA na Pacyfiku, gen. Carl Spaatz otrzymał ściśle tajny rozkaz od szefa sztabu generalnego Departamentu Wojny:

...Grupa 509, 20 Siły Lotnicze, zrzuci swą pierwszą bombę specjalną tak szybko jak tylko widoczność pozwala bombardować, około 3 sierpnia 1945 roku na jeden z następujących celów: Hiroszima, Kokura, Niigata lub Nagasaki".

Wybór celu uzależniono od tego, w którym z rejonów zaistnieją najbardziej sprzyjające warunki atmosferyczne. Chodziło bowiem o maksymalną skuteczność rażenia.

3 sierpnia 1945 roku do amerykańskiej bazy wojskowej na wyspie Guam nadszedł kolejny tajny rozkaz:

„20 Jednostka Lotnicza zaatakuje cele w Japonii. Pierwszy cel: 90-30 obszar miejski przemysłowy Hiroszima".

6 sierpnia o godz. 2.45 z bazy lotniczej na wyspie Tinian wystartowały 3 „latające fortece" B-29. Na pokładzie jednej z nich pilotowanej przez płk. P. Tibbetsa znajdowała się bomba atomowa. Około godz. 8.11 czasu lokalnego, bombowiec „Enola Gay" wraz z dwoma innymi towarzyszącymi mu, znajdował się już w rejonie Hiroszimy. W cztery minuty później mjr T. Ferebee nacisnął guzik dźwigni i bomba „Little Boy" (o mocy 20 KT TNT) eksplodowała na wysokości 300 m. W mgnieniu oka zginęło około 78 tys. ludzi a w promieniu 3 mil od miejsca wybuchu całkowitemu zniszczeniu uległo 90 proc. budynków. 9 sierpnia z kolei, pilot płk. K. Beaham (znał już skutki bomby „Little Boy") zrzucił na miasto Nagasaki bombę „Fate Man".

Gen. D. Mac Arthur pisze w swoim pamiętniku, że pierwotnym celem ataku było miasto Kokura. Krążąc około 50 minut w rejonie Kokury pilot nie mógł jednak zrzucić bomby ze względu na warunki atmosferyczne i ostatecznie zrzucił ją na Nagasaki. Po eksplozji bomby „Fate Man" obłoki pyłu unosiły się podobno na wysokość około 16 tys. m i były widoczne z odległości 180 mil.

JAPONIA KAPITULUJE

Według Białej Księgi Japonii (o konsekwencjach eksplozji bomb atomowych w Hiroszimie i Nagasaki) spowodowały one śmierć ponad 200 tys. ludzi w Hiroszimie i około 100 tys. w Nagasaki. Oficjalne zaś dane rządu USA wykazywały 70—80 tys. zabitych i tyleż rannych w Hiroszimie oraz 40 tys. zabitych i 60 tys. rannych w Nagasaki.

Skutek wydarzeń z 6 i 9 sierpnia był natychmiastowy. 10 sierpnia o godz. 7.33 radio japońskie podało, że rząd w Tokio gotów jest przyjąć żądania zawarte w ultimatum z 26 lipca 1945 r. pod warunkiem, że nie będą one naruszać prerogatyw cesarza jako suwerennie panującego. Następnego dnia rząd USA udzielił odpowiedzi szwajcarskimi kanałami dyplomatycznymi. Głosiła ona m. in., że od momentu kapitulacji władza cesarza i rządu japońskiego podporządkowana zostanie Naczelnemu Dowództwu Mocarstw Sojuszniczych. Ponadto zobowiązano cesarza do wydania wszystkim japońskim siłom zbrojnym rozkazu zaprzestania działań wojennych i złożenia broni.

14 sierpnia 1945 r. prezydent Truman oświadczył, że Japonia przyjęła warunki kapitulacji. Poinformował on także o nominacji gen. D. Mac Arthura na naczelnego dowódcę Wojsk Sojuszniczych, który w otoczeniu wyższych rangą oficerów alianckich przyjąć miał kapitulację Japonii. W tym samym dniu siły zbrojne USA otrzymały rozkaz wstrzymania działań ofensywnych na Pacyfiku.

2 września 1945 roku, na pokładzie pancernika US „Missouri", zakotwiczonego w Zatoce Tokijskiej, przedstawiciele rządu japońskiego podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji Japonii. Dobiegły końca działania wojenne na Pacyfiku zamykając okres drugiej wojny światowej.

Słusznie przyjmuje się, iż od 6 sierpnia 1945 roku rozpoczął się wiek wojen atomowych w historii ludzkości. Czy prezydent H. Truman znajdując się w dniu zagłady Hiroszimy na pokładzie pancernika „Augusta" w drodze do swego kraju, uświadamiał sobie wagę tego bezprecedensowego wydarzenia? Przecież zaledwie kilka dni wcześniej, podobnie jak szefowie rządów radzieckiego i brytyjskiego opuścił Poczdam — miejsce obrad Konferencji Pokojowej.

W kilka godzin po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę, Truman następującymi słowy poinformować miał o tym załogę pancernika „Augusta":

— Panowie, trzymajcie się krzeseł, właśnie zrzuciliśmy bombę na Japonię, to był przygniatający sukces.

Nie zakończyły się jeszcze działania wojenne na froncie dalekowschodnim, a już pojawiła się wizja nowej, straszliwej, nieporównywalnie bardziej niszczycielskiej wojny. *„Nawet ruiny Niemiec* — pisał gen. D. Eisenhower — *wydawały się nagle jedynie słabym ostrzeżeniem przed tym co przyszła wojna oznaczać może dla ludzkości kuli ziemskiej".*

Dlaczego więc broń o tak ogromnych możliwościach skutecznego rażenia i niszczenia użyta została w wojnie przeciwko Japonii. Czy było to konieczne z punktu widzenia amerykańskiej strategii wojskowej? Jakie cele doraźne lub perspektywiczne przyświecać mogły Trumanowi decydującemu się 24 lipca 1945 r. na użycie tej najnowocześniejszej broni?

ASEKURACJE HARRY TRUMANA

Według oficjalnej opinii samego prezydenta USA, motywem przewodnim tak brzemiennej w skutki decyzji, było dążenie do zastraszenia Japonii, zmuszenie jej do kapitulacji oraz pragnienie szybkiego zakończenia wojny. *„Mój ojciec* — pisze Margaret Truman — *nie wahał się wydać rozkazu użycia jej* (bomby atomowej — przyp. T. K.) *i twierdzi, że nie żałuje tego, ponieważ umożliwiło to zakończenie wojny i oszczędziło wiele istnień ludzkich".*

Co więcej, taki punkt widzenia akceptować mieli rzekomo Józef Stalin i Winston Churchill w Poczdamie. Relacjonując jedną z nieoficjalnych rozmów ze Stalinem przeprowadzoną 24 lipca w Poczdamie, Truman po kilku latach napisał: *„przypadkowo nadmieniłem Stalinowi, że mamy nową broń o niezwykle niszczącej sile".* W odpowiedzi na to premier ZSRR, ze spokojem wyrazić miał nadzieję, *„iż dobrego zastosowania przeciw Japonii".*

Podobnie Winston Churchill w rozmowie prywatnej z prezydentem USA (25 lipca 1945 r.) aprobować miał decyzję użycia bomby atomowej, *„jeśli mogłoby to pomóc w zakończeniu wojny".*

Tymczasem Churchill w swoich pamiętnikach stwierdził: *„Byłoby błędem zakładać, że o klęsce Japonii zadecydowała bomba atomowa, jej upadek nastąpił z pewnością przed zrzuceniem pierwszej bomby".*

Abstrahując od stopnia wiarygodności cytowanych za H. Trumanem wersji opinii radzieckiego i brytyjskiego premiera, można przypuszczać, że posłużyły one prezydentowi, autorowi pamiętników do wykazania, że nie jest on jedynym ponoszącym — moralną co najmniej — odpowiedzialność za zagładę Hiroszimy i Nagasaki.

Próbę częściowej choćby odpowiedzi na postawione wyżej pytania podjąć można w oparciu o opinie niektórych amerykańskich przedstawicieli kół wojskowych i politycznych. Problem bowiem celowości i motywów użycia broni atomowej w końcowej fazie wojny z Japonią stanowi do dnia dzisiejszego przedmiot ożywionych dyskusji i kontrowersji w historiografii wielu krajów.

CZY BYŁA KONIECZNOŚĆ ZRZUCENIA BOMBY „A"?

Przedstawione niżej poglądy kilku znanych dowódców amerykańskich, aczkolwiek nie pozbawione subiektywizmu, pozwalają sądzić, że za wyjątkiem gen. D. Mac Arthura, uchylającego się od zajęcia jednoznacznego stanowiska, prawie wszyscy oni utrzymują, że użycie broni atomowej nie było czynnikiem decydującym o zwycięstwie nad Japonią. Tak np. admirał W. Leahy sądzi, że *„użycie tej barbarzyńskiej broni nad Hiroszimą i Nagasaki nie miało decydującego znaczenia... Japończycy byli już pokonani i gotowi poddać się w wyniku efektywnej blokady morskiej i skutecznego bombardowania bronią konwencjonalną".* Według zaś opinii szefa Sztabu Sił Lotniczych gen. H. Arnolda, o klęsce Japonii przesądziły głównie bombardowania lotnicze. Admirał C. Nimitz natomiast jest przekonany, że czynnikiem decydującym była *„całkowita bezkarność z jaką flota Pacyfiku tłukła Japonię".* Z kolei były dowódca amerykańskich Sił Lotniczych w Chinach, gen. C. Chennault, jest nawet zdania, że przystąpienie ZSRR do wojny przyspieszyło klęskę Japonii (8 sierpnia 1945 r. Związek Radziecki wypowiedział Japonii wojnę). W jego mniemaniu już przed dniem 1 czerwca 1945 r. około 75 proc. społeczeństwa japońskiego wątpiło w zwycięstwo. Sam fakt zrzucenia bomb atomowych wywołał jedynie lokalne efekty psychologiczne, tj. w miastach stanowiących bezpośredni cel ataku. Według Chennaulta upadek ducha walki w armii i społeczeństwie japońskim nastąpił wraz ze zdobyciem przez Amerykanów Filipin i Okinawy.

W świetle powyższych opinii, nie do przyjęcia jest więc teza, że zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki było konieczne z punktu widzenia strategii militarnej USA.

Z drugiej strony trudno zakwestionować pogląd, że użycie tej broni zdecydowanie przyspieszyło kapitulację Japonii. Z pewnością oszczędziło to aliantom, a głównie Amerykanom wielu zbędnych strat. Znając bowiem fanatyzm i zaciekłość bojową Japończyków oraz barbarzyńskie wręcz traktowanie przez nich jeńców alianckich — w przypadku przedłużania się działań wojennych — należałoby chyba liczyć się z wcale niemałą ilością zabitych i rannych żołnierzy amerykańskich. Uniknięto tego kosztem pozbawienia życia i trwałego okaleczenia kilkuset tysięcy bezbronnych mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki. Wydaje się, że pośrednio odpowiedzialność za to ponoszą także sam japoński rząd i naczelne dowództwo.

TA BOMBA DAWAŁA PRZEWAGĘ NAD ŚWIATEM

Z pewnością jednak dążenie do szybkiego zakończenia wojny z Japonią nie wydaje się być jedynym motywem decyzji H. Trumana. Analiza wydarzeń wcześniejszych skłania bowiem do zwrócenia uwagi na jej aspekt polityczno-propagandowy.

Tak np. już 13 kwietnia 1945 r. Sekretarz Wojny H. Stimson w rozmowie z nowym prezydentem USA, Harry Trumanem informując o stopniu zaawansowania badań i prac związanych z produkcją bomby atomowej, sugerował, że *„bomba atomowa winna z pewnością mieć decydujący wpływ na nasze stosunki z innymi państwami".* Podobnie — jeśli wierzyć Trumanowi — tego samego dnia Sekretarz Stanu J. Byrnes wyraźnie miał nadzieję, iż *„bomba atomowa, która zostanie wyprodukowana, pozwoli Stanom Zjednoczonym dyktować swoje warunki w końcu wojny".*

Przypomnijmy, iż w obliczu zaawansowanych badań uczonych III Rzeszy, latem 1940 naukowcy amerykańscy (z udziałem wybitnych specjalistów — emigrantów z Europy, a m. in. A. Einsteina, E. Fermiego i L. Szilarda) rozpoczęli w laboratoriach Los Alamos intensywne badania znane pod kryptonimem „Projekt Manhattan". W Waszyngtonie doskonale zdawano sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa grożącego Ameryce w przypadku, gdyby Niemcom udało się skonstruować bombę atomową. W tej sytuacji już w sierpniu 1941 r. A. Einstein zaproponował prezydentowi Franklinowi D. Roosevelt'owi wyprodukowanie bomby atomowej, na co ten ostatni w dwa miesiące później wyraził zgodę. Ostatecznie ten swego rodzaju „wyścig laboratoriów" zakończył się pełnym sukcesem uczonych amerykańskich.

16 czerwca 1945 r. w pustynnej miejscowości Alamogordo (stan New Mexico), Amerykanie dokonali pierwszej w historii, próbnej eksplozji bomby atomowej. Eksplodowała ona na platformie umieszczonej na szczycie stalowej wieży o wysokości 33 m. Próba przeszła wszelkie najśmielsze oczekiwania. Efekty eksplozji i podmuchu były wręcz niesamowite i przerażające. Podobno w promieniu 20 mil, świetlne efekty wybuchu były wyższe niż *„światło kilku słońc naraz w porze południowej".* Widoczna przez kilka sekund olbrzymia kula ognia przybrała następnie kształt „grzyba" sięgającego wysokości ponad 3000 m. Błysk eksplozji zauważono podobno w El Paso i Santa Fe, tj. w miastach odległych o 180 mil. Głos eksplozji słyszano z odległości 100 mil. Stal z wieży (na której dokonano próbnego wybuchu) uległa stopieniu i wyparowała.

Przebieg dyskusji w powołanym przez H. Stimsona Komitecie Tymczasowym (dla rozważenia problemów związanych z istnieniem i możliwością wykorzystania bomby atomowej), pozwala sądzić, że większość jego członków nie aprobowała użycia bomby dla celów wojennych. Grupa naukowców z L. Szilardem na czele protestowała wręcz przeciwko użyciu bomby w wojnie z Japonią proponując w zamian techniczną demonstrację jej siły na Pacyfiku lub nie zaludnionych wyspach. Ostatecznie jednak w czerwcu 1945 r. Komitet Tymczasowy opowiedział się za możliwie najszybszym użyciem broni atomowej przeciwko Japonii.

Nazajutrz po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę, Harry Truman w przemówieniu radiowym do narodu amerykańskiego informując o ataku na *„ważną bazę japońskiej armii"* nie omieszkał podkreślić, że *„bomba ta dodała nowy, rewolucyjny element do wzrastających zdolności niszczenia naszych sił zbrojnych".* Powyższa wypowiedź prezydenta, emitowana z pokładu pancernika „Augusta" miała także wymowę propagandową. W kontekście cytowanych wcześniej opinii Stimsona i Byrnesa można chyba ją również interpretować jako próbę obwieszczenia światu, że odtąd Biały Dom dysponuje potężnym instrumentem nacisku w powojennym układzie sił.

Kamikadze

(7)

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Ponad rok Terenowa Komisja Odwoławcza do spraw Pracy przy naczelniku miasta w Łęczycy rozpatrywała odwołanie Mieczysława Rykały, aby w końcu uznać, iż wymówienie mu pracy w Zespole Szkół Mechanizacji Rolictwa w Piątku było w pełni uzasadnione. Ponad rok pozostawał Mieczysław Rykała bez stałego zatrudnienia, zarabiając na utrzymanie sześcioosobowej rodziny sprzedażą kwiatów i jabłek na targowiskach, przycinaniem drzewek w sadach sąsiadów, itp. Na pewno żyło mu się znacznie gorzej niż przedtem, ale nie pogorszenie sytuacji materialnej bolało go najbardziej, a to, że wyszedł przed komisją na rozrabiacza i chuligana. I dlatego nie mógł tej sprawy tak zostawić, wycofać się, odejść „dla świętego spokoju".

26 lutego 1985 roku odwołał się od orzeczenia Terenowej Komisji Odwoławczej w Łęczycy do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie. Jego pełnomocnik, mecenas Andrzej Kern z Łodzi wniósł w odwołaniu o zmianę zaskarżonego orzeczenia lub jego uchylenie i przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia w Łęczycy. Argumentował to niewyjaśnieniem wszystkich okoliczności zajścia w pokoju nauczycielskim 16 listopada 1983 roku, istnieniem kilku wersji rzekomego pobicia, a także odmową dopuszczenia biegłych lekarzy z WAM w celu ustalenia czy zaświadczenia lekarskie, przedstawione przez Stanisława Cisaka, zgodne są ze sobą, czy nie. 16 listopada 1983 roku Wojciech Buliński stwierdzał „...*w okolicy ramienia prawego po stronie tylnej zasinienie wielkości jabłka, w okolicy dołu łokciowego tejże kończyny liczne otarcia krwawiące naskórka oraz nieznaczny obrzęk. W okolicy lewego ramienia zasinienia linijne długości 8 cm i szerokości 2 cm.*" Natomiast w trzy dni później Zbigniew Grzyowski zauważył „... *1) Podbiegnięcia krwawe koloru zielonkawo niebiesko-żółtawego kształtu soczewkowatego o wymiarach dł. 3 cm, szer. 1,5 cm, po stronie wewnętrznej skóry ramienia prawego nieco powyżej zgięcia łokciowego, 2) dwa podbiegnięcia krwawe o średnicy około 1 cm. ponad wyżej wymienionym koloru zielonkawo-żółtawego...*" (Podkreślenie moje — P. T.)

Nie wszystko więc wcale było jasne!

Rozprawa przed warszawskim sądem nie wniosła jednak zbyt wiele nowego. Zarówno Mieczysław Rykała, jak i Stanisław Cisak podtrzymali swoje zeznania. Świadkowie — również jeśli nie liczyć Kazimierza Dzięgielewskiego, który w Łęczycy niczego nie pamiętał, zaś w Warszawie — w „cudowny sposób", jak określono to w Piątku — przypomniał sobie nagle to i owo, a zwłaszcza, iż widział jak Rykała trzymał Cisaka za rękę.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że sąd podtrzymał zasadność orzeczenia łęczyckiej komisji, stwierdzając nawet że „*Fakt obrazy dyrektora wobec wyjaśnień samego wnioskodawcy jest bezsporny i już to samo zdarzenie pozwala uznać, że wnioskodawca dopuścił się ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych...*". Nie musiało już zatem wcale być żadnego pobicia, aby dyrektor Cisak miał uzasadnione powody do wyrzucenia nauczyciela Rykały z pracy. Wystarczyło, że ten go obraził. Sąd nie dopatrzył się przy tym wcześniejszego obrażenia Mieczysława Rykały ani przez Stanisława Cisaka, ani kogokolwiek innego. Nie było już także potrzeby powoływania biegłych lekarzy, ani wyjaśniania wszystkich okoliczności konfliktu. Wydany 3 maja 1985 r. wyrok oddalający odwołanie Rykały stał się prawomocny.

Stefan Pełka jest znanym w Łęczycy działaczem społecznym. Od siedmiu lat nie pracuje już zawodowo; jest na emeryturze. Tak się złożyło, że był obecny na prawie wszystkich rozprawach sądowych w sprawie Mieczysława Rykały. Można powiedzieć, że robił to z czystej ciekawości, gdyż Rykała to ani jego brat, ani swat. Po prostu to, co wiedział o nim wcześniej ze sporadycznych kontaktów, jakoś zupełnie nie pasowało do obrazu nauczyciela Rykały nakreślonego przed komisją w Łęczycy przez dyrektora Cisaka. Przeciwnie, Stefan Pełka miał zawsze o Rykale jak najlepsze zdanie, jako o człowieku inteligentnym, uczciwym, pracowitym, dokładnym i nie potrafiącym nigdy odmówić pomocy. Zresztą nie tylko on jeden. Dlatego Stefan Pełka ma swoje własne zdanie o konflikcie w ZSMR w Piątku i jego sądowym epilogu.

— *To jest skandal* — mówi *gdyż w pełnym majestacie prawa zniszczono człowieka naprawdę wartościowego, a jego postawa zasługuje raczej na uznanie, niż — potępienie. Gdybyśmy mieli w Polsce więcej takich Rykałów...*

Mecenas Andrzej Kern również jest przekonany, że jego klient został w ewidentny sposób skrzywdzony, a sąd w Warszawie podszedł do sprawy zbyt formalistycznie i bezdusznie. Na przykład zupełnie nie interesowały go okoliczności, które doprowadziły do konfliktu między Mieczysławem Rykałą a Stanisławem Cisakiem, a właśnie te przecież były tu chyba najważniejsze.

W prawie karnym istnieje zasada, że w przypadku znieważenia można odstąpić od wymierzenia kary, jeśli znieważenie zostało wywołane wyzywającym się zachowaniem znieważonego, czyli innymi słowy — jeśli zostało sprowokowane. Gdyby więc nawet przyjąć, iż Rykała rzeczywiście znieważył Cisaka, to czyż nie został do tego wcześniej wielokrotnie sprowokowany?

Oczywiście, Stanisław Cisak nie może się z tym zgodzić. Uważa, że nikogo nie skrzywdził, że wszystko jest w porządku, a szkoła, którą kieruje od ośmiu lat, cieszy się w środowisku — jak napisał w liście do naszej i nie tylko naszej redakcji — bardzo dobrą opinią.

Ale czy rzeczywiście?

Wielu nauczycieli Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku twierdzi coś całkiem innego. Mówią o nie kończących się intrygach, o personalnych rozgrywkach, o ciężkiej atmosferze. Jedni buntują się przeciwko temu, gdyż chcieliby pracować w spokoju. Inni znoszą wszystko w milczeniu, ponieważ są zastraszeni. Kiedy zjawia się u nich dziennikarz, nie chcą z nim rozmawiać, a jeżeli już, to tak, aby nikt się o tym nie dowiedział.

— „*Pan stąd wyjedzie* — mówią — *a ja muszę tu dalej żyć i pracować, więc proszę mnie zrozumieć...*"

Oczywiście — rozumiem. Ale czy to świadczy, że wszystko jest w porządku?

Czy w porządku jest, że dyrektor szkoły odwiedza w domu — choć na co dzień nigdy tego nie robi! — jedną ze swoich byłych uczennic po tym, jak udzieliła ona informacji dziennikarzowi łódzkiej telewizji o przebiegu praktyk w NRD, i szczegółowo wypytuje ją, co powiedziała? Nie sądzę. A jeśli jeszcze wziąć do tego, że siostra owej dziewczyny jest w klasie maturalnej i też miałaby dużo do powiedzenia na temat przebiegu praktyk w sierpniu 1983 roku... Nie będę powtarzał jak zostało to w Piątku jednoznacznie skomentowane.

Czy w porządku jest — zapytano mnie — że z pierwszego turnusu tych samych praktyk w 1983 roku trzech nauczycieli wraca do kraju bez jednego z uczniów, który „*nie odliczył się im*" na dworcu w Berlinie i — o dziwo! — żadnemu z nich nie spada za to nawet włos z głowy, przy czym jeszcze, jak na ironię, dyrektor ocenia ten turnus jako najlepszy? To jakie musiały być pozostałe dwa turnusy, skoro były gorsze?

Odnalazłem tego ucznia. Nazywa się Dariusz Olejniczak. Spokojnie opowiedział mi, jak tuż przed odjazdem, kiedy wszyscy robili jeszcze ostatnie zakupy, zabłądził w Berlinie i widząc iż na pociąg nie zdąży, zgłosił się do niemieckiej milicji. Milicja odesłała go z powrotem do Vehlefanz i dopiero kierownictwo LPG „Schwante" wyekspediowało samiutkiego, bez dokumentów uprawniających do przekroczenia granicy — do Polski. Do domu dotarł w dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe grupy, z którą powinien był wrócić. I całe szczęście, że rodzice dowiedzieli się o przygodzie syna dopiero od niego samego. Gdyby wcześniej zorientowali się, że ich Darek zagubił się w Berlinie i nie przyjechał ze wszystkimi pod opieką wychowawców, którzy wzięli przecież za niego odpowiedzialność... Matka powiedziała krótko, że mogłaby tego nie przeżyć. No, czy to jest w porządku?!

A fakt, że do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Płocku wysłano list zarzucający dyrekcji szkoły fałszowanie szkolnych dokumentów, wyrywanie i niszczenie kart z książki protokołów w dniu wizyty kuratora, niesprawiedliwy rozdział encyklopedii, mieszkań, itd? Czy to też świadczy o właściwej atmosferze i bardzo dobrej opinii, jaką cieszy się szkoła i jej „aktyw" w środowisku?

Co gorsza, wszystkie te i inne jeszcze dziwne rzeczy od lat dziejące się w Zespole Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku, doskonale znane są młodzieży. Wbrew pozorom kilkunastoletni młodzi ludzie potrafią dostrzec wszystko i także ocenić swych wychowawców. Wspaniale orientują się, kto z kim i dlaczego trzyma. Kto komu co i za co zrobił. Patrzą na to na co dzień i — jak to w szkole — uczą się. Tylko czy zawsze uczą się tego, czego powinni?

W wakacje 1963 roku student Mieczysław Rykała przez trzy miesiące pracował jako kelner w restauracji „Wilcza jama" w Gierłożu pod Kętrzynem. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny i poza dobrym wychowaniem niewiele mógł wynieść z rodzinnego domu, kiedy więc jego koledzy odpoczywali w górach, czy nad morzem, on starał się zarobić trochę grosza. Nie narzekał jednak z tego powodu. Od dziecka był do pracy przyzwyczajony.

Pewnego dnia, korzystając z mniejszego ruchu, wdał się Rykała w dłuższą rozmowę z kierownikiem restauracji, Mikołajem Gołowaczem, który wiele mu o sobie opowiedział. Na koniec zapytał go, czy jest ze swego życia zadowolony.

— *Tak* — brzmiała odpowiedź *i choć pewno mógłbym zajmować dziś jakieś stanowiska w wojsku, czy w administracji, to jednak polubiłem to, co robię i niczego nie żałuję. Tak, jestem zadowolony. Bo najważniejsze, chłopcze, to uczciwie przeżyć życie.*

Młodemu Mieczysławowi Rykale słowa te od razu trafiły do przekonania i głęboko wryły się w pamięć. Często zastanawiał się nad ich sensem. Uczciwie przeżyć życie...

Dopiero później miał się przekonać, że nie jest to wcale takie proste.

OD REDAKCJI: W najbliższych numerach opublikujemy pierwsze listy, jakie nadeszły po publikacji artykułów Pawła Tomaszewskiego „Kamikadze".

ze str. 1

—Mieszkamy z mężem i czteroletnim dzieckiem w M-3. Dostaliśmy to mieszkanie jako rotacyjne, ale popełniliśmy ogromny błąd. Kiedy Spółdzielnia „Zarzew" zwróciła się do nas, abyśmy uznali je za docelowe — wyraziliśmy zgodę. Tymczasem okazało się, że lokal ma poważną wadę technologiczną. Jest niedogrzany, w okresie zimy trzeba włączać piecyki elektryczne. Wilgoć ogromna, cały czas ściany są mokre, podłogi zalane. Złożyłam wniosek do SM „Zarzew" o zamianę, otrzymałam odpowiedź, że nam nie przysługuje... Jeśli chcemy większe, musimy się starać o własnościowe z dopłatą około miliona złotych. Dowiedziałam się, że na tym samym posiedzeniu Zarządu, na którym załatwiono nas odmownie przyznano mieszkanie M-4 pani J. Lewandowskiej, córce prezesa. Pisałam do CZSBM w Warszawie, bo okazało się, że przepisy nie są jednakowe dla wszystkich, otrzymałam odpowiedź, że sprawa już jest w sądzie, wszystko będzie zbadane dokładnie.

Przykładów odmownego załatwiania trudnych ludzkich spraw jest znacznie więcej. Ludzie żyjący w skandalicznych warunkach wyczekują na własne „M" latami. Dziwne jest, iż Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa tak znacznie przyspieszyła otrzymanie własnego lokalu córce prezesa, której staż członkowski można policzyć na tygodnie, a warunki mieszkaniowe w porównaniu z tutaj przytoczonymi należy uznać za wręcz luksusowe.

Na rozprawie 19 czerwca 1985 r. Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa oponowała, iż zupełnie niesłusznie jest zamieszana w całą historię z „Zarzewem". Przecież SM „Zarzew" jest samodzielna i WSM nie sprawuje żadnej funkcji kontrolnej wobec podległych spółdzielni.. Dobrze więc byłoby wiedzieć, na czym owa „podległość" polega? Pani radca WSM wyraziła się jasno.

— *My nie jesteśmy władni wtrącać się w postępowanie SM „Zarzew"!*

Radca spółdzielni „Zarzew" nie uznał do końca powództwa, wnosił o jego oddalenie. Mecenas pani J. Lewandowskiej powiedział również:

— *Wnoszę o oddalenie powództwa. To jest zamydlanie oczu, robienie złej atmosfery. Podtrzymuję, że otrzymanie mieszkania przez panią Lewandowską nikogo nie skrzywdziło...*

Prezes SM „Zarzew" bardzo łatwo przychylił się do urzędowej prośby córki, a znam przypadki, iż w ogóle nie chciał rozmawiać na temat przyspieszeń z petentami. Stwierdzał krótko i ostatecznie: — *na to nie ma najmniejszych, żadnych szans...* Jednak dla jego córki szanse takie stworzono.

W trakcie rozprawy nadmieniono również, że prezes E. Pastwiński przyznał także mieszkanie swojej teściowej, ponoć ma już decyzję na lokal funkcyjny, podczas gdy w spółdzielni „Zarzew" z dawna panował zwyczaj, że mieszkania przeznaczone dla gospodarzy domów po rozwiązaniu umowy o pracę zostawały do dyspozycji następnych pracowników.

Świadkowie podawali w wątpliwość różne okoliczności dotyczące przyznania mieszkania J. Lewandowskiej. Stwierdzono iż mąż p. Lewandowskiej cały czas mieszkał u teściów, matkę swoją tylko odwiedzał. Mąż p. Lewandowskiej nie był nigdy skłócony z teściami, więc nawet przez moment nie zaistniała żadna „rozdzielność" między młodymi małżonkami, o której pisali w podaniu o przyspieszenie mieszkania. Zaświadczenie o ciąży mające na celu uzyskanie przydziału większej powierzchni lokalowej też było sfingowane. Ponoć zabiegu dokonał znajomy lekarz u siebie w domu!

Wyrok Sądu Wojewódzkiego choć w części przywrócił mocno już zachwianą wiarę w sprawiedliwość społeczną! Prezes SM „Zarzew", Edward Pastwiński krzyknął w ferworze publicznie:

— *Jeśli moja córka będzie zmuszona oddać mieszkanie, nie zrobi tego osamotniona, mieszkania też zwróci wiele „wpływowych osobistości z różnych instytucji i instancji...*".

Prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej A. Walczak, stwierdził, że E. Pastwińskiego zgubiła zachłanność, gdyby dał córce mniejsze mieszkanie, z czasem zamienił na większe, sprawy w ogóle nie byłoby. I miał rację! Co do dalszego sensu wypowiedzi mam poważne zastrzeżenia. — *Po zakończeniu sprawy prezes odejdzie ze spółdzielni.*

Czemu po zakończeniu?

Na budownictwo spółdzielcze w Łodzi narzekano od dawna, ale najwięcej skarg było na SM „Zarzew". Finał historii w tejże spółdzielni powinien być ostrzeżeniem dla wszystkich nadużywających pozycji i stanowiska dla własnych korzyści.

Powołanie Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, która już od 23 lipca 1985 r. rozpocznie działania kontrolne, między innymi także zajmie się prawidłowością przydziału mieszkań spółdzielczych w kraju — to konkretny krok naprzód. Chodzi o elementarny ład, porządek, eliminowanie negatywnych zjawisk z życia społecznego. Należałoby zrewidować sumienność działania różnych rad nadzorczych i czynników społecznych. Zwykle są operatywni do pewnego czasu — póki nie załatwią własnych spraw, interesów, potem się zmieniają, przychodzą inni i sytuacja się powtarza. W wielu przypadkach działalność ta, niestety, jest czystą fikcją. W czasach, kiedy mieszkanie stanowi dobro najwyższe i pewnie jeszcze przez długie lata tak będzie, kryteria przydziału lokalu powinny być jednolite dla wszystkich — liczyć trzeba czas oczekiwania i patrzeć na warunki, w jakich dany człowiek żyje. W biurze Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi jest zarejestrowanych ponad 100 tys. ludzi oczekujących na własne „M". Są wśród nich dzieci, którym zapobiegliwi rodzice założyli książeczki, dorośli; rodziny żyjące w najprzeróżniejszych, często skandalicznych warunkach i ludzie starzy bez żadnych szans na polepszenie bytu. Zatem dzielmy sprawiedliwie. A sprawa przydziału mieszkań niech nie stanowi dłużej tabu, sam do niej jeszcze powrócę, albowiem czas przyznać, iż wiele niekorzystnych zjawisk stało się już dawno tajemnicą publiczną.

M—dla córeczki

EDWARD BRYL

Nikt nie lubi, gdy bolą go zęby

Swego czasu odbyło się w Łodzi seminarium stomatologiczne, w którym uczestniczyli stomatolodzy wojewódzcy z całej Polski. W obradach uczestniczył również sekretarz Regionalnego Biura Stomatologicznego Światowej Organizacji Zdrowia — profesor **INGOLF J. MOLLER**. Korzystając z tej okazji poprosiliśmy profesora I. J. Mollera o rozmowę. Uczestniczyli w niej również przedstawiciele polskiej stomatologii: profesor **ZBIGNIEW JAŃCZUK** z Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, przewodniczący Krajowego Zespołu Specjalistycznego w dziedzinie stomatologii oraz profesor **WŁODZIMIERZ JÓZEFOWICZ** — prodziekan Wydziału Lekarskiego AM w Łodzi, prezes Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego. Na początku naszej rozmowy zwróciłam się z pytaniem do profesora Ingolfa J. Mollera:

— Jaki charakter ma Regionalne Biuro Stomatologiczne i czym się zajmuje?

I. J. MOLLER: — Światowa Organizacja Zdrowia zajmuje się sprawami zdrowia na całym świecie. Swoją siedzibę ma w Genewie. Dysponuje sześcioma biurami regionalnymi dla poszczególnych rejonów świata. Biuro regionalne dla Europy znajduje się w Kopenhadze. Ja natomiast kieruję sprawami związanymi ze stomatologią. Prowadzimy obecnie badania w 12 krajach. Staramy się stwierdzić, jakie są skutki realizacji programów ochrony zdrowia. Ustalamy stan epidemiologiczny i na tej podstawie wyciągamy wnioski. Na przykład, jakie powinno być planowanie kadry stomatologicznej, jaka to ma być kadra, jakie potrzebne są środki, aby osiągnąć zamierzony cel w ochronie zdrowia ludności danego kraju.

— Jaki jest cel pana wizyty w Polsce?

I. J. MOLLER: — Jest to pierwszy etap poznania sytuacji. Chciałbym się zorientować, jakie jest zagrożenie, jakie występują tendencje w zapobieganiu chorobom jamy ustnej, jakie są potrzeby i na czym ma polegać współpraca Światowej Organizacji Zdrowia z polską służbą zdrowia.

— I jakie są pana wrażenia?

I. J. MOLLER: — Zbyt krótko byłem w Polsce, aby mieć już pełny obraz. Na podstawie tego, co mówiono na Ogólnopolskim Sympozjum Stomatologicznym w Łodzi, mogę tylko stwierdzić, że jest tu bardzo dużo do zrobienia. Przede wszystkim trzeba zapobiegać próchnicy oraz chorobom dziąseł. No, i trzeba bardziej racjonalnie rozmieścić i wykorzystać kadry stomatologiczne.

Z. JAŃCZUK: — Przed 10 laty przeprowadziliśmy badania nad stanem zdrowia zębów wśród naszej ludności. Wyniki nie były dobre. Chcemy takie badania powtórzyć teraz. Ale niezależnie od ich wyników potrzeba nam pewnych wzorców, jakie stosuje się w innych krajach w walce z próchnicą oraz potrzeba nam znajomości trendów, jakie panują w światowej ochronie zdrowia. Dyskutowaliśmy nad tym w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej. Oczekujemy od Światowej Organizacji Zdrowia przede wszystkim pomocy merytorycznej. Planujemy przy pomocy tej organizacji przeszkolić krajowe i wojewódzkie służby stomatologiczne oraz pracowników akademii medycznych. Potrzebna jest bowiem wiedza, aby właściwie wykorzystywać kadrę stomatologiczną i właściwie ją kształcić. Światowa Organizacja Zdrowia ma wgląd w różne systemy ochrony zdrowia. Może stwierdzić skuteczność ich działania, może ustalić, co należy polecać do powielania, a czego trzeba unikać. Są to uogólnienia doświadczeń światowych. Chodzi nam również o to, aby można było ustalić najlepsze metody badań, wykorzystać do tego najlepsze aparaty i urządzenia. I wreszcie o to, aby nasi specjaliści mogli korzystać ze stypendiów Światowej Organizacji Zdrowia i dzięki temu zapoznawać się z najlepszymi wzorami stosowanymi w ochronie zdrowia na świecie.

I. J. MOLLER: — Przede wszystkim trzeba poznać sposoby zapobiegania chorobom jamy ustnej. Najważniejsza jest profilaktyka. Leczenie — to już jakby reperacja czegoś, co się popsuło. Trzeba starać się nie dopuścić do tego, aby się popsuło.

— Od czego na przykład zależy rozwój próchnicy?

I. J. MOLLER: — Od stanu socjalno-ekonomicznego społeczeństwa.

— Od sposobu odżywiania się?

I. J. MOLLER: — Niewątpliwie. Rozwój cywilizacji i próchnicy idą w parze. Im kraj bardziej rozwinięty, tym większe zagrożenie próchnicą. Ale konkretnie zależy to od spożycia cukru. Na przykład, w czasie wojny, w Anglii spadło spożycie cukru i zmniejszyło się zagrożenie próchnicą. Gdyby udało się zmniejszyć spożycie cukru do poniżej 15 kg na osobę w skali roku, to znacznie spadłaby próchnica. Niebezpieczne dla uzębienia jest też picie „Pepsi-Coli" czy „Coca-Coli" i w ogóle jedzenie wszystkiego co zawiera cukier.

— Nie ma jednak nadziei na to, żeby spożycie cukru spadało. Trzeba się raczej liczyć z tym, że będzie wzrastało. Jak zatem inaczej zapobiegać próchnicy?

I. J. MOLLER: — W Danii 95 proc. pasty do zębów produkuje się z fluorem. A więc fluor.

Z. JAŃCZUK: — I te pasty z fluorem zapobiegają próchnicy skuteczniej niż wszyscy stomatolodzy razem wzięci.

W. JÓZEFOWICZ: — My mamy tylko jedną wytwórnię, która produkuje pastę do zębów z fluorem. Pasta ta jest jednak na ogół niedostępna.

— Pasty w ogóle nie ma. Kupuje się u nas paste taką, jaka akurat „rzucili". Trudno zatem liczyć na to, że będziemy w kraju prowadzili profilaktykę stomatologiczną przy pomocy pasty z fluorem, której nie ma. Trzeba zatem szukać innych metod. Jakich?

W. JÓZEFOWICZ: — Są takie metody. W Szwajcarii na przykład używa się fluoru wraz z solą. Najpierw wprowadzono to w kilku kantonach i okazało się, że spadło zagrożenie próchnicą. Dziś już w całej Szwajcarii używa się fluoryzowanej soli z wyjątkiem Bazylei, bo tam jest fluoryzowana woda.

Z. JAŃCZUK: — Można też stosować płukanie zębów roztworem fluoru. Ale nie posiadamy tak licznego personelu, aby prowadzić płukanie u wszystkich dzieci. Prowadzimy więc tzw. „szczoteczkowanie". Objęliśmy tym zabiegiem już 60 proc. dzieci szkolnych w Polsce. To również daje dobre rezultaty.

I. J. MOLLER: — Najlepszym sposobem zapobiegania próchnicy jest fluoryzowanie wody. Z wody korzystają wszyscy i przy okazji walczą z próchnicą, zapobiegają jej.

— Czy w Danii zastosowaliście fluoryzowanie wody?

I. J. MOLLER: — Nie. Nie udało się to jeszcze.

— Dlaczego? Co stoi na przeszkodzie?

I. J. MOLLER: — W Danii mamy „nadprodukcję" stomatologów. Pacjent nie musi wyczekiwać na termin wizyty. Lekarz na niego czeka. Jeden stomatolog przypada u nas na 900 mieszkańców. Stomatolodzy są przeciwni — może to brzmi paradoksalnie — takim rozwiązaniom, które odebrałyby im pacjentów. Musieliśmy nawet ograniczyć przyjmowanie na studia stomatologiczne, aby zmniejszyć „nadprodukcję" stomatologów.

— Czy to znaczy, że pacjent pokrywa całość leczenia u stomatologa?

I. J. MOLLER: — Nie. Wszyscy Duńczycy są ubezpieczeni. Płacą jednak 45 proc. kosztów leczenia. To oczywiście jest średnia opłata. Państwo zatem średnio dopłaca 55 proc. kosztów. Ale, jeśli ktoś życzy sobie — na przykład w protetyce — wyższą jakość usług, płaci więcej.

Z. JAŃCZUK: — Podobnie rozwiązano sprawę opłat w Czechosłowacji. Pacjent musi dopłacić, jeśli chce mieć wyższą jakość leczenia.

— Jak zatem w Danii rozwiązano problem profilaktyki?

I. J. MOLLER: — Mamy program opieki nad stanem zdrowia jamy ustnej dzieci. Rocznie profilaktyka u jednego dziecka pochłania 160 dolarów. Stosujemy przede wszystkim płukanie roztworem fluoru co 2 tygodnie, czyli 30 razy w roku.

— Tym niemniej uważa pan, że najlepszym rozwiązaniem jest fluoryzowanie wody?

I. J. MOLLER: — Tak. Wiadomo, że kraje skandynawskie są dość bogate. Irlandia jest znacznie biedniejsza. Nie stać tam państwa na utrzymywanie takiej liczby stomatologów i personelu pomocniczego, jaki byłby wymagany dla prawidłowego leczenia i prowadzenia profilaktyki jamy ustnej. Co zrobiła Irlandia w takiej sytuacji? Od 20 lat fluoryzuje się tam wodę i od 20 lat spada zagrożenie próchnicą. W walce z próchnicą Irlandia ma lepsze wyniki niż bogatsze od niej kraje skandynawskie.

Z. JAŃCZUK: — W Szczecinie około 60 proc. mieszkańców korzysta w fluoryzowanej wody. I to już od 1969 roku. O dwa lata wcześniej fluoryzowanie wody wprowadził u siebie Wrocław. Tam, gdzie ludzie piją wodę z fluorem zagrożenie próchnicą spadło do połowy.

I. J. MOLLER: — W takim dużym mieście jakim jest Łódź fluoryzowanie wody jest konieczne.

— A nie ma obawy, że może to mieć szkodliwe wpływy uboczne?

I. J. MOLLER: — Spotyka się takie opinie. Są one jednak przesadzone, gdyż wszystko zależy od stopnia stężenia fluoru. To stężenie, jakie jest stosowane, nie jest szkodliwe i nie wywołuje żadnych działań ubocznych.

— Fluoryzowanie wody to jedna z metod zapobiegania. Nie zwalcza ona zagrożeń do końca. Pozostają, choć już w mniejszym stopniu. Potrzebny jest zatem system ochrony zdrowia, system ratowania zdrowia jamy ustnej. Jakie rozwiązania może polecić Światowa Organizacja Zdrowia?

I. J. MOLLER: — Zdaniem Światowej Organizacji Zdrowia sytem ochrony zdrowia powinien być zorganizowany na trzech poziomach. Pierwszy — najszerszy, podstawowy, to nauka higieny najmłodszych i to podlega nauczycielom, wychowawczyniom w przedszkolach, rodzicom oraz propagowane jest szeroko przez środki masowego komunikowania się. Potrzebna tu jest też pomoc lekarza, na przykład u kobiety ciężarnej. Lekarz musi ją zbadać i polecić leczenie. Opiekować się nią musi pielęgniarka.

W. JÓZEFOWICZ: — W tej dziedzinie mamy już dobrze opracowany system, który powinien przynieść spodziewane rezultaty.

Z. JAŃCZUK: — Nie działa to jednak jeszcze tak, jak powinno.

I. J. MOLLER: — Drugi poziom systemu ochrony zdrowia jamy ustnej stanowi średni personel stomatologiczny. Są to higienistki stomatologiczne, które mogą wykonywać nawet proste zabiegi.

W. JÓZEFOWICZ: — Taki personel stomatologiczny kształcimy w Łodzi. Chcemy, aby higienistki nadzorowały system profilaktyki i oświaty stomatologicznej.

Z. JAŃCZUK: — My je kształcimy, zatrudniamy, ale mało im płacimy i one uciekają do innych zawodów.

I. J. MOLLER: — Trzeci poziom — to lekarze. Jeśli popatrzeć na ten system od strony ilości, to najszerszy będzie pierwszy poziom, już znacznie węższy — drugi, a trzeci — najwęższy. Lekarzy w tym systemie jest oczywiście najmniej, ale muszą być doskonale wykształceni. Nie tylko w diagnostyce i leczeniu, ale także jako wychowawcy i organizatorzy.

Z. JAŃCZUK: — Nasz system ochrony zdrowia oparty jest jak wiadomo na podstawowej i specjalistycznej opiece zdrowotnej. W Polsce nie ma powodu, aby zwiększać liczbę lekarzy stomatologów, natomiast z całą pewnością trzeba ich lepiej i wszechstronniej wykorzystać.

— Czy system, o którym mówił profesor Moller funkcjonuje w Danii?

I. J. MOLLER: — zaprezentowałem tutaj model niejako wzorcowy proponowany przez Światową Organizację Zdrowia. Model taki wprowadzają u siebie kraje rozwijające się z Trzeciego Świata. One zaczynają budować system ochrony zdrowia od początku i mają warunki, aby robić to według proponowanych modeli. Natomiast w krajach, które już wcześniej stworzyły u siebie takie systemy trzeba je albo zmieniać, albo modyfikować. To jest zawsze bardziej kłopotliwe i trudniejsze. W Danii na przykład występuje swego rodzaju przemieszanie funkcji drugiego i trzeciego poziomu. To znaczy, że na drugim poziomie uprawia się też leczenie stomatologiczne. Natomiast trzeci poziom stanowią wysoko wykwalifikowani specjaliści.

Z. JAŃCZUK: — Podobnie zresztą jak w Polsce.

I. J. MOLLER: — Ciekawe są na przykład doświadczenia Australii. Wprowadzili oni szeroką profilaktykę na drugim poziomie systemu ochrony zdrowia jamy ustnej i osiągnęli bardzo dobre wyniki w zapobieganiu próchnicy. Wykształcili dużą liczbę pielęgniarek stomatologicznych w dwuletnich szkołach. Pielęgniarki te nie tylko zajmują się profilaktyką i higieną jamy ustnej, ale też robią proste zabiegi, na przykład usuwają zęby mleczne. Podobnie jest w Nowej Zelandii.

— Jak stary jest duński system ochrony zdrowia jamy ustnej?

I. J. MOLLER: — W Danii istnieją dwa systemy ochrony zdrowia jamy ustnej. Jeden dla dzieci i ten międzynarodowa komisja uznała za najlepszy na świecie. Ale jest to bardzo drogi system. Drugi system stworzono dla dorosłych. Wymaga on jednak zmian, rozszerzenia profilaktyki, która stoi dość wysoko, ale znajduje się na drugim miejscu, po leczeniu.

System ochrony stomatologicznej dla dorosłych zaczęliśmy tworzyć około 1930 roku i był on później modyfikowany. Natomiast system ochrony zdrowia jamy ustnej u dzieci i młodzieży szkolnej zaczęliśmy tworzyć w 1912 roku. Najpierw w kilku wybranych miejscowościach. Gdzieś około 1940 roku objął cały kraj. I przyniosło to bardzo dobre rezultaty.

— Każdy rozsądny człowiek wie, że powinien dbać o zęby. Nikt nie lubi tego, gdy go bolą zęby. Ale też i strach przed dentystą jest ogromny. Czy współczesna stomatologia może jakoś pomóc w przełamaniu tego strachu?

I. J. MOLLER: — Szerokie wprowadzenie środków znieczulających przełamało ten strach. Dokonał się ogromny postęp w produkcji sprzętu stomatologicznego. Stosuje się dziś już bardzo cienkie igły, skuteczne preparaty znieczulające.

Z. JAŃCZUK: — Przyczyną lęku naszego pacjenta są przede wszystkim nie narzędzia. Używamy grubych igieł, niewygodne są fotele zabiegowe. Pacjent cierpi i dlatego boi się. Natomiast materiał wypełniający, jaki stosujemy, wbrew niektórym opiniom, wcale nie jest taki zły.

Przy współudziale Światowej Federacji Stomatologów — a jest to po Czerwonym Krzyżu najstarsza światowa organizacja zdrowia, bo działa już od 1900 roku — opracowujemy metody premedykacji, czyli działania poprzedzającego leczenie. Mówiąc najprościej chodzi o takie działania, które zmniejszyłyby obawy pacjenta przed samym zabiegiem, zmniejszyłyby ból podczas samego zabiegu, a także obniżyły ślinienie mające istotny wpływ na trwałość wypełnienia ubytku w zębie.

W. JÓZEFOWICZ: — Polskie Towarzystwo Stomatologiczne tworzy natomiast program wybiegający już w XXI wiek. Chcemy odpowiedzieć na pytanie, jak kształcić stomatologów, z kim mają oni współpracować w dziedzinie profilaktyki, co zrobić, aby stomatolog nie był postrachem pacjentów.

— Rozumiem, że panowie obiecują, iż już niedługo nie trzeba będzie się bać wizyty u dentysty. Być może będzie to nawet przyjemność, choć jednak wątpię. Ale i za obietnicę dziękuję w imieniu tych wszystkich, którzy bardzo nie lubią, gdy bolą ich zęby, a jeszcze bardziej nie lubią chodzić do przychodni stomatologicznej.

Rozmowę przeprowadziła i opracowała:
BOGDA MADEJ

ze str. 1

Uniósł rączkę o podkrążonych brudem paznokciach i przycisnął bez większego przekonania dzwonek u solidnych, obitych blachą cynkową drzwi, zza których dochodził go jakiś niewyraźny szmer: podobny trochę do szelestu kół samochodowych na mokrym asfalcie. Ponieważ nikt nie odpowiadał, chłopiec rutynowo, ale wciąż bez przekonania — próbował klamki. Jakkolwiek był obyty ze swoim złodziejsko-żebraczym procederem, serce podchodziło mu do gardła, kiedy poczuł, iż drzwi puszczają otwierając się z wolna na wyłożony boazerią korytarz i wieszak ścienny, na którym obok płaszcza damskiego wisiał jakiś obszerny, bury, samczy, zdecydowanie paskudny prochowiec.

Ho, ho! Rycerz uprzytomnił sobie, iż szmer, który brał początkowo za stłumiony odgłos uliczny, jest niczym innym, jak ciurkaniem wody w łazience, z której oprócz tego niosła się na korytarz wdzięczna, pełna chichotów i jęków, niewątpliwie damsko-męska rozmowa.

Komuś tam rosną rogi — pomyślał nie bez słuszności Rycerz Czerwonego Krzyża.

Fakt. Wyraźne teraz i zdecydowane pluski oraz zapamiętałe klaskanie ciał niczym nie przypominało legalnej idylli rodzinnej, podczas której żona mówi do męża: — Umyj mi, stary, plecy! — Chłopiec odgadł swoim młodym, lecz nieomylnym instynktem, że dziatwa z owego zacnego domostwa przebywa aktualnie w szkole, gdzie uczy się na pamięć wierszyka Mickiewicza „Tata nie wraca...", ojczulek jest prawdopodobnie w fabryce lub w podróży służbowej, a matula używa sobie z sąsiadem.

Będąc miłośnikiem skomplikowanych zagadnień seksualnych wyrostek z puszką Czerwonego Krzyża stał w drzwiach z wypiekami na twarzy i słuchał miłosnego dialogu z wyraźnym zaciekawieniem. Niebawem jednak doszedł do wniosku, że w Polsce Ludowej nie sposób żyć samą miłością. Ściągnął więc z wieszaka to, co było pod ręką — płaszcz kobiety, i już miał wyjść, kiedy jakiś głos wewnętrzny podpuścił go wyrodnie: — Mało!

Postąpił parę kroków w głąb otwierając sobie widok na pokój. Łazienka była wszakże uchylona, istniała realna możliwość, iż dostrzeże go jakiś golas i da mu w spróchniałe zęby. Wycofał się zatem, wszedł do kuchni, i zwinął do kieszeni srebrną łyżkę.

— Mało, mało! — ujadał wewnętrzny głos. — Przeszukaj szuflady!

Posłuszny owemu wezwaniu Rycerzyk uklęknął i zamierzał właśnie wyciągnąć z szafki szufladę, kiedy usłyszał, że w łazience przestała ciurkać woda. Niewidoczny mężczyzna wycierał się niewidocznym ręcznikiem i parskając radośnie, meldował swojej niewidocznej oblubienicy, że ma ochotę coś wypić i przetrącić.

W tej sytuacji Rycerzyk czmychnął czym prędzej z mieszkania na korytarz. W ręku miał płaszcz, w kieszeni łyżkę, a na piersiach pobrzękiwała puszka. Było dobrze, ale wycofując się z placu boju stwierdził, że ktoś odcina mu drogę ucieczki, zatrzymała się bowiem na piętrze winda i w korytarzu zabrzmiały męskie kroki.

Rycerz nie uległ bynajmniej panice, doszedł jednak do wniosku, iż paradowanie ze skradzionym płaszczem pod pachą jest głupotą. Wrócił więc momentalnie do nie domkniętego mieszkania, dociągnął drzwi zostawiając wszelako szparkę, przez którą mógł obserwować korytarz.

Maszerował nim podstawny, wysoki człowiek (ów inżynier, z którym chłopiec zetknął się przed godziną na parterze). Przetrzymując powietrze w płucach nieletni, lecz rokujący nadzieję złoczyńca zanotował w pamięci, że gość nie wyciągnął bynajmniej klucza z kieszeni, schylił się natomiast i wyłuskał go spod gumowej wycieraczki.

Od tej pory zadecydował chłopiec — trzeba będzie nie tylko sprawdzać klamki u drzwi, ale podnosić także wycieraczki.

Inżynier zniknął w otchłani swojego domu, z którego zapomniał był wziąć na południową konferencję w zakładzie pewnego ważnego dokumentu o relatywnych czynnikach produkcji.

Chłopiec wyskoczył na korytarz. Zrobił to nieomal w ostatniej chwili, gdyż niewidoczny mężczyzna, wykąpany już i przyodziany w szlafrok, należący skądinąd do legalnego pana domu, opuścił łazienkę. Dama także szykowała się do ewakuacji. Wymyta z wszelkiej zdrady i grzechu, pokrzykiwała wesoło do swego kochanka: — Nalej, Józuś, kielicha, było nie było; już lecę!

Zwinąwszy płaszcz w tobołek i zatknąwszy go pod ramię złodziejaszek pomknął do wyjścia, przyrzekając sobie, że jeszcze raz wróci.

Rycerz Czerwonego Krzyża

(2)

3.

Jakkolwiek nie czytał „Wojny i Pokoju", wyznawał w swojej małej, prywatnej, codziennej batalii te same zasady, co Tołstoj i Kutuzow, a twierdzili oni, że nie ma większego wojaka nad czas i cierpliwość. Świat, również ten wyższy, manhattański, wprost roi się od idiotów, którzy domagają się niemal gromkim głosem, żeby zrobić im maleńkie odejmowanie. Cała sztuka polega na tym, aby wyłowić ich z tłumu, a potem uśpić ich czujność, pozyskać ich zaufanie lub wykorzystać ich nieostrożność.

Ucieszył się nasz Rycerzyk, kiedy sama, z własnej woli, zaprosiła go do mieszkania pewna wielce sympatyczna staruszka, której wiek staczał się już w dolinę mroku, pamięć zaś szwankowała na całej linii. Owo wcielenie niewieściej naiwności miewało przy tym różne osobliwe przewidzenia, zgodne z pełnym ufności usposobieniem staruszki. Widząc złodziejaszka zaczęła sobie wmawiać, że to bardzo grzeczny, a w dodatku znajomy młodzieniaszek, który służy zapewne w niedzielę do mszy i dosłownie płonie chęcią, aby spełniać różne dobre uczynki.

— Mieszkasz w tym domu, nieprawdaż? — zapytała.

Chciał jej właśnie zasunąć jakąś bombę o głodujących Murzynach w Angoli, ale zmienił zamiar i oświadczył krótko:

— Tak.

— Poznaję cię, poznaję! — zawodziła śpiewnie staruszka. — Na czwartym piętrze u inżynierostwa Białeckich, nieprawdaż?

— Prawdaż — przytaknął obwieś, żeby sprawić staruszce przyjemność.

— I co tam? Mama zdrowa?

— Zdrowa.

— A tata?

— Undzie.

— Jak mówisz? Undzie?

— Nie bardzo rozumiem... Chciałeś powiedzieć: ujdzie?

— Ehe. Undzie, undzie!

— Czego oni was w tych szkołach uczą? — dziwiła się staruszka. Miała kiepski wzrok, nie mogła więc dojrzeć ani stygmatów brudu na czole wyrostka, który zgodnie z ludową tradycją mył buzię ostatnio, przypadkiem zresztą, w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, ani jego podkrążonych czernią paznokci. Widziała tylko to, co chciała zobaczyć — aniołeczka z czwartego piętra od inżynierostwa Białeckich.

— Otóż mam do ciebie prośbę, chłopcze — zaciągnęła. — Popilnuj no mi przez parę minut dziecka, a ja zejdę tylko na dół do sklepu po włoszczyznę i pieczywo, zgoda?

— Zgoda.

— A może ty wolisz iść za mnię do sklepu, a ja zostanę? Dam ci sto złotych na sprawunki.

— Wedle uznania — powiedział Rycerz czując, że tak czy owak jest wygrany.

Staruszka, jakby coś ją tknęło, ześrodkowała na nim swoje miłe, wesolutkie oczy i zmrużyła je lekko.

— Nie, lepiej idź ty. Ale wrócisz zaraz?

— Wrócę.

— Nie będziesz mitrężył?

— Nie będę.

— No to masz.

Wcisnęła mu w usmoloną i wilgotną rączkę banknot z podobizną rewolucjonisty, a on odwrócił się na pięcie i pożeglował korytarzem w siną dal.

Nie tropiły go oczywiście żadne wyrzuty sumienia. Był człowiekiem pracy i nie pozwalał sobie na luksusowe zmartwienia. Nie obchodziło go, że ktoś tam nie zje obiadu. On też nie jadł jeszcze nic od rana.

4.

Piętro niżej zaczepił go rówieśny mniej więcej chłopak o pewnej siebie minie i wielce podejrzliwym spojrzeniu.

— Czego tu szukasz?

— Nie twoja sprawa.

— Nie moja? Ja ci zaraz pokażę, czy nie moja. Jazda stąd, złodzieju jeden!

Rycerz zrozumiał natychmiast, iż przeciąganie dyskusji nie przyniesie mu żadnych sukcesów. Chłopak ocenił go bezbłędnie i gdyby narobił wrzasku albo zaalarmował dozorczynię, przyjechałaby niechybnie milicja.

Oddalił się bez słowa, czyniąc w duchu śluby, że porachuje się jeszcze z wścibskim i nad wyraz niesympatycznym rówieśnikiem.

Było już po trzeciej, ludzie wracali z pracy. Na klatce schodowej wzmógł się ruch: kursowały nieprzerwanie obydwie windy; raz po raz trzaskały drzwi mieszkań, zza których dobiegały Rycerza najróżniejsze odgłosy — a to czułe powitania, a to gderanie lub kłótnia. Tu i ówdzie wyły również, szczekały i popiskiwały psy, których chłopak nie lubił — gdyby zależało to od niego, wytrułby je wszystkie co do nogi.

Obserwował z nienawistną uwagą czarnego, roztrzęsionego pinczerka, który lamentując cicho, żałośnie, biegał w tę i z powrotem po korytarzu drugiego piętra.

Widać było, że coś mu dolega, że jest w ciężkiej, aczkolwiek tylko psiej rozterce. Na chłopca nie zwracał uwagi, choć w innych okolicznościach nie dałby mu pewnie spokoju. Skamlał cichutko, strzygł uszami nasłuchując sobie tylko zrozumiałych dźwięków.

Zaciekawiony Rycerz minął zakole muru i rzucił okiem w głąb pustego korytarza — świsnął ujrzawszy otwarte szeroko drzwi, z których wiało dosłownie opuszczeniem.

Coś podszeptywało: — Nie chodź tam! Uciekaj! Ale ciekawość była silniejsza.

Przekroczył próg, pies tymczasem rozszczekał się w korytarzu. Wtedy dopiero zdecydował się na ucieczkę. Stanął twarzą do drzwi wyjściowych i patrzył jak skamieniały na umocowany wysoko nad framugą zatrzask, który domykał je automatycznie.

Podskoczył i chwycił za klamkę. W tym samym momencie rozległo się wysokie, przeraźliwe wycie alarmu.

C.D.N.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Disco w pokrzywach

(1)

RYSZARD BINKOWSKI

1.

Sprytny ajent, Marek Barański, rozłożył na biurku mapę województwa sieradzkiego, przywołał babcię Kazię i pyta:

— Babciu, co wam się kojarzy, jak patrzycie na ten porysowany papierek?

Babcia Kazia nałożyła okulary i pochyliła się nad mapą.

— Mnie się to kojarzy z listami waszego dziadka — rzecze ze łzą w oku. — On też tak gryzmolił, że nijak odczytać nie było można.

— Ech, przypomnijcie sobie, babciu, coś przyjemniejszego!

— Hę?

— Popatrzcie, babciu na swoje strony rodzinne. Może jakaś nazwa jest wam szczególnie miła?

Kazimiera pochyliła się głębiej nad papierem geograficznym.

— A juści! — wrzasnęła olśniona. — Tumidaj! Zahulałam tamuj pierwszego oberka, aż wianek się posypał, jak zwiędła mięta przy kądzieli...

— Otóż to! — zatarł ręce Barański. — To jest właśnie ta nazwa!

Dokonawszy plagiatu z mapy, sprytny ajent nazwał swoją kawiarnię „Tumidaj".

Lokal znajdował się w miejscu ustronnym, przy ulicy biegnącej wzdłuż pól pszenno-ogrodniczych. Na zapleczu rosły ogórki w pokrzywach, po prostu raj dla naturystów. Za ścianą grzmiało disco, a w pokrzywach można było sobie dawać skolko ugodno, jak mawia przyjazny nam naród.

Z tym, że w kawiarni Barańskiego dawano sobie przeważnie w gaz pod postacią grzanej wódki marki „Adwokat" oraz koniaku pędzonego w ramach RWPG. Wedle ustawy antypijackiej w kawiarni można pić osiemnastoprocentowe błoto produkcji krajowej oraz zbełtane mieszanki z importu, ale w „Tumidaju" dyskoteka wszystko zagłuszała, szczególnie o nocnej porze, toteż ludzie dawali sobie, co mogli. Wypomadowany ciota dał kochankowi, Zyta dała majstrowi z tkalni, stary urka dał popalić doliniarzowi z nowicjatu, a ktoś trzeci dał czwartemu po prostu w mordę.

I nikt się nie czepiał, nikt niczego nie widział, albowiem bramkarze działali tylko do połowy seansu, tj. do dwudziestej drugiej. Potem sami sobie dawali, a muzyka disco grzmiała samopas, ponieważ jockey również był wyłączony z nici przytomnych. Na okrągło niósł się wrzask „Mniej niż zero" oraz „Nie ma wody na pustyni". Franek Kimono oniemiał, gdyż wskutek nadmiernej eksploatacji zdarła się taśma.

2.

Pamiętnego sierpniowego wieczoru w „Tumidaju" urzędował Leon Beker z Wieśkiem Walickim oraz ich małpia obstawa. Nie były to jednak goryle z nomenklatury, tylko złośliwe pawiany służące do chełpienia się, przedrzeźniania i flekowania bliźnich. Zamiast podrygiwać solo w migotliwym świetle, jak to w dyskotece, okupowali stolik w pobliżu klozetu i podgrzewali się czym popadło.

Dwudziestodwuletni szef, Leon Beker, miał dyplom ukończenia podstawówki i jako kawaler bez zawodu odbywał zastępczo służbę wojskową w szpitalu w stopniu młodszego sanitariusza. Dzięki zetknięciu z medycyną pewien biegły mógł stwierdzić, że Leon miewa napady omdleń padaczkopodobnych.

Natomiast pewien inspektor służby operacyjnej był zgoła innego zdania. Owszem, Beker miewał napady, tzn. dość często padał ofiarą ludzkich pomyłek, ale jego padaczka tyle miała wspólnego z ciężką chorobą, co stosunek płciowy słowika z aligatorem w wannie. Gdyby Leon był padaczkopodobny, to nie musiałby się melinować przed wojskiem w szpitalu.

Inspektor oświadczył, że Beker nie jest formalnie zarejestrowany w ewidencji elementu kryminalnego, lecz w przeszłości przewijał się w kilku sprawach jako milicyjnie podejrzany, np. za pobicie obywatela Cyrana, kradzież portfela z pieniędzmi lub kradzież kożucha w „Honoratce". Unikał odpowiedzialności karnej, gdyż wcześniej zawsze zdołał dojść do porozumienia z poszkodowanymi, wyrównać straty i przekonać ich o przypadkowym, nie przestępczym charakterze całego zajścia. Ot, wypadek przy pracy.

Beker znany był z występów pijackich w lokalach całego miasta, gdzie towarzyszyły mu osoby milicyjnie notowane. Z obserwacji wynikało, że mimo młodego wieku jest osobnikiem wysoce zdemoralizowanym.

Jego prawa ręka, W. Walicki, miał dwadzieścia lat. Jako nigdzie niepracujący kawaler bez zawodu był mniej zdemoralizowany, lecz bardzo pojętny, toteż szybko uczył się życia. Jego ideałem był Leon.

Nieformalna grupa poodgrzewała się przeto w migotliwym świetle disco i snuła domysły oraz legendy na temat życia erotycznego panny Jagusi ze sklepu tekstylnego.

— Wszedłem ci ja z Krajskim do jej mieszkania — wspominał rzewnie Smółka — a tam stoi Lolek bez spodni. Patrzę, a przed nim siedzi na wersalce Jagusia zajęta lubieżnością. Lolek wciągnął spodnie, a Jagna pyta, czy nie poszedłbym ewentualnie na taki epizod. Spłoniłem się aż po nogawki, ale Krajski poszedł. Potem jednak zawziąłem się po męsku, wyprowadziłem Jagnę z disco na boisko i strzeliłem gola w ramach przepisów.

— Smółka ma awersję do eksperymentów — stwierdził fachowo Beker. — Ja również, bracia. Spotykałem się z Jagną często, jednak prawie zawsze brałem ją po ludzku jak uczy pani Wisłocka. Ale zdarzały się też dziwactwa..

Wiesiek był stateczny, skromny i małomówny.

— Byłem z Jagną w kąpielisku — bąknął nieśmiało.

— I co?

— Za pierwszym razem doszło do kontaktu cielesnego, ale rzuciłem ją natychmiast, bo chciałem się żenić z Julą Marycówną.

— Ja też chciałem się żenić z Julą — oświadczył Leon. — Bo Jagusia jest zbyt cnotliwa. Robi to w parku, w lesie, w mieszkaniu, na boisku...

— Ale nie za forsę, tylko z przyjemności.

Wszyscy strasznie się podgrzali tymi legendami. Wyobraźnia aż im kipiała pod czaszkami. Niby przeżywali te seksy z Jagusią, ale żaden nie miał świadka, który by to potwierdził.

No cóż, faktem jest, że Jagusia nie była dziewicą. Od roku współżyła ze swym narzeczonym, ale tylko z nim, i to wedle przykazań babci i taty z mamą.

Trzeba było jednak o czymś gadać, ponieważ nieformalna grupa rozpustnych puszczała ostatni grosz na przepał.

3.

O godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści przed „Tumidaj" zajechała Lux Torpeda z Bielska Białej. Jak się wkrótce okaże, było to najpojemniejsze auto małolitrażowe polskiej produkcji.

Z auta wysypała się reprezentacja sektora prywatnego. Pierwszy wysiadł Marek Pietrzak, dwudziestosiedmioletni młodzieniec w niezwykle cennych okularach. Miał średnie wykształcenie oraz nieco wyższe dochody. Był właścicielem małego fiata, którym zajechał sektor, i prywatnego zakładu krawieckiego, który świadczył usługi dla ludności, i nie tylko. Okulary nosił nie z powodu żmudnych wyliczeń podatkowych, co wskutek przewlekłego przeciągania nitki przez ucho igielne.

Roboty miał huk, musiał bowiem uszyć coś czasem do sklepu Jana Ceraty, ojca rzeczonej Jagusi, dziewiętnastoletniej panny po szkole handlowej, która pracowała jako sprzedawczyni w toaletowym sklepie. Pietrzak znał się dobrze z rodzicami Jagusi, jeszcze lepiej z samą Jagusią, gdyż uchodził za jej narzeczonego.

Pomógł z gracją samodzielnego krawca wysiąść pannie z fiacika, po czym wprowadził ją z honorami do „Tumidaju", gdzie akurat nasilał się szczyt discogrania.

Za nimi weszła do kawiarni Jula Moryc, osiemnastoletnia krawcowa niepracująca. Nie kochała ona takich typów, jak Leon, Wiesiek czy Smółka, ponieważ byli wulgarni i biedni. Jula potrzebowała do życia jaki dobry prywatny interes.

Towarzyszył jej Ryszard Plocek, dwudziestoletni ogrodnik i drobiarz zarazem, czyli badylo-kurzelak z podmiejskiej wsi. W drodze do wejścia odstał na chwilę od Julii, aby splunąć ze wzgardą na ogórki w pokrzywach. Nie kochał badylarskiego partactwa ani ubogiej Julii czuł za to pociąg do Jagny Ceratówny. Kiedy zaprosiła go na dziś wieczór, przybył już o osiemnastej i warował u jej stóp, aż zjawił się Pietrzak w Lux Torpedzie, mącąc tym czar skrytej miłości.

Ryszard Plocek też miał auto, nie mógł jednak jechać na disco, bo lubił w tańcu zaprawiać. Wiedział jednak, iż Jagna darzy go uczuciem, on zaś był jej wzajemny od pierwszego wejrzenia, gdyż przyjechała z tatusiem na wieś po świeże jajka.

Na końcu sektora wlókł się Zbyszek, młodzieniec typu NN, żaden bowiem z niego bohater. Ot, przyzwoitka, takie piąte koło u wozu, nie do pary. W „Tumidaju" nie miało to jednak znaczenia, gdyż każdy bawił na solo.

4.

Grupa Pietrzaka opanowała wpierw stolik w zacisznym punkcie, by nie rzucać się zanadto w oczy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, gdyby ta zechciała zrewidować nocny „Tumidaj". Następnie grupa udała się w intelektualną konwersację na temat krawieckich dodatków, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Na wniosek pani wszyscy podrygali szparko przez parę minut, po czym usiedli zziajani, lecz wcale nie rozgrzani. Panowie popatrzyli na siebie, spuścili wstydliwie oczy, wreszcie Pietrzak przemógł się i wykazał gest stawiając towarzystwu pół setki „Adwokata".

Kiedy Jagna wyciągnęła ze strzykawy cały antybiotyk, z miejsca poczuła się na siłach i ruszyła w szalone tany. A za nią lu! reszta prywaciarzy, łącznie z tym Zbyszkiem NN, co nie był do pary.

Koluje Jagna zawzięcie, pracuje biodrami niczym córka Dominikowej na weselisku w Lipcach, a poprzez migot świetlisty jakiś wariat drze się bez przerwy „Mniej niż zero, mniej niż zero!" Jak gdyby Jagusia nie mogła się wyrobić, jakby nie kręciła kuprem z werwą szlifierki na gwarancji.

Podwoiła Jagna obroty i wtedy od stolika przy klozecie dojrzał ją nareszcie Leoncio Beker. Wtoczył się na róg sali i zatrzymał Jagusię w locie. Był nadęty jak policyjny balonik, nadymany przez murarza na szychcie po trzynastej.

— Tańczysz tylko ze mną, Jagusiu — rzecze nadęty Leon.

— Aha! Tutaj każdy kręci, jak chce! — odpowiada krnąbrnie szalona Jagusia.

Beker drygnął ze trzy razy, po czym skrócił dystans. Chwycił Jaguś za szyję łabędzią i poszedł do zwarcia.

— Tylko ze mną! — syczy jej w ucho. — A poza tym kończą nam się kartki na paliwo...

— He, he! A czy jam reglamentacja? — droczy się Jagusia.

— Posłuchaj, mała. Dasz mi tysiąc, a kolegom sypniesz, że to zwrot pożyczki.

— Ależ ja nie jestem ci nic winna!

— To będziesz! Niech cię oni ratują finansowo, bo inaczej marny wasz los, ty rozpierdówo — zakończył taktownie Leoncio.

Następnie wykonał kilka podrygów i pchnął Jagnę w stronę stolika z odrętwiałymi kolegami, sam zaś zajął punkt obserwacyjny przy ubikacji.

C.D.N.

Wiersze grupy poetyckiej „Centauro"

Jacek Chyliński

Motyl

Znów pod naszymi stopami
— brakuje asfaltu
tylko w wazonie
jak zapomniany uśmiech
forsycja bawi się żółtym kolorem
wypadając z ostatniego zakrętu
moje dłonie
— jak para hazardzistów
wydarły z mroku garść jutra
już inny
— nie motyl
a człowiek po przekątnej ustawiony
mam jeszcze w oczach twoje sny
które oprawione w pastelowy kolor
— naszego domu
pewnego dnia włożyłaś na palec

Monika Chybowicz

☆ ★ ☆

kto zna wpatrzenie
tygodniowej miłości
ten ma smutek pod naskórkiem
a w szafie
butelki po piwie i czystej
jakiś okruch jesieni czy lata
kwiatek zasuszony głupio
w książce
słowa te same
uparcie
reperuje
odprasowuje

Marek Grzegorz Madej

☆ ★ ☆

Kto nocą do drzwi puka
Komu nie wolno otworzyć

Kto zęby wyważa
Języka twardym ostrzem

Usta kalecząc kto wargi rozcina
Słowem zuchwałym Kto myśli
Że nas przetrzyma

Czy mi przynosi obiecane góry
Czy złotą ziemię Kto

I czy w workach pełnych
Snu pod oczyma

Krystyna Sobieraj

Mysia mądrość

Całą mądrość mieści się na końcu mysiego ogonka
trzeba mieć mysią cierpliwość w podgryzaniu pudełka a także bezczelność
mysiego marszu środkiem stołu
trzeba nauczyć się cichego siedzenia w kącie radości okruchów i cienia
jedyny problem żeby przeżyć

Jadwiga Ignaczak

Lot I

Kim pani jest?
Kto dał pani prawo
atakowania naszych myśli
przyzwyczajonych już do kaftanów bezpieczeństwa.

Troskliwie otuleni
bez bólu zapominamy
o zdewaluowanych wartościach
których nazwy brzmią już tylko sloganami.
Nasze oczy i uszy poddane zabiegowi
doskonałej sterylizacji z wrażliwości
bezbłędnie zdają egzamin
z recepcji jednowymiarowej.
W naszym świecie
nie ma ścian
drzwi
i sprzętów.
Tylko czasem
ktoś z nas
staje na szerokim parapecie
pozostawionego przez pomyłkę okna.

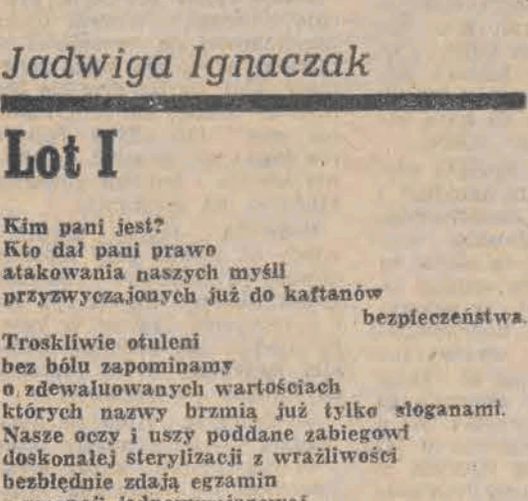

Rys. Janusz Szymański-Glanc

DLA DOROSŁYCH DOZWOLONE...

Ukazała się, wydana nakładem „Iskier", książka Zbigniewa Batko „Z powrotem, czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur". Przeznaczona ona jest dla dzieci i byłych dzieci. Z tego powodu zrobiliśmy mały eksperyment. Recenzję z tej książki napisali: 15-letni młodzieniec Adam Szymczyk i zawodowy krytyk Henryk Pustkowski. Co z tego wyszło? Proszę, osądźcie sami...

I Ty możesz być Królikiem

Książkę Zbigniewa Batki „Z powrotem, czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur" przeczytałem pomimo jej okładki i ilustracji wskazujących na to, że jest ona lekturą przeznaczoną dla młodszych dzieci. Moją zasadą jest bowiem dzielenie książek nie na „dla dzieci" i „dla dorosłych", lecz na dobre i złe. Ta, o której chcę napisać, należy bezsprzecznie do pierwszej grupy. Z czystym sumieniem postawię „Z powrotem" na półce obok „Alicji w Krainie Czarów", „Wodnikowego Wzgórza", czy „Księgi nonsensu". Obok książek, do których się wraca.

O czym opowiada autor?

Oto po bliżej nieokreślonej rzece płynie na łodziach wielka gromada królików. Płyną bez przerwy, nie oglądając się za siebie, zapatrzone w jakiś nadrzędny, choć niewiadomy cel. Jeden z nich, za chwilę główny bohater książki, buntuje się przeciwko kierunkowi podróży, narzucającemu coraz większą szarość i nudę. Opuszcza łódź i rozpoczyna drogę wstecz, z p o w r o t e m do Źródła, chcąc znaleźć się tam, gdzie „sny mają realność jawy, a jawa zwiewność snu" — tam, gdzie kiedyś rozpoczął się wyścig będący metaforą życia.

W miarę cofania się z biegiem strumienia (a zarazem jakby z biegiem czasu), Królik wchodzi w coraz bardziej kolorowy, poetycki świat, o którym marzył. W czasie ulewnego deszczu dociera do domku na dwóch nogach, zamieszkałego niegdyś przez Kopciuszka i inne postacie z różnych baśni. Nawiązuje znajomość z zielonym Koniem (moralne przeciwieństwo Królika), który odtąd staje się jego przyjacielem. I od tej chwili rozpoczyna się długa seria wspólnych przygód. Królik w niesamowitych okolicznościach traci futro; w czasie wyprawy bohaterów do miasta; napada na nich Babcia Alicji i 40 rozbójników; Królik i Koń zawierają znajomość z zegarmistrzem Tempusem Fugitem (!), sprzedającym także bomby zegarowe, a później z Pingwinem, posiadającym (fikcyjny) tytuł Barona....

Nie będę zdradzał wszystkich przygód, powiem tylko, że rozwiązanie akcji zaskoczyło mnie, a jeszcze bardziej nieprawdopodobna okazała się historia Królika. Otóż Królik i niejaki Trójząb (postać ta, choć bardzo ważna, pojawia się dopiero pod koniec książki) są rozdzielonym na dwie części Słoniem, który nie umiał dobrze stosować magicznych zaklęć i źle na tym wyszedł.

Głównym bohaterem „Z powrotem" jest, jak już mówiłem, Królik. Wrażliwy, czasami rozkojarzony a czasem zaskakująco sprytny, budzi sympatię. Jest czuły na nieszczęścia innych i uczynny. Najbardziej istotną cechę jego charakteru zilustruje taki choćby przykład: z ziaren zasianych przez wygłodniałych Królika i Konia nieoczekiwanie wzeszły piękne kwiaty. Bohaterowie zareagowali każdy zgodnie ze swoją naturą. „Poeta"-Królik wpadł w zachwyt nie dbając o żołądek, natomiast Koń, twardy materialista, wpadł tylko w ...furię.

Charakter drugiego z bohaterów — Konia — pozostawia wiele do życzenia. Jest on nastawionym na wartości materialne leniem, tchórzem i żarłokiem. Okazuje się jednak, iż jego cechy, w odpowiednich proporcjach wymieszane ręką autora, mogą dać w efekcie postać sympatyczną, czasami nawet budzącą współczucie (Koń cierpi na kłopotliwą chorobę, skutek wielkiej nieśmiałości: zmienia własną barwę zgodnie z barwami pór roku).

Koń i Królik tworzą parę, która brnie przez przygody trzymając się razem, często na zasadzie konfliktu.

Nieco mniej widoczną postacią jest Pingwin. Podobnie jak Koń, dwuznaczny moralnie (zbyt wybujała fantazja, mówiąc delikatnie). Jego główną zaletę stanowi doskonała znajomość praw savoir-vivre'u. On także żyje we własnym mikroświecie, rządzącym się swoimi prawami (cecha prawie wszystkich postaci ze „Z powrotem"), jednym słowem stanowi znakomite uzupełnienie dwóch poprzednich bohaterów. Z pozostałych wymienię jeszcze Kukółkę (tu nie ma błędu ortograficznego), Trójzęba (fizycznie, jako jedna z dwóch części Słonia, właściwie tak samo ważnego jak Królik) i... Aby gruntownie zapoznać się, a może i zaprzyjaźnić z nimi wszystkimi, wystarczy przecież otworzyć książkę.

Istnieje kilka przyczyn, dla których „Z powrotem" bardzo mi się spodobało. Przyczyna pierwsza to specyficzny rodzaj humoru, którym posługuje się autor. Humor ten ma niezwykle cenną cechę — wymaga dużej wyobraźni czytelnika, jest w pewnym sensie przez niego współtworzony. Po prostu — Zbigniew Batko postawił w swej książce na inteligencję odbiorcy (mam nadzieję, że się nie przeliczył).

Inna strona tego humoru to śmiałe i częste nawiązywanie do innych autorów (np. „Fragment dramatyczny" na s. 161—162 jest jakby żywcem wzięty z Teatrzyku „Zielona Gęś" Gałczyńskiego, a monolog w niej zawarty to parafraza słów Konrada z „Dziadów"). Nie oznacza to, oczywiście, że książka jest wtórna; przeciwnie, rozszyfrowywanie fragmentów znanych tekstów było dla mnie doskonałą zabawą. Zabawne są także nieoczekiwane „spięcia" między baśnią a rzeczywistością (np. stwierdzenie, że „Wyrwidęby niszczą drzewostan").

Cały ten humor nie służy tylko wywołaniu rozbawienia u czytelnika, ale jest ważnym składnikiem nastroju i poetyki utworu:

„Wraz z nadejściem lata powrócił z ciepłych krajów dom. Opalił się, przytył — był obecnie domostwem trzyizbowym.

Gajowi odtajali i powrócili do stęsknionych rodzin. Tylko trzeci, podwodny, zaginął bez śladu.

Koń podjął na nowo kopanie dołów, Pingwin zamierzał szukać zimy, Królik zaś niezmiennie pochłonięty był puszczaniem baniek. Surowca dostarczał mu Koń, który odstępując swe mydło bohatersko rezygnował z wieczornego mycia nóg" (s. 109).

Obawiam się tylko jednego: ta wartościowa książka, będąca ewenementem wśród polskich utworów dla dzieci i młodzieży, może nie zostać zrozumiana przez dzieci młodsze. Czy nie będą one bezradne wobec licznych utrudnień, jakie zawiera „Z powrotem"? Wieloznaczność niektórych scen, wspomniane już aluzje do „niewłaściwych lektur", skomplikowana fabuła i kompozycja utworu mogą sprawić, że część młodszych dzieci podejdzie do książki bez entuzjazmu.

Uważam, że największe szanse właściwego ocenienia utworu ma młodzież — moi rówieśnicy, pod warunkiem, że będzie to młodzież, której ulubioną lekturą była „Alicja w Krainie Czarów", a wcześniej „Kubuś Puchatek", a nie „Zapałka na zakręcie".

Dorośli mogą uznać, że czytanie książki przeznaczonej dla dzieci nie licuje z ich wiekiem i powagą — i to będzie ich duży błąd. Utwór dedykowany jest „Byłym Dzieciom" i sądzę, że znajdą one w „Z powrotem" odblask świata, którym kiedyś żyły.

ADAM SZYMCZYK (lat 15)

W poszukiwaniu straconego czasu

Różne są powroty do „kraju lat dziecięcych" i różne motywacje tych powrotów. Podlegając procesom automatyzacji nasze dorosłe życie zaczyna szarzeć i staje się nużące. Godzimy się z tym, że jest „uświadomioną koniecznością", można mu wszak przeciwstawić alternatywną wolność — dziecięce adamistyczno-„pierwotne" spojrzenie na świat nie skażone jeszcze konsumpcyjną, zimno-racjonalną etykietą zachowań i dążeń. Odnajdując w sobie dziecko wracamy do tego utraconego świata. Ponieważ te drogę „z powrotem" po tropach własnej biografii uniemożliwiają luki pamięci odwołujemy się najczęściej do „kulturowych" przeżyć z dzieciństwa, sięgamy po nasze lektury z okresu młodości.

Sięgamy zaś najchętniej po te książki, które projektują odbiorcę w przysłowiowym przedziale czasu: od lat 7 do 77. Przejawem takiego pożytecznego i odprężającego wyobraźnię „zdziecinnienia" są ponowne lektury „Kubusia Puchatka", „Piotrusia Pana" czy „Alicji w Krainie Czarów".

Powyższe wprowadzenie do recenzji książki Zbigniewa Batki jest jak najbardziej zasadne. Pomysł tej książki zrodził się z konieczności wyrwania się z nurtu czasu, wyskoczenia na brzeg, puszczenia naszej fantazji „na wagary", chęci powrotu do źródeł, aby uzyskać przepustkę do krainy nie krępowanej niczym wyobraźni. W tym świecie królik nosi (na miejsce zjedzonego przez mole futerka) mufkę, zielony koń buduje igloo, gajowi dzielą się na ziemnych i podwodnych, dziwni mieszkańcy planety Tereski recytują Ode do marchwi, różowy słoń pojawia się na zasadzie deus ex machina, zaś przedsiębiorcze krasnoludki starają się trochę uporządkować ten zwariowany świat.

Książka Z. Batki projektuje dwu wirtualnych odbiorców: odbiorcę „dziecięcego" oraz „dorosłego". Ten pierwszy będzie zapewne śledził perypetie sympatycznych zwierzęcych bohaterów (Królika, Konia, Pingwina) z wszystkimi powikłaniami nadrealistycznej, czy też pure nonsensowej wizji przedstawionego baśniowego świata; ten drugi („dorosły") będzie raczej łowca wszystkich metaliterackich odniesień do znanej powszechnie literatury tego typu. Jeśli nawet jestem trochę bezradny w ocenie możliwych stereotypów odbiorczych czytelnika — dziecka, to mogę zapewnić, że czytelnik „dorosły" wyniesie wiele satysfakcji z rozwikłania wszystkich gier literackich, jakie „Z powrotem" proponuje. Te literackie odniesienia są różnego charakteru, od cytatu poprzez aluzję do transformacji (parodystycznej niekiedy) sytuacji literackich znanych z wcześniejszych lektur. Dla przykładu: perypetie bohaterów zwierzęcych kojarzą się z lekturą „Kubusia Puchatka" (wyraźniej jest to zaznaczone w scenie wzajemnych bezskutecznych odwiedzin) fragment opisujący zwariowany sąd, gdzie funkcje stron przyznawane są losowo przypomina odpowiednią scenę z „Alicji w Krainie Czarów", dziwna planeta Tereska jest transpozycją (zmierzającą w stronę ludyczności) planetarnych podróży z „Małego Księcia", znajdziemy też cytaty z „Robinsona Cruzoe" i z „Zielonej Gęsi" Gałczyńskiego. Książka Z. Batki nie wymaga reklamy (nawet ze względu na chłonność rynku — popyt na literaturę tego typu) warto jednak podkreślić jej literacki „nadmiar" — ową grę z literaturą, którą sygnowaliśmy wyżej. Jest to poza tym wszystkim książka pięknie wydana. Niepoślednią rolę odgrywa tu opracowanie graficzne — ilustracje Stasysa Eidrigeviciusa. Jak się rzekło, reklamować książki nie trzeba, rzecz w tym — by ją jeszcze zdobyć.

HENRYK PUSTKOWSKI

Zbigniew Batko — Z powrotem, czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur. Ilustrował Stasys Eidrigevicius, Iskry, Warszawa 1984 r. s. 192, cena 300 zł.

Z NOTATNIKA PAMFLECISTY

Sprawiedliwość jest antypatyczna

Zachęcam do obejrzenia filmu Krzysztofa Kieślowskiego pt. „Bez końca". Otóż na początku tegoż obrazu można zobaczyć twarz człowieka z marmuru, który oznajmia, że umarł.

„A ja nagle poczułem strach, że coś zaboli mnie w sercu... nawet nie zdążyło mnie zaboleć... tylko poczułem strach i nabrałem powietrza w płuca... i tyle...".

Przyznam, że to mną wstrząsnęło. Reżyser na początku uśmiercił jeden z większych pomników narodowych. Umarły pomnik będzie się jednak błąkał przez cały film jako mara nawiedzająca wdowę w wykonaniu Szapołowskiej, która reprezentuje bardzo ciekawy typ polskiej kobiety. Otóż wdowa ta, imieniem Urszula, będąc czasowo na terenie państw kapitalistycznych, jako przewodniczka „Orbisu" pozwoliła sobie zrobić akty, mające podnieść na okładkach nabywców tamtejszej prasy. Czyli jest to kobieta, która oddała się niegdyś burżuazji. Rozerotyzowana Urszula jest niebywałą atrakcją tego filmu, widzimy ją parę razy nago, ale jako kapitalistyczną fotomodelkę Kieślowski charakteryzuje ją z pikantnym negatywizmem. Rychło po śmierci męża oddaje się ona za 50 dolarów napotkanemu Amerykaninowi, ponieważ miał podobne do człowieka z marmuru dłonie. A to dopiero wrażliwa dusza! Na domiar jest tłumaczką Orwella — czyli jednocześnie fotomodelką, call girl i burżuazyjną tubą propagandową. Niemniej za złotówki rozbierze się Szapołowska i przed polskim widzem, co świadczy o poświęceniu dla sztuki i jest przebiegłym pretekstem dla reżysera, aby wprowadzić do filmu scenę, w której rozebrana Urszula wsadza rękę pod kołdrę, następnie drga na wznak na tapczanie, męczona chorobą św. Wita. Domyślam się, że trudna do uzasadnienia w strukturze utworu scena wprowadzona została, aby film nie poniósł tu i tam klapy.

Domniemywam o tym obrazie w sposób polityczny, ponieważ jest to film poświęcony polityce. Otóż ukazana jest w nim niesłychana historia: żona wraz ze szwagrem — pseudo Rumcajs — zainspirowały męża do sprowokowania strajku po ogłoszeniu stanu wojennego. Czyli młodzi mają czym się wykazać dla burżuazji. Inaczej rzecz się ma ze starymi — Bardini, adwokat o fantazyjnym nazwisku Labrador, nawraca młodzieńca, który dał się powodować. A więc młodzi są znerwicowani, natomiast starzy dojrzali. Podobnie w drugim obozie: otóż młody aplikant sądowy — istny diabeł — namawia oskarżonego do głupoty i obiecuje sławę za cenę dożywocia:

„Pan strajkował, żeby skruszyć system. Jeżeli pan chce siedzieć, niech pan siedzi za coś. I tutaj wyrok zaczyna się od trzech lat. — A kończy? — Hmmmm...".

A sędzia jest Wokulski, który ma głos przynależny jak Bohdan Poręba... a jeszcze w dodatku wąs — ale to tylko Kamas. (Bardzo dobra rola, chociaż przebija z niej idea, że sprawiedliwość jest antypatyczna, z czym się trudno zgodzić — na koniec szok: władza wybacza — czyżby była dobra..., zebrani na sali sądowej nie wiedzą jak się znaleźć — konsternacja). Natomiast oskarżony o nieposłuchanie generała Jaruzelskiego, nazwiskiem Stach, jest Sarmatą. Otóż ten oskarżony według mnie obsadzony jest tendencyjnie i prowadzony zbyt gruba kreską. Oblicze jego jest nie zmącone żadną myślą, wzrok tępy. Przesada ta może wskazywać, że Kieślowski chciał się przypodobać Urbanowi, a wystarczyłoby przecież samo przesłanie, że mądrzy są dojrzali, a młodzi nie przejrzeli.

Ale credo filmu jest inne, zaszyfrowane w następującym dialogu:

— *„Wyjeżdżam... ciężko to było powiedzieć... w ogóle ciężko to mówić...*

— *Dokąd?*

— *Przez Kanadę...*

— *Nie za łatwo?...*

— *Pewnie, że za... ale dlaczego szukać trudniejszego... niczego tu nie zastałem... nie ma już tego świata, który był... jakieś rozeźlone twarze, ktoś komuś podaje rękę... wszystko jasne, proste... nie ma tego... to był świat Antka prawda?...*

— *Był.*

— *Ludzie się pozamykali... porozdzielali... nie wiadomo, co dobre, a co złe... z jednymi być nie chcę, z drugimi nie mogę... próbowałem osobno, ale zawsze się jest samemu... myślałem, że może... eh, wyjeżdżam..."*.

Kieślowski przemienił film w podanie o zatrudnienie za granicą i jako taki film ten zdumiewa swoją szczerością. Gdybym ją miał rozpatrywać to podanie, rozpatrzyłbym je pozytywnie.

KRZYSZTOF KOWALSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

Z DZIEJÓW POLSKIEGO ANTYLIBERTYNIZMU

Twórczość wielkich myślicieli i filozofów francuskich Voltaire'a i Rausseau'a wzbudzała wśród osiemnastowiecznych Polaków mieszane uczucia. Jedni wysoko cenili tych orędowników postępu i wiary w ludzki rozum, inni otwarcie z nich szydzili, pozostali zaś niewiele o Russie i Wolterze wiedzieli, bo nie tylko nie byli jeszcze oświeceni, ale nawet pisać i czytać nie potrafili.

Pewien rozsierdzony sarmacki wierszopis niewprawną do pisania ręką nakreślił na książce C. L. Richarda „Wolter między nieboszczykami" (Kraków 1781) wierszowaną inskrypcję (obecnie w zbiorach Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi):

Łeb jak u byka,
Nogi jak tyka.
Panie Wolterze,
Ja ci nie wierzę.

Pewien proboszcz piorunował z ambony we wiejskim kościele na Woltera i Russa. Ludzie, co nic o tych dwóch mężach nie słyszeli, spali w najlepsze. Pewna pobożna staruszka widząc, jak jej córka drzemie, trąciła ją i mówi: „Nie wstydzisz się spać, kiedy ksiądz opowiada tak piękne rzeczy o dwóch wielkich świętych, o Wolterze i Russie?" (Anegdoty z dziedziny duszpasterskiej zebrał ks. Józef Makłowicz. Kraków 1911).

Znajdowała się wówczas (na przełomie XVIII i XIX w.) na rynku krakowskim kamieniczka, jedyna w swoim rodzaju, bo tak wąska, że na wszystkich piętrach było tylko po jednym oknie. Kamieniczka ta, na kształt wieży kończyła się spiczasto i miała chorągiewkę. Na dole znajdował się wąski, długi sklepik, w którym siedział nie mniej ciekawy od kamieniczki człowiek. Był to księgarz odwieczny, nazwiskiem Drelinkiewicz. Sklep jego napełniony był starymi książkami i szpargałami. Żadna nowożytna książka nie przestąpiła progu kamiennego tego sklepiku. Biada temu, kto by się zapytał o taką książkę, mianowicie o Woltera, Russa itp. Ludzi dorosłych i starszych odprawiał impertynencją, ludzi młodych, chłopców, wyganiał po prostu batem. Z tej też przyczyny studenci różne mu płatali figle, a on coraz grubszy i dłuższy bat sporządzał. Często się zdarzało, że po zamknięciu żelaznej bramki owej kamieniczki, przywiązywali kota do dzwonka. Drelinkiewicz mieszkał sam jeden w tym domku i sypiał na 3-im piętrze, bo w całej tej kamieniczce trzy tylko były pokoje, po jednym na każdym piętrze. Po usłyszeniu dzwonka schodził w koszuli i boso na dół. Dowiedziawszy się, co się święci, łajał na całe gardło. Wówczas jakby echo w dali na rynku dawały się słyszeć słowa: Wolter, Russo, Luter a na progu domu Drelinkiewicz, wysoki, chudy jak szczapa, prawie goły, z iskrzącymi oczami i podniesionym w górę batem gromił i groził, kierując wejrzenia w kierunku owych głosów (Józef Dropsy: Z dni Rzeczypospolitej Krakowskiej. „Biblioteka Warszawska", 1913, t. 4).

POWIATOWA ARKADIA

— Dzień dobry, Róziu! Dla kogo te kwiatki?
— Dla kogo?... Dla mojej mamy.
— Nie zmyślaj, Róziu! My wykręty znamy,
Wszakże ta dróżka nie wiedzie do chatki!
— A pan te trześnie jak znalazł śród boru?
Tu same tylko brzozy i jesiony!
— Ja?... ja te trześnie niosę dla mej żony.
— Wszakże ta dróżka nie wiedzie do dworu!

Placyd Jankowski (1841)

NA POBOJOWISKU

Między rannymi w tej szarży (pod Samosierrą) leżał pod zabitym koniem Andrzej Niegolewski, znakomity później poseł z Poznańskiego na sejm berliński. W okropnych bólach wołał:

— Czyż się nikt nade mną nie zlituje i nie dobije mnie? Bo tych boleści już wytrzymać nie mogę.

Wtem poczciwy wiarus zbliża się do niego z karabinkiem, odwodzi kurek i przykłada mu lufkę do głowy. Wtenczas on krzyknął:

— A cóżem ci szelmo zawinił, że chcesz mnie zabić!

Nieraz mu to koledzy w 1831 roku przypominali. Był to przedmiot do częstych z nim żartów.

Leon Sapieha, Wspomnienia. Lwów b.r.

OMYŁKA W SŁOWIE

Starał się hołysz jeden o wdowę bogatą.
Nie drożyła się, poszła zeń choć ze swoją stratą,
Bo kiedy ją z majątku wszystkiego oskubie
I straci, źle ją począł traktować po ślubie.
Zowiąc ją zawsze babą. W tym tak przykrym słowie
Czując piołun, jednego razu tak mu powie:
Teraz mi mówisz: „Babo!", przedtem: „Mościa Pani!"
A on: „Mylisz się, bom ja mówił: Masz co, Pani?"

Józef Epifani Minasowicz (1782)

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Angielski Bruce Springsteen

„Chris Rea jest angielskim Bruce'em Springsteenem". Tak rozpoczyna się krótka informacja o piosenkarzu, zamieszczona w broszurce wydanej w związku z jego tegorocznym europejskim tournée. Jej autorzy chcieli zapewne w ten sposób zareklamować wykonawcę, który cieszy się mniejszą popularnością, niż jego sławny amerykański kolega. Porównanie to nie jest jednak bezpodstawne. Rea i Springsteen — oprócz tego, że związani są z muzyką rockową — reprezentują podobny typ osobowości artystycznej. Nie szokują melomanów makijażem i wymyślnymi strojami, jak to stara się ostatnio robić wiele gwiazd estrady; dżinsy i sportowa koszula, to główne elementy ich scenicznego „kostiumu". Obydwaj są bardzo konsekwentni w swoich poszukiwaniach twórczych i nie próbują za wszelką cenę nadążyć za muzyczną modą. Ich piosenki powstają pod wpływem własnych przeżyć lub obserwacji i dotyczą najczęściej problemów młodego pokolenia. Są nie tylko utalentowanymi kompozytorami i wokalistami, ale też zdolnymi instrumentalistami. Na tym jednak podobieństwa się kończą.

Springsteen — dziś chyba najpopularniejszy biały wykonawca w USA — jest urodzonym rockmanem, który najlepiej czuje się na estradzie. Jego czterogodzinne koncerty wprawiają słuchaczy w trans. To nic, że słowa piosenek przepełnione są gorycza. To nic, że mówią o wojnie i bezrobociu. Springsteen ukazuje przecież w nich także jaśniejsze strony życia. Wystarczy wziąć dziewczynę za rękę, napełnić bak starego „Forda" i pędzić przed siebie. Od kłopotów się nie ucieknie, ale można — chociaż przez chwilę — o nich zapomnieć. Ta nuta optymizmu towarzyszy całej twórczości Springsteena. Wciągnięci w szaleńczy rytm rocka słuchacze nie myślą o problemach. Zwłaszcza podczas występów teksty przestają się liczyć. Z chwilą, gdy Springsteen pojawia się na estradzie publiczność „rusza" razem z nim, aby w rytmicznych „maszynach dla samobójców" gonić miraż.

Chris Rea pisze piosenki mniej porywające. Dobrze słucha się ich w wygodnym fotelu, popijając kawę. Jego kompozycje przypominają raczej ballady Neila Diamonda niż dynamiczne utwory Bruce'a Springsteena, chociaż trudno odmówić im swoistej ekspresji. Gdy Rea opowiada o tym jak miłość zamienia się w kłamstwa („Love Turns To Lies"), czy śpiewa o swojej córeczce („Josephine"), jego ciepły głos wydaje się płynąć na fali delikatnych gitarowych akordów, urzekając swoim niezwykle sugestywnym brzmieniem.

Urodził się 34 lata temu w Middlesbrough (Anglia) w rodzinie imigrantów irlandzko-włoskiego pochodzenia. Nie od razu zainteresował się muzyką. Mając 18 lat rzucił szkołę i przez pewien czas pomagał ojcu w jego różnorodnych przedsięwzięciach gastronomicznych — od sprzedaży lodów, do prowadzenia własnej kawiarni. Praca przyszłego piosenkarza sprowadzała się głównie do wyganiania z lokalu kłopotliwych gości. Dwukrotnie niesforni klienci złamali mu nos, ale nie zdołali go zniechęcić do codziennych obowiązków. Przełom w życiu młodego Anglika nastąpił dopiero w 1974 roku, gdy usłyszał nagrania z płyty Joe Walsha. Zaraz następnego dnia kupił gitarę i zaczął uczyć się na niej grać. Jego pierwszy zespół nazywał się Magdalene. Współpracował też z grupą Beautiful Losers, w której debiutował niejaki David Coverdale — dziś jeden z członków zespołu Whitesnake. Wreszcie w 1976 roku Rea podpisał kontrakt z fonograficzną firmą Magnet Records, zaznaczając początek kariery solowej wydaniem longplaya „Whatever Happened to Benny Santini". Na płycie tej znalazł się m. in. utwór „Fool If You Think It's Over", który w Wielkiej Brytanii cieszył się umiarkowanym powodzeniem, natomiast w USA dotarł aż do piątego miejsca listy przebojów i przyniósł wykonawcy nominację do nagrody Grammy w kategorii „najlepiej zapowiadający się nowy artysta". Wśród kandydatów do tej nagrody znaleźli się wówczas m. in. Bruce Springsteen i Elvis Costello, a zdobyła ją grupa „Honey", o której słuch wkrótce zaginął.

„Lubię grać na gitarze i pisać piosenki. Tylko to jest dla mnie ważne. Nie chcę być gwiazdą pop, gdyż muzyczne żywoty gwiazd pop są krótkie. Pragnę tylko, aby moje albumy były coraz lepsze".

Płyty „Deltics" i „Tennis" — chociaż całkiem udane — utonęły w fali twórczości młodych zespołów punkowych, która zalała brytyjski rynek muzyczny pod koniec lat siedemdziesiątych. Również longplay „Chris Rea" miał niewielu zwolenników. Dopiero w 1983 roku wykonawca wrócił na listy przebojów z piosenką „I Can Hear Your Heartbeat" i rozpoczął pierwsze europejskie tournée. Jego międzynarodową sławę ugruntował znakomity album „Water Sign", który rozszedł się w nakładzie przekraczającym 500 tysięcy egzemplarzy. Dużym zainteresowaniem melomanów cieszyły się też longplaye „Wired to the Moon" i najnowszy — „Shamrock Diaries". Ten ostatni właściwie od niedawna zajmuje wysoką pozycję na liście bestsellerów i należy się spodziewać, że jego popularność będzie wzrastać, zwłaszcza że kilka tygodni temu firma Magnet Records wydała kolejny — po „Stainsby Girls" — singel zawierający piosenkę z tego albumu. Chodzi o krążek „Josephine", na którego stronie B znalazł się utwór „Dancing Shoes".

Wspomniałem już, że w twórczości Chrisa Rei przeważają nastrojowe kompozycje, oparte na elementach muzyki rockowej. Warto też parę słów poświęcić tekstom, najczęściej lirycznym, w których dominuje tematyka miłosna. Piosenka „Stainsby Girls" opowiada o uczennicach pewnej ekskluzywnej szkoły w Middlesbrough. Podobno wszystkie one były piękne, ale nie chciały się spotykać z chłopcami z irlandzko-włoskich rodzin. W jednej z nich Rea się zakochał i był wtedy chyba jedynym młodzieńcem obcego pochodzenia, który nie został odtrącony przez uczennicę szkoły Stainsby'ego. Działo się to kilkanaście lat temu i może nie warto byłoby o tym pisać, gdyby nie fakt, że Rea niedawno się z nią ożenił. Dziś oboje mieszkają w Berkshire z małą córeczką, o której Chris Rea śpiewa w swoim najnowszym przeboju.

Oczywiście nie wszystkie jego teksty są o miłości. Na przykład piosenkę „Midnight Blue" Rea napisał pod wpływem wrażenia, jakie wywarło na nim nowe ubranie brata, a utwór „Texas" był inspirowany wiszącym na ścianie w barze zdjęciem nagiej dziewczyny sfotografowanej na tle teksańskiego pejzażu. Ma on też w swoim repertuarze kilka nagrań traktujących o sprawach, które nurtują wszystkich Brytyjczyków; w piosence „Steel River" poruszył m. in. problem bezrobocia.

Karierę Chrisa Rei trudno nazwać zawrotną. Mimo iż jako solista koncentruje i nagrywa płyty od 1976 roku, dopiero niedawno zaczął liczyć się na muzycznym rynku. Charakterystyczne jest to, że stosunkowo najpóźniej jego twórczość docenili brytyjscy melomani. Właściwie dopiero w tym roku zaczyna odnosić sukcesy na Wyspach, podczas gdy w wielu innych krajach Europy Zachodniej cieszy się sporym zainteresowaniem od kilku lat. Niektórzy krytycy zapowiadają, że bieżący rok będzie dla niego pomyślny. Gareth Thompson z tygodnika „Music Week" twierdzi, że teraz gdy album „Shamrock Diaries" zajmuje wysokie pozycje na listach bestsellerów w Wielkiej Brytanii i RFN, Rea powinien pomyśleć o zainteresowaniu swoimi nagraniami słuchaczy w USA. Zdaniem Thompsona, Anglik mógłby być równie popularny jak Springsteen — „amerykański Chris Rea".

GRZEGORZ WALENDA

Kronika kulturalna

NAGRODY MINISTRA KULTURY I SZTUKI W ROKU 1985

Jak co roku minister kultury i sztuki przyznał nagrody I i II stopnia za działalność artystyczną i upowszechnianie kultury. Wśród nagrodzonych znaleźli się między innymi:

— **WACŁAW BILIŃSKI** — który otrzymał nagrodę za wybitną twórczość prozatorską podejmującą problemy współczesności,

— **HENRYK DEBICH** — który otrzymał nagrodę za wybitne osiągnięcia w Orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi,

— **ANDRZEJ PAPUZIŃSKI** — który otrzymał nagrodę za realizację filmów krótkometrażowych o sztuce.

Nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

DLA PAMIĘCI

Pisarz nie umiera całkowicie, jego obecność w czasie przedłużają jego książki. Jest to nieustający dialog kolejnych generacji z historią. Ale potomni czczą swoich autorów nie tylko wydając ich dzieła. Na domach, w których żyli i tworzyli, umieszczają tablice pamiątkowe nadając tej uroczystości podniosły charakter.

W ubiegłym tygodniu odbyła się taka uroczystość w naszym mieście poświęcona trzem, nie tak dawno zmarłym pisarzom, których twórczość jakże silnie była związana z Łodzią i jej historią.

W obecności przedstawicieli władz miasta, wydawców, przyjaciół — pisarzy oraz rodzin odsłonięto tablice na budynkach przy ulicy Przybyszewskiego 86 poświęconą **Jerzemu Zawieyskiemu**, Lokatorskiej 11 — **Antoniemu Kasprowiczowi** i Narutowicza 8/10 — **Władysławowi Rymkiewiczowi**. Trzeba zaznaczyć, że tablice zostały ufundowane przez miasto w wyniku starań łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich.

(el)

KARYKATURY STANISŁAWA IBISA-GRATKOWSKIEGO

W Muzeum Historii Miasta Łodzi czynna jest wystawa karykatur Stanisława Ibisa-Gratkowskiego. Wiele z tych karykatur było publikowanych w różnych pismach, przede wszystkim w „Karuzeli", a także na łamach „Odgłosów".

Stanisław Ibis-Gratkowski urodził się w 1923 roku. Jest absolwentem Wydziału Grafiki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Uprawia rysunek satyryczny i karykaturę. Współpracował ze „Szpilkami" i „Światem". Brał udział w wystawach rysunków satyrycznych nie tylko w kraju, ale i w Berlinie, Budapeszcie, Pradze, Kijowie i Montrealu. Od 1962 roku pracuje w „Karuzeli". W 1968 roku był laureatem „Brązowej Szpilki".

Na wystawie w Muzeum Historii Miasta Łodzi pokazano 40 karykatur wybitnych łodzian z minionych 40 lat PRL. Są więc tam między innymi karykatury Jadwigi Andrzejewskiej, Wacława Kondka, Tadeusza Kotarbińskiego, Benona Liberskiego, Artura Rubinsteina, Horacego Safrina, Igora Sikiryckiego, Władysława Strzemińskiego, Jana Sztaudyngera, Juliana Tuwima, Aleksandra Zelwerowicza. Są karykatury pisarzy, muzyków, malarzy, a także sportowców: Zbigniewa Bońka, Włodzimierza Smolarka i Jana Tomaszewskiego.

ze str. 1

Twardsze prawo

waniu karnym i w postępowaniu przed Kolegium do spraw Wykroczeń.

Tu słowo wyjaśnienia: otóż kara grzywny w prawie karnym występuje w dwojakiej postaci. Występuje jako tzw grzywna samoistna i może być także wymierzona jako kara dodatkowa obok kary pozbawienia wolności. Pierwsza, tzw grzywna samoistna jest wymierzana z reguły za przestępstwa o mniejszym ciężarze gatunkowym, natomiast w w sprawach poważniejszych, zwłaszcza przestępstw popełnionych w celu osiągnięcia korzyści majątkowej — jest to kara wymierzana obok kary pozbawienia wolności.

Grzywna samoistna dotychczas była wymierzana w granicach od 5 tys. zł do 100 tys. złotych. Tę granicę podniesiono: najniższa grzywna samoistna będzie wynosić obecnie 20 tys., zaś najwyższa 500 tys. zł, a więc pół miliona.

Równocześnie podniesiono wysokość grzywny obok kary pozbawienia wolności czyli tej grzywny, która stanowi karę dodatkową. Obecnie wynosi ona od 20 tys. do 5 mln zł.

Można byłoby mówić, że jest to grzywna bardzo wysoka. Oczywiście, w pewnych przypadkach taką ona będzie, ale chcę w tym miejscu przypomnieć, że przecież nie tak dawno mieliśmy proces przeciwko sprawcom, którzy przywłaszczyli skórę na 60 mln złotych, o czym pan pisał na łamach „Odgłosów". Przyzna pan, że w takim przypadku kara dodatkowa owych 5 milionów wcale nie jest wysoka, a nawet może być uznawana przez niektórych obywateli za grzywnę niską.

Obok podwyższenia tych górnych granic kary, wprowadzone zostały jednocześnie pewne obowiązkowe zasady wymierzania dolnej granicy kary. Przypomnę, że wynosi ona teraz 20 tys., ale w pewnych sytuacjach ta dolna granica kary jest wyraźnie przez przepisy prawa określona w sposób odmienny. Mianowicie przy przestępstwach polegających na kradzieży czyli zagarnięciu mienia, dolna granica kary nie może być niższa od wartości skradzionego mienia. Dalej: przy przestępstwach spekulacyjnych ta kara grzywny nie może być niższa od dwukrotnej wartości towaru będącego przedmiotem spekulacji. Przy łapówkach i nielegalnym handlu alkoholem grzywna nie może być niższa od wartości 10-krotnej wartości przyjętej lub wręczonej łapówki lub sprzedawanego alkoholu. Są to wskazania dotyczące dolnej granicy kary grzywny w tych szczególnych sytuacjach.

Skoro mówimy o karze grzywny, to warto powiedzieć, że podniesiono również karę grzywny orzekaną przez Kolegia do spraw Wykroczeń. Dotychczas najniższa grzywna wynosiła 400 zł., a najwyższa 20 tys. zł. Obecnie najniższą jest 1.000 zł, zaś najwyższą 50 tys. zł. Przy czym również i tu jest pewne wskazanie dotyczące prowadzenia pojazdów po użyciu alkoholu. Tu grzywna nie może być niższa niż 10 tys. złotych.

— Mówi pan o kierujących pojazdami samochodowymi. Nowe przepisy dość surowo potraktowały kierowców...

— Pan, redaktorze, jest kierowcą, stąd pańskie zainteresowanie tą sprawą. Istotnie, nowe przepisy wiele tu zmieniły. Otóż po pierwsze: podniesiono wysokość mandatów karnych, które są orzekane za różne wykroczenia w ruchu drogowym. Dotychczas mandat mieścił się w granicach pomiędzy 50 a 1.000 zł. Dziś najniższy mandat wynosi 200 zł, zaś najwyższy — 2.000 zł. A więc przekroczenie szybkości lub parkowanie w miejscu niedozwolonym może okazać się dość kosztowne.

Po drugie: wprowadzono również zmianę dotyczącą pewnych pojęć terminologicznych. Dotychczas kodeks wykroczeń posługiwał się dwoma pojęciami: tzw. pojęciem stanu wskazującego na użycie alkoholu i ten stan zamykał się między 0,2 a 0,5 promille (0,2 był to tzw. próg trzeźwości), zaś powyżej 0,5 był to już stan nietrzeźwości. W pierwszym przypadku, to jest w stanie wskazującym na użycie alkoholu, Kolegium ds. Wykroczeń mogło ale nie musiało orzekać zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych. Natomiast w tym drugim przypadku, tj przy stwierdzeniu nietrzeźwości, taki obowiązek już istniał. Obecnie oba te stany połączono razem dostosowując tu nomenklaturę do określenia przyjętego w „Ustawie o Wychowaniu w Trzeźwości i Przeciwdziałaniu Alkoholizmowi". Wprowadzono jeden stan zbiorczy: stan po użyciu alkoholu. Obejmuje on każdy stan powyżej 0,2 promille alkoholu we krwi. Novum jest to, że osobie prowadzącej pojazd w tym stanie Kolegium jest obowiązane orzec zakaz prowadzenia pojazdu.

Trzeba dodać, że wspomniane orzeczenie rozciągnięto na wszystkie inne pojazdy. A więc woźnica prowadzący wóz konny w stanie nietrzeźwości może utracić kartę woźnicy, mieć zakaz prowadzenia wozów konnych. To samo dotyczy rowerzystów, a nawet kierujących łodziami motorowymi na jeziorach.

— Mówimy o dolegliwościach ekonomicznych dla tych, którzy naruszają porządek prawny. Jak nowe przepisy potraktowały sprawę aresztu i karę pozbawienia wolności?

— Także surowiej niż to było dotąd. Obecnie obowiązkowe jest stosowanie aresztu w sprawach przeciwko recydywistom oraz w stosunku do sprawców, którzy popełniają zbrodnię. Pojęcie zbrodni utożsamia się w społeczeństwie z zabójstwem. Zabił, a więc popełnił zbrodnię. Natomiast w rozumieniu prawa zbrodnia, jako pojęcie prawne, jest dużo szersza. Za zbrodnię uważa się każde przestępstwo, które zagrożone jest karą pozbawienia wolności od lat 3, a zatem każde, którego dolna granica kary jest 3 lata. W tym więc rozumieniu zbrodnią będą poważniejsze przestępstwa, o zagarnięcie mienia społecznego, przestępstwa aferowe, gospodarcze, dewizowe, przemytnicze. Zbrodnią będzie przestępstwo rozboju, zbrodnią będzie gwałt zbiorowy bądź dokonany ze szczególnym okrucieństwem, przestępstwo szpiegostwa, dywersji, sabotażu itp. Oczywiście zabójstwo jest także zbrodnią, ale jedną z wielu, które kodeks karny traktuje jako zbrodnię.

Jak już powiedziałem, w tych przypadkach, kiedy sprawca popełni zbrodnię albo jeśli jest recydywistą — stosowanie aresztu przez prokuratora jest obowiązkowe, przy czym odstąpienie może nastąpić tylko w wyjątkowych przypadkach, zwłaszcza ze względu na stan zdrowia podejrzanego bądź trudną sytuację rodzinną.

Kolejną zmianą jest sprawa zawieszenia kary. Jak wiadomo, w pewnych sytuacjach sąd może zawiesić wykonanie kary. Te możliwości zostały ograniczone i obecnie za niektóre poważniejsze przestępstwa — spekulacyjne, łapówkarstwo, uszkodzenie ciała w stanie nietrzeźwości, spowodowanie wypadku drogowego w stanie nietrzeźwości ze skutkiem śmiertelnym lub ze skutkiem w postaci ciężkich obrażeń ciała, za produkcję bimbru — sąd nie może zawiesić wykonania kary. Jest to objęte ustawowym zakazem. Są również ograniczenia jeśli chodzi o zawieszenie kary przy przestępstwie kradzieży, mianowicie może ono nastąpić tylko w wyjątkowych przypadkach. A drugim warunkiem tu jest to, że wyrządzona szkoda musi być w całości naprawiona. A zatem, jeżeli złodziej ukradł coś za 50 lub 100 tys zł. jeśli szkoda jest nie naprawiona w momencie wydania wyroku — wówczas sąd nie może orzec warunkowego zawieszenia wykonania kary.

— Panie Prokuratorze, a jak nowe przepisy potraktowały niegospodarność, która jest plagą wielu poczynań w naszych przedsiębiorstwach i zakładach pracy?

— Tu także zmieniono przepisy, które były bardzo, ale to bardzo krytykowane. Dotychczas, aby kogoś można było pociągnąć do odpowiedzialności za niegospodarność, należało mu udowodnić, że umyślnie przekroczył swoje obowiązki i w wyniku tego nastąpiła szkoda. Oczywiście udowodnienie dyrektorowi, kierownikowi, magazynierowi, że on umyślnie polecił zrobić to i to, w wyniku czego nastąpiła szkoda, było trudne. A więc i spraw tego typu w Polsce było niewiele. W związku z tym zmieniono przepis i dziś może odpowiadać również osoba, która pełni określone funkcje kierownicze, zarządza pewnym działem czy mieniem w sytuacji, gdy działa nieumyślnie. A zatem: jeżeli przewiduje możliwość szkody i na to się godzi lub mogła i powinna była przewidzieć, że w konkretnej sytuacji coś się zniszczy. Np. jeżeli ktoś każe zrzucać cegłę z samochodu, a nie składać ją w pryzmy, możemy ocenić, że ten ktoś mógł przewidzieć w tym przypadku, że cegła się zniszczy.

— A co to są kradzieże na szkodę przewoźnika?

— Już wyjaśniam. Otóż ustawa wprowadziła określenie nowego stanu przestępnego, który można byłoby skrótowo określić właśnie jako kradzieże na szkodę przewoźnika. Wiele się słyszy o kradzieżach na kolei, wiadomo, że łódzka „Agroma" nie otrzymała jeszcze ani jednego traktora dostarczonego przez PKP z całkowitym wyposażeniem. To samo dotyczy samochodów wożonych przez tę samą firmę dla „Polmozbytu". A zdarzały się i takie przypadki, że w fabryce „Fako" ładowano wagony i zanim dotarły one na stację Łódź — Kaliska czy Łódź — Chojny już były okradzione. Stąd też uznano, że zjawisko to jest niepokojące, że należy wprowadzić nowy stan faktyczny. W ustawie o szczególnej odpowiedzialności karnej wprowadzono więc pojęcie kradzieży na szkodę przewoźnika, a więc mienia stanowiącego własność przewoźnika albo powierzonego mu do przewozu. Oczywiście chodzi tu o tych głównych przewoźników, takich jak PKP, PKS, PTHW, STW, łączność, transport spółdzielczy, Polskie Linie Oceaniczne, Polską Żeglugę Morską, PLL „Lot" — wszystko to są przewoźnicy posiadający własne mienie, które może być celem kradzieży albo powierzone im do przewozu.

Prawo tu przewiduje trzy sytuacje. Pierwsze — to kradzież mienia stanowiącego własność przewoźnika bądź powierzonego mu do przewozu. Jest ona traktowana jako zwykła kradzież z tym, że jest ona zagrożona surowiej niż normalna kradzież mienia. Tu dolną granicą jest 1 rok pozbawienia wolności. Druga postać — to dokonanie kradzieży z włamaniem lub w porozumieniu z innymi osobami. Jest to postać traktowana surowiej i kara jest jeszcze wyższa. Najsurowiej jednak — jako zbrodnia — traktowana jest kradzież mienia przewoźnika przez osobę, która nad tym mieniem sprawuje zarząd: jest magazynierem, kierownikiem, konwojentem. Czyli osoba, która tym mieniem winna się opiekować. Taka osoba popełniając przestępstwo kradzieży ponosi karę bardzo wysoką, bo od 3 do 15 lat pozbawienia wolności. Dodam tu jeszcze i to, że wszystkie te zaostrzenia trzeba rozpatrywać kompleksowo.

— Nie wspomniał pan o karze noszącej miano „przepadek mienia"...

— Właśnie. Jest to kara dodatkowa, która była wymierzana zgodnie z kodeksem karnym, ale stosowana w niektórych tylko przestępstwach. Nosi ona nazwę konfiskaty mienia. Dziś zakres przestępstw, za które musi nastąpić obowiązkowe orzeczenie konfiskaty mienia, jest dość szeroki. A więc: konfiskata majątku w całości lub części musi być orzeczona jako kara obowiązkowa w takich przypadkach jak: włamania, rozboje, poważniejsze kradzieże mienia społecznego, produkcja bimbru, niektóre postacie spekulacji. Sąd orzeka co winno być skonfiskowane i w jakim rozmiarze. Oczywiście, że jeśli ktoś wyprodukował 3 lub 4 litry bimbru, trudno go pozbawić za to domku jednorodzinnego, ale można mu za to skonfiskować np. telewizor kolorowy.

Oprócz wymienionych kar tj. więzienia, grzywny, konfiskaty mienia, sąd może orzec tzw. nawiązkę. Jest to pewne zryczałtowane odszkodowanie na pewien cel. Powiedzmy, że ktoś kogoś po pijanemu dotkliwie pobił z pobudek chuligańskich, wówczas sąd może orzec nawiązkę na rzecz PCK. To zryczałtowane odszkodowanie w wysokości od 5 do 50 tys. zł może być orzeczone w przypadku skazanego za umyślne przestępstwo przeciwko życiu lub zdrowiu lub za inne umyślne przestępstwo, którego skutkiem jest śmierć, uszkodzenie ciała lub rozstrój zdrowia pokrzywdzonego. A także za umyślne zniszczenie mienia lub uczynienie go niezdatnym do użytku. A więc przestępca może otrzymać jednocześnie cztery kary. W sumie więc jest to dolegliwość ekonomiczna bardzo znaczna i nieraz bardzo wysoka.

— Pomówmy teraz o trybie przyspieszonym, który jakże często jest mylony z trybem doraźnym...

— Proszę bardzo. Czytelnicy „Odgłosów" zapewne wiedzą, że obowiązywał i obowiązuje nadal tzw. tryb przyspieszony. Otóż chciałbym, aby nikt nie mylił go z trybem doraźnym. U nas takiego trybu nie ma, był on wprowadzony w okresie trwania stanu wojennego i wraz z nim przestał funkcjonować. Tak więc jest u nas jedynie tryb przyspieszony. Polega on na tym, że sprawca określonego przestępstwa ujęty na tzw. gorącym uczynku lub w wyniku pościgu, w ciągu 48 godzin od chwili zatrzymania jest doprowadzony do sądu i sąd natychmiast przystępuje do rozpoznawania sprawy. Tu nie ma potrzeby prowadzenia dochodzenia, nie trzeba przygotowywać aktu oskarżenia — jest sporządzany jedynie wniosek o ukaranie i sąd na tej podstawie rozpoznaje sprawę.

Do 1 lipca 1985 r. tryb przyspieszony mógł być stosowany jedynie wobec sprawców przestępstw o charakterze chuligańskim i wobec sprawców przestępstw spekulacyjnych. Były to dwie grupy, które mogły być objęte trybem przyspieszonym. Obecnie zakres tego trybu został bardzo rozszerzony. W tym trybie mogą odpowiadać osoby ujęte na tzw. gorącym uczynku lub w wyniku pościgu w sprawach o kradzież mienia lub włamanie, jeśli szkoda nie przekracza 100 tys. zł, o niektóre przestępstwa skierowane przeciwko porządkowi publicznemu, o bójki i pobicia, o nielegalny wyrób alkoholu, a także sprawy przeciwko osobom uchylającym się od pracy. Pewnym novum w tych przepisach jest to, że dotychczas należało takiego podejrzanego zatrzymać i doprowadzić go do sądu. Teraz to uległo zmianie. W niektórych sprawach sprawca może być zwolniony i milicja wręcza mu wezwanie stawienia się na rozprawę w określonym dniu i o określonej godzinie w ciągu 48 godzin, a następnie go przesłuchuje i zwalnia. Jeżeli taka osoba nie stawi się na rozprawę w oznaczonym terminie bez usprawiedliwienia wówczas sąd wydaje wyrok zaoczny, który ma tę samą moc co każdy inny wyrok.

Zupełną nowością jest także i to, że od 1 lipca 1985 r. oskarżycielami w sprawach w trybie przyspieszonym są funkcjonariusze Urzędu Spraw Wewnętrznych, natomiast w sprawach spekulacyjnych oskarżycielami są inspektorzy Państwowej Inspekcji Handlowej.

W sprawach w trybie przyspieszonym jest pewne ograniczenie: nie może być wymierzona kara wyższa niż 3 lata pozbawienia wolności i grzywna wyższa niż 500 tys. zł. Jeżeli zachodzi potrzeba wymierzenia kary surowszej, sąd stosuje wówczas wobec sprawcy areszt tymczasowy i akta przekazuje prokuratorowi do prowadzenia sprawy w normalnym trybie.

— A co to takiego jest tak zwany tryb nakazowy?

— Otóż w niektórych kategoriach przestępstw najdrobniejszych, gdzie osoba sprawcy jak i dowody zebrane nie budzą wątpliwości, sąd może odstąpić od skierowania sprawy na rozprawę, natomiast w to miejsce może wydać tzw. nakaz karny na posiedzeniu bez rozprawy. Tym nakazem karnym może być jednak orzeczona tylko kara ograniczenia wolności i kara grzywny. Nie może być orzeczona kara pozbawienia wolności. Natomiast osoba uważająca się za niewinną lub przekonana, że kara została wymierzona zbyt surowa, ma prawo złożyć od takiego nakazu sprzeciw. Konsekwencją sprzeciwu jest to, że nakaz karny traci swoją moc i sprawa będzie podlegała normalnemu rozpoznaniu przez sąd na rozprawie.

— Panie Prokuratorze, sądząc z tego co pan powiedział, nowa ustawa jest nastawiona wyłącznie na zaostrzenie wymiaru kary i to prawie za każdy czyn pozostający w kolizji z literą prawa...

— Nie chciałbym, aby Czytelnicy „Odgłosów" odnieśli takie wrażenie. W tej ustawie zostały zawarte przepisy łagodzące pewne sytuacje. Otóż została wprowadzona możliwość wymierzenia kary łagodniejszej, jeżeli sąd dojdzie do wniosku, że przestępstwo jest o małym ciężarze gatunkowym i zachodziłaby możliwość wymierzenia kary nie wyższej niż 1 rok pozbawienia wolności, wtedy może odstąpić od jej wymierzenia a wymierzyć karę ograniczenia wolności albo karę grzywny. Kara ograniczenia wolności polega na tym, że sąd skazując na rok czy dwa ograniczenia wolności wiąże to jednocześnie z wykonywaniem nieodpłatnej dozorowanej pracy na rzecz publiczną w wymiarze 20—30—50 godzin miesięcznie. Taka osoba nie siedzi. Oczywiście, jeśli ktoś takiej pracy nie chce wykonywać, wówczas musi swoje odsiedzieć w więzieniu.

Jest jeszcze jedno złagodzenie, a mianowicie orzekanie o przedterminowym warunkowym zwolnieniu. Dotychczas można było orzekać w przypadku odbycia przez skazanego dwóch trzecich kary, dziś może to być orzeczone po odbyciu połowy kary w stosunku do osób skazanych za przestępstwa nieumyślne i w stosunku do osób, które sprawują same pieczę nad dzieckiem do lat 15, i w stosunku do kobiet, które w chwili orzekania o przedterminowym zwolnieniu mają ukończone lat 60, a mężczyźni 65.

Czy te przepisy są surowe? I przeciwko komu są one skierowane? Otóż dla przeciętnego obywatela jest obojętne czy grzywna wynosi milion czy pięć milionów, bo on przestępstw nie popełnia. Natomiast zwiększenie grzywny jest w pewnym sensie na korzyść nas wszystkich, bowiem pieniądze zdobyte nieuczciwie trafiają do skarbu państwa.

— Ostatnie pytanie: jaki okres obejmuje nowa ustawa?

— W prawie karnym jest zasada, wywodząca się z prawa rzymskiego i głosząca, że lex retro non agit, czyli że prawo nie działa wstecz. A zatem te wszystkie obostrzenia, o których mówiliśmy, mają zastosowanie tylko do przestępstw popełnionych po 1 lipca 1985 r. Osoby, które popełniły przestępstwa wcześniej, przed wejściem w życie omawianej ustawy mimo że sprawy przeciwko nim będą prowadzone po 1 lipca 1985 r. i będą zapadały wyroki — będą one wymierzane na podstawie poprzednio obowiązujących, łagodniejszych przepisów prawnych.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Polemiki • Listy • Opinie

DO PANA MINISTRA KOMUNIKACJI

Szanowny Panie Ministrze! 10 lipca 1985 r. w godzinach rannych zawarłem z firmą, na czele której Pan stoi, umowę dwustronną. Ja wykupiłem bilet na pociąg pospieszny II klasy z Łodzi Fabrycznej do Warszawy Wschodniej za sumę 246 zł, zaś Polskie Koleje Państwowe zobowiązały się mnie za to zawieźć w określonym czasie do stacji docelowej. Pociąg odszedł z Łodzi Fabrycznej dokładnie o 6.35. Jednak po godzinie jazdy zatrzymał się w polu przed stacją o nazwie Płyćwia i stał tam całe 60 minut. Po wzmiankowanej godzinie ruszył i w końcu dowiózł mnie do Warszawy Wschodniej około godziny 10.30.

Moja pretensja polega więc na tym, że Pańska firma zwyczajnie mnie oszukała biorąc należność za bilet na pociąg pospieszny, a dostarczając mnie do stacji docelowej pociągiem normalnym. Sądzę więc, że należy mi się od Polskich Kolei Państwowych różnica pieniężna, jaką niesłusznie ode mnie pobrano. (Nie wspomnę już o takiej drobnostce jak przeprosiny, który to zwyczaj jest nagminnie stosowany w krajach o zapóźnionym w stosunku do naszego systemie ekonomicznym, jak choćby w takiej Szwajcarii czy Holandii).

Powie Pan, że na trasie pomiędzy wspomnianą Płyćwią a Skierniewicami są prowadzone prace na torach i pociągi kursują po jednym torze. Ale Panie Ministrze, przecież takie prace zapewne zostały dawno temu zaplanowane, były umieszczone w jakimś harmonogramie robót, więc dziw bierze, że nie wzięto pod uwagę czasu przejazdu pociągów pospiesznych, które nagle okazały się być pociągami zwykłymi, z tą jedynie różnicą, że jadąc nimi płaci się jakby się jechało pospiesznym. A przecież ludzie, których Pańska firma przewozi, jadąc do stolicy chcą zdążyć na umówione godziny, mają określone terminy spotkań, narad lub spieszą na lotnisko, na określony lot.

I jeszcze jedno: wjeżdżając w tunele prowadzące do Dworca Centralnego w Warszawie, a potem w takie same wiodące w kierunku Warszawy Wschodniej, należałoby przynajmniej na ten czas zapalać światła w wagonach. Czy Pan kiedyś jechał takim ciemnym pociągiem, w czerni tunelu, gdzie echo potęguje każdy dźwięk? Czy słyszał Pan, Panie Ministrze krzyki przerażonych kobiet i dzieci? Zapewne nie, bo gdyby tak było w pociągach przyjeżdżających z Łodzi paliłyby się bodaj nikłe żaróweczki. Nie chcę straszyć — lepiej odpukać — ale czyż nie jest to tworzenie okazji do popełnienia przestępstwa? Kto wtedy znajdzie przestępcę? I kto będzie chciał pobiec komuś na ratunek, jeśli nawet ofiara będzie wzywała pomocy? Tam, w tych tunelach, Panie Ministrze, jest nie tylko czerń i grochotanie kół, ale pojawia się strach. Lecz by to zrozumieć, trzeba to samemu przeżyć.

Oczekując odpowiedzi łączę wyrazy szacunku wraz z życzeniami pogodnego lata.

EUGENIUSZ IWANICKI
(„Odgłosy")

„ZAMORDOWAĆ PSA?"

W nawiązaniu do artykułu redaktora Ob. Edwarda Bryla „Zamordować psa?" zamieszczonego w „Odgłosach" z dnia 1985-07-06 Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Bałuty informuje iż sprawą dotyczącą psa zajęto się natychmiast po otrzymaniu w dniu 1985-06-10 anonimowego powiadomienia telefonicznego.

Z uwagi na złożoność sprawy i prowadzone dochodzenie nie można w chwili obecnej ustalić jednoznacznie czy pies faktycznie został zabity i jaka była odpowiedzialność nauczycielki za zaistniałe zdarzenie.

P wyjaśnieniu sprawy Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Bałuty poinformuje opinię publiczną o wynikach dochodzenia.

Do wiadomości:

1. Kuratorium Oświaty i Wychowania Łódź, ul. Piotrkowska 104
2. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami Łódź, ul. A. Struga 11
3. Zarząd Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, Łódź, ul. Piotrkowska 137

mgr GRZEGORZ OSTROWSKI
(Inspektor Oświaty i Wychowania)

* * *

Z dużą satysfakcją, a jednocześnie z wielkim bólem przeczytałem w nr 27/423 z dnia 6 lipca 1985 r. artykuły red. Edwarda Bryla i red. Jolanty Wrońskiej, poruszające zagadnienie stosunku ludzi o spaczonej psychice do bezbronnych wobec nich zwierząt. (...)

Ból ogarnął mnie, gdy pomyślałem, że uczynili to niestety członkowie mojego narodu, szczycącego się opinią jednego z najbardziej tolerancyjnych narodów w Europie.

Jednocześnie jednak satysfakcję dała mi świadomość, że istnieją w tym samym narodzie też ludzie, którzy nie zawahają się przed napiętnowaniem imiennym innych i spowodują tym samym, że przyzwoici ludzie dowiedzą się o ich „działalności"...

Mam nadzieję, że i ja i inni czytelnicy „Odgłosów" dowiemy się o dalszym przebiegu sprawy, a szczególnie o wyrokach sądowych, jakie w tej sprawie zapadną. (...)

doc. dr inż. WIKTOR ZOŁOTAREW
(Łódź)

TRAMPKI DLA DZIECKA

Sezon urlopowy w pełni. Rozpoczęły się ferie szkolne. Wyjazdy dzieci i młodzieży na kolonie letnie, obozy harcerskie. Rodzice chcąc wyposażyć swoje pociechy w niezbędny ekwipunek, według wskazań organizatorów kolonii i obozów harcerskich, nadaremnie poszukują w sklepach odpowiedniego obuwia i odzieży, innych akcesorii.

Uniwersal. Stoisko sprzedaży obuwia letniego na I piętrze.

— Poproszę tramki i buty gumowe nr 23.

— Niestety, nie mamy w sprzedaży — odpowiada ekspedientka.

— A jakie numery posiada pani w sprzedaży?

— Powyżej nr 24 i do 20 włącznie. Może mają w sklepie firmowym „Stomilu" przy ul. Piotrkowskiej — proszę się tam udać.

Sklep czynny od 11—19. Przed sklepem dość spora kolejka. Czekam na otwarcie. Punktualnie o 11 wpuszczają klientów. Większość po opony i dętki, ale pokaźna grupa klientów gromadzi się przy stoisku z obuwiem letniem, sezonowym. Wybór raczej skromny. Kilka par czarnych gumiaków, dużych rozmiarów, nadających się dla dorosłych na ryby i grzyby, prace polowe w rolnictwie. Czerwone gumiaki powyżej nr 24, w dodatku dziewczęce. To wszystko.

W pobliżu mam „Central" być może tam uda mi się kupić poszukiwane rozmiary prostych gumiaków, niezbędnych na słotę i deszcz. Stoisko na II piętrze. Ruchome schody czynne do I piętra. Na oko wydaje mi się, że wybór znacznie większy niż w sklepie firmowym „Stomilu". Ale to tylko pozory. Na półkach kolorowo: buty gumowe niebieskie, czarne i czerwone, lecz dla dzieci w wieku przedszkolnym. Powyżej nr 15, są tylko w sprzedaży trampki i buty damskie, koloru czerwonego, akurat potrzebuję chłopięce, obojętnie w jakim kolorze.

Sprzedawczyni bezradnie rozkłada ręce: — Rano mieliśmy, ale już sprzedaliśmy i nie wiem kiedy znów będą w sprzedaży.

Dalej nie szukam. Szlak mnie trafia. Nie tak dawno czytałem w prasie, oglądałem w Tv, jakie to zakład posiada trudności w upłynnianiu nagromadzonych zapasów wyrobów gumowych w kraju i za granicą. Hurt i detal dosłownie zawalony produkcją gumiaków. Przedsiębiorstwu grozi zastój z powodu braku zbytu. Narzekania na suszę, braki rynków zbytu w kraju i za granicą. Tak było niedawno, bodaj w maju, o ile dobrze pamiętam. W czerwcu aura uległa zmianie, przynajmniej w Polsce i zapasy widocznie się wyczerpały. A może najciemniej jest pod latarnią...?

Straciłem dwa dni na poszukiwanie prostych, zwykłych gumiaków nr 23. Dziecko pojechało na obóz harcerski bez butów gumowych, niezbędnika, menażki, kubka blaszanego lub aluminiowego, innego wyposażenia, którego mimo wszystko — nie udało mi się kupić przed wyjazdem.

Niezbyt wesoła refleksja, jak mi się nasunęła po tym krótkim spacerku po sklepach, wiodącychą prymat w naszym handlu, zupełnie nie przygotowanym do sezonu letniego. Braki poszukiwanych rozmiarów butów przy nadmiernym gromadzeniu mniej poszukiwanych rozmiarów — świadczą niezbicie o braku rozeznania w dziedzinie podaży i popytu ze strony producentów i handlowców.

JAN WIŚNIEWSKI

ŚRODOWE PUSTKI

W sklepach mięsnych trzy środy w miesiącu są dniami wyznaczonymi dla osób szczególnej troski (popularne „łódki"). Okazuje się, że zarządzenie to jest bezcelowe. Mimo, że sklepy są dobrze zaopatrzone bardzo mało osób realizuje popularne „łódki". Wszystkie te osoby stoją stłoczone w kolejce i czekają na tzw. popołudniowy rzut. Natomiast osoby (bez „łódek"), które chciałyby zaopatrzyć się w wędlinę lub mięso muszą czekać do godz. 14.00. A przecież mogłyby zrobić zakupy wcześniej. Ale nie — jak przepis to przepis. Pytam się więc. Dla kogo owe środy? Bo przecież nie dla tych, którzy mają z nich korzystać. Oni wolą i tak swoje „odstać".

KOLEJKOWE WÓZKI

Nastała nowa moda. Wjeżdżania wózkami z dziećmi do sklepu po zakupy. Kochane mamusie, którym nie chce się wziąć dziecka na rękę i dopiero wejść do sklepu, bo niby po co ma ona dźwigać dziecko i się męczyć (chociaż kupuje bez kolejki), kiedy woli wepchnąć się z wózkiem do środka. Jeśli sklep jest mały, a takich mamuś więcej (5—6 wózków) sytuacja jest taka, że nie można ani wejść, ani wyjść ze sklepu.

Kochające mamy nie zwracają uwagi na to, że komuś wjadą na nogi tylko bezczelnie pchają się do lady. Przy wyjeżdżaniu jest sytuacja podobna, ale je to nic nie obchodzi. Myślę, że w tym przypadku powinien być zakaz wjeżdżania do sklepu. Wózki powinny zostawać przed nim. Może ktoś zajmie się tą sprawą?

CHODNIKI PARKINGAMI

Już od dłuższego czasu spotyka się kierowców parkujących samochody na chodnikach. Często samochody zajmują prawie cały chodnik, a kierowca zostawia dla pieszego kilkadziesiąt centymetrów na przejście. Przeszkoda ta staje się bardzo uciążliwa na wąskich lub ruchliwych ulicach, kiedy to pieszy musi bokiem przeciskać się między samochodem a ścianą budynku. Ludzie denerwują się, powstają „zatory" pieszych, którzy niekiedy nie mogą minąć się na tak wąskim pasku chodnika. Proponowałabym, by takimi kierowcami zajęli się milicjanci i już nie tylko pouczali kierowców, ale „wlepiali" mandaty. Przecież nie można parkować całym samochodem na chodniku, a zdarza się to coraz częściej.

ANNA MARCINIAK
(Adres do wiadomości redakcji)

JAK SIĘ ROBI PIENIĄDZE!

Nie mogę się zdecydować: czy doścignęliśmy już przedwojenne wzory cwaniactwa jeśli chodzi o robienie pieniędzy? Czy jesteśmy gorsi, czy lepsi? W każdym razie nie przypuszczałem w swych najśmielszych marzeniach, że forsę można robić na nieznajomości języków obcych. I to w taki sposób!

Było sobie przed wojną wydawnictwo „Polyglott-Kuntze Sprachfuerer" — G. m. b. H. Bonn. Wydawnictwo to specjalizowało się w rozpowszechnianiu rozmaitych „rozmówek". W tym — między innymi dla Polaków, w języku angielskim. W przedmowie do broszury pod tytułem „Polak we Anglii i w Ameryce" wydawca stwierdza: *„Żut oka do tej książeczki wystarczy, a czytelnik przekona się, że wydawca tego dziełka stoi na dnie życia praktycznego. Na przeciw wielkim i drogim gramatykom, które chęć do nauki pogrążają, ułatwia metoda ta w krótkim czasie porozumieć się z cudzoziemcami..."*

„Żuciłem" więc okiem do tego dziełka i dzielę się ze wszystkimi tym, czego można się z niego nauczyć.

Otóż obcokrajowiec (tym razem Polak) znajdujący się w Anglii przy spotkaniu z tubylcem może grzecznie stwierdzić: *„cieszę się Pana trafić"*, poczem po pytaniu: *„jak idą interesa?"* (odpowiedź: płocho, licho) może uchylić się od dalszej rozmowy zwrotem: *„Przepraszam Pana — mam bardzo spieszno!"*. Gdy zaś spotka, a potem żegna znajomego imieniem np. Karol — mówi mu. *„Dobra noc Karol! Chowaj się!"*.

Dbałe o reklamę wydawnictwo Polyglott-Kuntze w następnym rozdziale sugeruje taką oto wymianę myśli: *„Pan mówi bardzo dobrze po angielsku, gdzie się Pan nauczył? — Przez system Polyglott-Kuntze. To bardzo porzyteczna książeczka..."*.

Głodny Polak poszedł do restauracji, a tam życzy sobie *„kotlet szkopowy, skipkę seru i chleb obłożony"*. Może również zamówić *„jajeśnicę"* lub *„jajeśnik"*. Nieznajomym przy stoliku przedstawia się: *„Moje miano jest..."*. Jeśli chce coś z „mięstwa" — może zamówić *„kokot, i łabędź, wronę lub borsiana"* (!?). Gdyby dania były nieco mdłe — zapytuje sąsiada: *„czy śmiem Pana prosić o solnicke?"*. Po spożytym posiłku i uregulowaniu rachunku z napiwkiem — usłyszy od kelnera: *„dziękuję kilkakrotnie Panu!"*.

W czasie tradycyjnej herbaty spotyka się z *„talezikami, torta z jabłek i skipką chleba"*.

Jak jednak wiadomo — prawdziwy globtrotter nie siedzi na miejscu. Pyta: *„o której godzinie okręt odjeżdża?"*, a niezadowolony z terminu podaje: *„zapisz mnie pan do przyszłego okrętu"*.

W czasie morskiej podróży dzieli się uwagami: *„okręt się nie kołybie..."*, a z ciekawości pyta: *„jak się nazywa kapitan? Majtkii?"*.

„Po morzu jeżdżące narody" — to między innymi *„Hiszpany, Francuzy, Holandczyki i Niemcze"*.

Wylądował nasz podróżnik w porcie i szuka locum. Poleca więc: *„nosiciel — weźcie kufry"*, a potem żąda: *„proszę pokazać mi te pokoje, przedni pokój, tylni pokój"*. W tym czasie właściciel hotelu pyta go: *„kiedy zechce Pan przyciągnąć?"*.

Ma jeszcze nasz podróżnik szereg innych przygód, sytuacji i czynności. Potrzebuje *„deszczochroń"*, ma *„szęk na dom bankowy"*, który chce *„zaraz kasować"*, u handlarza korzennego prosi o *„zaprawiony owoc"*, u cyrulika chce *„krótko spuścić włosy"*, lecz przestrzega, że ma *„nader wrażliwe ciało"*. W czasie choroby prosi o wezwanie *„ran-lekarza"* (tu już nie wytrzymuję i wyjaśniam: chodzi o chirurga!).

U aptekarza prosi o przygotowanie *„medycyny"*, a cena *„za podselowanie starych bótów — undzie!"* (Skąd u podróżnika stare buty?).

Tak to powielano — według informacji wydawnictwa — 30 zeszytów rozmówek dla Niemców, a 153 zeszyty — dla innych nacji. Razem 2 mln egzemplarzy. I chyba bez strat własnych, bo niby kto by je kręcił? Jedyna okazja nauczenia się języków. Jedyna okazja zrobienia forsy.

„Cieszę się Pana trafić" — Panie Redaktorze!

W. AFELT

PS. Najciekawsze, że część angielska haseł jest prawidłowa. Natomiast tłumaczenie na polski — „z niemieckiego" w bardzo podłym gatunku. A jednak — na rynku było. Ktoś to kupował.

LOGIKA I RYSUNKI Z NAZCA

Piszę to pełen wątpliwości, czy nie mamy ważniejszych zmartwień. Ale skoro Monika Warneńska napisała, a „Perspektywy" w numerze 22 z 31 maja 1985 roku wydrukowały, to chyba warto zgłosić i swoje zastrzeżenia. Artykuł Moniki Warneńskiej nosi tytuł LOT KU „TAJEMNICY TAJEMNIC". Autorka specjalnie wybrała się do Peru, aby zobaczyć słynne rysunki na pustyni Nazca i wszystko to później opisać dla polskich czytelników. Zamiar to chwalebny i dzięki jej za to, bo czyta się to dobrze.

Skąd więc moje wątpliwości?

Co do genezy i znaczenia samych rysunków z płaskowyżu Nazca. Jak wykazały badania, powstały one w latach między 525 przed naszą erą i 80 naszej ery. Tworzono więc je przeszło 600 lat. Po co? W tym właśnie problem. Zarówno Paul Kosok, jak i Maria Reiche uznali, że mieszkańcy tego rejonu — lud kultury Nazca — zbudowali sobie taki gigantyczny kalendarz, gdyż akurat 22 czerwca 1941 roku profesor Paul Kosok stanął wzdłuż jednej z linii i okazało się, że słońce tego dnia zachodziło właśnie dokładnie na końcu tej linii. A był to dzień, w którym na południowej półkuli przypada przesilenie jesieni z zimą, a na północnej wiosny z latem. To nasunęło myśl, że lud kultury Nazca zafundował sobie taki gigantyczny kalendarz, „galerię piaskowych obrazów", wielki zapis astronomicznej wiedzy. Piękne to teorie.

Jest jednak w nich pewien szkopuł. Przez blisko dwa tysiąclecia przetrwały rysunki przez nikogo nie zauważone. Ba, nawet budowniczowie słynnej drogi „Panamericana", dokonujący przecież jakichś pomiarów na pustyni w czasie budowy tej drogi, nie zauważyli, iż uszkodzili bezpowrotnie kończynę gigantycznej jaszczurki. Rysunki te odkryto na początku XX wieku, a zainteresowano się nimi głębiej dopiero w czasach drugiej wojny światowej, kiedy nad pustynią Nazca latały samoloty. Właśnie, odkryto je z góry, bo dopiero z góry są dokładnie i doskonale widoczne.

I tu jest źródło moich wątpliwości. Zresztą nie tylko moich, bo również kilku uczonych też ma wątpliwości. Na przykład amerykański astronom G. Hawkins wcale nie zgadza się z Paulem Kosokiem, aby rysunki na płaskowyżu Nazca były kalendarzem. Ich zbieżność z kierunkami ruchu ciał niebieskich mieści się — jak twierdzi — w granicach przypadku. Hipotez jest kilka, nie licząc hipotezy Ericha von Daenikena, który uważa, że na płaskowyżu Nazca było lądowisko statków kosmicznych.

Maria Reiche wyjaśniła nawet, jak te rysunki robiono. Najpierw szkice, później powiększenia przy pomocy palików i sznura. Linie koliste przy pomocy wykreślania łuków koła. Wszystko to pięknie. Ale wokół płaskowyżu Nazca nie ma żadnych wzniesień. Maria Reiche wybudowała dla turystów wieżę służącą do oglądania rysunków. Ale i tak wszystkich nie można obejrzeć. Dopiero z samolotu Monika Warneńska też odbyła podróż samolotm, aby obejrzeć te rysunki. Maria Reiche przywiązywała się nawet liną do helikoptera, aby dokładnie je fotografować.

Otóż nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że wszyscy interpretujący i poszukujący odpowiedzi na pytanie: po co? — próbują tę odpowiedź dać z ziemi. A jej trzeba szukać w niebie. Jak można wbrew logice wyjaśniać przyczyny stworzenia tej „galerii piaskowych obrazów" stojąc na ziemi, skoro na przykład długość dzioba ptaka ma sto metrów, a rozpiętość jego skrzydeł — dziewięćdziesiąt. Kto i po co robi takie rysunki, których nie jest w stanie obejrzeć? Przecież nawet dla kontroli, czy linie dobrze są wykonane, trzeba wznieść się ponad ziemię i dokładnie obejrzeć rysunki. Jak więc to robiono? To takie ludzkie, że twórca musi obejrzeć całość swej pracy. A tu nie było takiej możliwości, więc robiono rysunki, których nikt przez długie wieki nie będzie oglądał? To po co?

Mam żal do Moniki Warneńskiej, że była na miejscu i poprzestała tylko na tym, co na ten temat powiedzieli Paul Kosok i Maria Reiche. Ich hipotezy są dziś poddawane krytyce, gdyż nie wyjaśniają przyczyny gigantycznego rysowania na pustyni, choć ich wkład w rozwiązanie tej zagadki pozostaje ogromny. Ale — powtarzam — nie wyjaśni się jej stojąc na ziemi. Nie jest chyba przypadkiem, że większość naszych legend i religii bez ustanku spogląda w niebo. Coś w tym jest. Ale co?

BOGUMIŁ DEJMA

■

Inicjacja

ANDRZEJ JORK

Seksu wstydzą się tylko pisarze i reżyserzy filmowi, którzy doczepiają sceny intymne tylko po to, aby bulwersować odbiorcę. Czynią to jakoś pokrętnie i każdy krytyk powie, że takie sceny nie trzymają się kupy.

To jest nowelka o seksie. O seksie bezwstydnym i nagim, jak nagá i bezwstydna jest młodość. Ta, która jest bardziej czysta niż świeżo spadły śnieg w Alpach Dinarskich. A z czystością w niej miesza się bezwstyd i dramat. Jest to nowelka o dojrzewaniu seksualnym autora w warunkach niezwykłych — niemalże tuż po wojnie zwanej drugą światową.

W roku 1946 jeden z najbardziej wojną doświadczonych narodów podjął ogromne inicjatywy. To była Jugosławia. Kraj przedziwnie kontrowersyjny o gigantycznej armii partyzanckiej, a równocześnie o wielkiej ilości zdrajców ojczyzny, ziemia, o miejscach, w których nie stąpnęła noga niemiecka, a równocześnie o miastach, gdzie panoszył się terror SS i rodzimych „czetników". W 1946 r. ten kraj zachłystywał się świeżą niepodległością. Na nagłówkach wszystkich gazet, w ustach milionów ludzi było jedno hasło: „smrt faszizmu a sloboda narodu".

Jednym z zupełnie szalonych wyczynów była wielka droga młodzieżowa rąbana miejscami przez góry, budowana w znoju, który trudno opisać. Na budowę tej drogi spieszyły dziesiątki tysięcy byłych partyzantów i partyzantek, a wraz z nimi symboliczne brygady międzynarodowe z Polski, Czechosłowacji, Bułgarii i Grecji. Grecy byli odrębnym rozdziałem tej drogi. Odebrano im wolność prawie w tym samym momencie, gdy hitlerowcy dali nogę. Królewska armia wraz z Brytyjczykami — wyzwolicielami ruszyła, aby zdławić powstanie ludowe spod znaku ELAS, dowodzone przez legendarnego generała Markosa. W 1946 r. partyzantka grecka otoczona w masywie Grammos-Smolikas przedzierała się do Jugosławii i z bronią u boku brała udział w budowie wielkiej magistrali, która przeszła do historii pod nazwą „Omladińska Pruga" — droga młodzieżowa.

Autor tej nowelki pracował łopatą i młotem pneumatycznym, siódme poty na niego uderzały, a na jego piersi znalazł się znaczek „udarnika" — ale nie o tym będzie mowa. Nie stać autora pracującego na wąskim odcinku na epos o wielkiej budowie. On dojrzewał, nie politycznie — bo przecież poszedł tam na ochotnika pełen zapału. Dojrzewał komicznie czasami, czasem dramatycznie. Stawał się mężczyzną z nieśmiałego chłopca, obdarzonego solidnymi bicepsami — od szczeniaka zachwyconego krótką spódniczką koleżanki do gorzko doświadczonego młodzieńca. I dlatego ta część — dojrzewanie seksualne stało się także przyczynkiem do romantyzmu „Omladińskiej Prugi".

1.

W Bratysławie dołączyli Czesi. Widok niezapomniany: z ciemności tunelu pociąg wbiegł w kilka rzędów świateł znaczących krzywizny peronów. Gdy stanął, buchnęła na zewnątrz zawadiacka piosenka

kostudem na rajzo gry
jupajdi jupajda
dobro pije dobro je
jupajdija da

Faktycznie czeska brygada wprawdzie nieliczna — prezentowała się znakomicie: bractwo potężne, pucułowate, jakieś takie mocarne, a co drugi potrząsał nad głową pełną butelką. Było tam głównie piwo, ale trafiała się i smukła butla, widać ze szlachetnym trunkiem.

Wielu machało proporcami biało-czerwonymi z granatowym trójkątem. Wiesia szarpnęła okno do samego dołu, wychyliła się całym ciałem, tak, że w korytarzu wagonu zostały tylko jej mocne uda w króciutkich harcerskich szortach i zawołała: „Brawo Czesi!". Burza jej jasnych włosów zrobiła swoje. Jak na komendę chłopaki na peronie wydali przeraźliwy gwizd, a potem składnie ryknęli:

haj muzika
ta nam libie hra
at ziwie Slovensko
Cechy a Morava

Już wszystkie nasze okna były otwarte i poszedł wrzask po całej nocnej Bratysławie:

Stalin! Benesz! Morawski!
Stalin! Benesz! Morawski!

Ja stałem oparty o drzwi przedziału, bladłem i czerwieniałem na zmianę. Widziałem tylko obcisłe szorty wychylonej Wiesi, jej silne rozstawione nogi i koniuszki delikatnych włosków przy pachwinach, gdy stawała bokiem łowiąc czeskie bukiety. Gdyby nic nie miała na sobie, to byłoby lepsze od tych króciutkich nogaweczek.

Z Wiesią była cała historia: ta szesnastolatka, sanitariuszka polskiej brygady, wyglądała na 19 lat i to jak bujnie! A ja, siedemnastoletni osiłek, do przesady skromny, mogłem być co najwyżej jej paziem. No i byłem, psiakrew.

Bracia Czesi zaczęli się wreszcie ładować do pociągu. Zlekceważyli dwa wagony doczepione przez CSD i wybierali nasze przedziały, ale mądrze i metodycznie, agitując chłopaków łamanym polsko-czesko-rosyjskim do zajmowania swoich luksusowych pullmanów, częstując na prawo i lewo amerykańską gumą do żucia, czekoladą i krakersami.

Z biegiem czasu w naszych przedziałach zostały nasze dziewczyny, czeskie chłopy na schwał i ci z polskich chłopaków, których na bagażnikach zmorzył sen dalekiej drogi z Warszawy, z długim postojem w Petrovicach i szlak przez Ostravę, Prerov, Bratysławę. A tu jeszcze Węgry przed nami, a i Belgrad, Zagrzeb i dopiero taczki oraz młoty pneumatyczne „Omladińskiej Prugi".

A ja jak głupi zostałem na korytarzu wagonu. Co robi zużyty lowelas? — oczywiście podgląda. A młody chłopak, w którym o lepsze walczą wzburzona krew i nieśmiałość? On po prostu znajduje szczelinę w firance przedziału i chłonie całym sobą to, co dzieje się wewnątrz przy mdłym świetle niebieskiej żarówki pod sufitem. To kolosalna różnica.

Włosy Wiesi jakby wyolbrzymiały: przykrywały jej twarz, opadały na podłogę przedziału. Leżała na drewnianej ławce bez bluzki, tylko maleńkie figi widziałem pomiędzy jej szeroko rozwartymi udami. Była tak nieprawdopodobnie piękna, że nie dziwiło mnie, gdy zwalisty Czech klęcząc na podłodze całował jej kolana i uda, delikatnie pieścił jej brzuch i drobne piersi, pęczniejące, jak mi się zdało, pod jego palcami.

I nagle — to się stało. Ona. Ona sama zdarła figi. Zalśniło czerwone, rozwarte ciało i krew uderzyła mi do głowy.

— No, na dzisiaj dosyć — głos brygadiera usłyszałem jak przez watę, a rękę na ramieniu poczułem niby cios. — Ruszaj bracie do swojego przedziału. Trzeba spać.

2.

Wstawał dzień. Pociąg szarpnął. Parkany — stacja graniczna. Dalej już kraj Madziarów, schludny, zalany słońcem z czerwonymi dachówkami na domach w ogródkach. Straż graniczna — pamiętam — miała takie dziwne furażerki, coś jak z ilustracji do czasów Franciszka Józefa.

Siedziałem przy oknie, twarz miałem zwróconą ku oknu i głowę opartą na dłoniach. Do nikogo nie chciałem się odzywać. W oczach ciągle miałem rozchylone uda Wiesi i jej powolny ruch, gdy ściągała figi, aby oddać się potężnemu Czechowi.

A w sąsiednich przedziałach huczało: na zmianę śpiewano „szła dziewczeczka do laseczka" i „haj muzika ta nam libie hra, at żije prezident a Praha".

Nagle z trzaskiem drzwi przedziału się otworzyły i stanął w nich ów nocny gość od Wiesi. W ręku trzymał butelkę i zawołał: „pzatele wypijem" Gdy kubek doszedł do mnie, miałem dziką ochotę chlusnąć w twarz ofiarodawcy, ale ten ni stąd ni zowąd odezwał się po rosyjsku.

— Ja z Sokola. Ty durnoj malczik. Szto ty turgajesz. Tak wypijom".

Wypiłem. Było strasznie gorzko i chyba połykałem łzy.

Równina usypia żal. Dojeżdżaliśmy do Budapesztu. Pociąg raz się cofał, raz szedł do przodu. Wreszcie utknął na ślepym peronie, za którym rozciągała się brama do miasta. Tylko napis „Budapest Keleti PU" był cały. Ogromna kopuła nad peronami była wielkim szkieletem — tak ogromnym, że głowę trzeba było zadzierać. Wyszliśmy na peron, szkło chrobotało pod butami. To był dzień, gdy nastąpiła rewaluacja pengo. Jeszcze w Bratysławie przeczytaliśmy w gazetach, że nowy forint stoi po cztery sztuki za dolar, a w kieszeniach mieliśmy dziesiątki, a nawet setki koron wymienionych za złotówki na stacji w Petrovicach. Na torach walały się kupy fekaliów, a kolejarze widocznie podcierali się banknotami po sto tysięcy pengo, bo te wszystkie „kaktusy" upstrzone były kolorowymi papierkami. Trzeba było żywić się konserwami z Polski, bo za korony można było dostać najwyżej arbuzy.

Ruch był niesamowity: Amerykanie w łatanych jenieckich mundurach, chyba maruderzy, żandarmeria honwedzka, tłumy ludzi z tobołami — słowem burdel. O wyjściu na miasto nawet marzyć nie można było. I staliśmy, stali... wędrowaliśmy wzdłuż torów zbierając niezabrudzone pengo na pamiątkę. I ten dzień wspominam jako ogromny, wszechogarniający koszmar. Dopiero pięciu krasnoarmiejców z garmoszką zagarnęło kilku naszych, pocieszało jak mogło. Była wśród nich cud dziewucha, pogłaskała mnie po głowie, powiedziała: „wot, mołodiec". Objąłem ją nieśmiało, z uśmiechem wykręciła się, ale znowu nie tak bardzo, jeszcze raz powiedziała „mołodiec". I nagle stałem się głupio szczęśliwy.

Nasz pociąg odjechał późnym wieczorem. Trzeba przyznać, że humor mi nieco wrócił. Zacząłem nawet podśpiewywać z innymi i po chwili było mi cholernie dobrze.

Wyciągnąłem notes i zacząłem notować dziwnojęzyczne stacje. Liczyłem czas do zbiegu Sawy i Dunaju. Potem drzemka przyszła niespodziewanie, śniły mi się nogi Wieśki, zdaje mi się, że krzyknąłem przez sen. Leszek mnie szturchnął w bok: „Co ty, głupi, zakochałeś się". I wtedy stało się. W ciasnym przedziale wstałem, zamachnąłem się, rąbnąłem najlepszego przyjaciela w nos, krew trysnęła, rumor zrobił się niesamowity. Wbiegł brygadzista.

— Ty bydle! Kompromitujesz nas! Wont na korytarz.

Opuściłem głowę, potykając się o nogi współpasażerów. Wyszedłem, stanąłem przy oknie korytarza. Pomyślałem: „Teraz wyskoczę, wyskoczę". No i wcale nie wyskoczyłem. Przeciwnie, stawałem się coraz bardziej dumny z siebie. Cholera. Ja im dam się śmiać. Jestie nasza slowenska recz żije!

Smagany wichrem, sadzą z lokomotywy, dojechałem do Belgradu. Gdy wlazłem do przedziału, rozległ się głośny śmiech.

— Murzyn, kurwa mać?

— Centkowana zebra!

— Dajcie spokój, chłopak przeżywa.

3.

W Zagrzebiu był postój. Upał niemiłosierny. Popadłem w jakąś apatię, reszta towarzystwa pojechała do opery na „Sprzedaną narzeczoną" — ostatni ubaw przed ciężką pracą.

Wylazłem samotnie na Trg Kneza Michalowica, pokręciłem się w koło, a rankiem załadowano nas na autokary po te kilofy, łopaty, młoty pneumatyczne. A ja cały czas myślałem o Wieśce, nie tak naprawdę o niej, tylko o tym rozchyleniu ud, powoli zdejmowanych figach i rozchylonym ciele, czekającym na mężczyznę.

Miesiąc przeszedł jak z bicza trzasnął: praca, śmiertelne znużenie i sen oblepiony potem, sen, sen nade wszystko.

Po miesiącu porucznik w furażerce z czerwoną gwiazdą powiedział: „Teraz za zasługi pojedziecie na odpoczynek, przez Split na przepiękną wyspę Hvar nad Morzem Adriatyckim". To oczywiście wszystko tłumaczył nasz brygadier.

I wtedy bractwo ryknęło z całej duszy:

Stalin, Tito, Morawski
Stalin, Benesz, Morawski

Oficer w furażerce jakby się skrzywił i sam zawołał:

Tito, Stalin, Morawski
Tito, Stalin, Benesz

Już wiedzieliśmy, kto tu jest pierwszy i do końca zachowaliśmy ten porządek rzeczy.

4.

Droga do Splitu była długa, nieprawdopodobnie romantyczna. Nie wiedzieć kiedy, w nocy wjechaliśmy w góry. Dwie lokomotywy sapiąc ciągnęły nasz pociąg. Czesi już wcześniej gdzieś znikli, a i pociąg nie był ten sam. Wprawdzie na stopniach miał wybite metalowe napisy PKP, ale cały był czarny od węgla i takie były nasze jedwabne bluzy.

Wody dostawało się po dwa kubki dziennie i wszystko byłoby bardzo ciężkie, gdyby na którejś ze stacji nie nastąpiło spotkanie, którego trudno byłoby nie pamiętać. Staliśmy tam dwie godziny, albo trzy, albo pięć — już nie pamiętam. Wąsate twarze otoczyły nasze wagony, a jeśli kiedykolwiek w życiu przyśnią wam się dziewczyny tak piękne i czarnowłose, to będą właśnie te towarzyszące wąsaczom. A wszystko zmordowane nieludzko i tylko oczy błyszczały niby trawione tropikalną gorączką. Co drugie z nich miało skórzaną kurtkę i pistolet przy pasie, a nad głowami podobne do kościelnych sztandarów chybotały się flagi zielone z białymi literami ELAS. To byli ci ostatni wyrwani z okrążenia w Grammos-Smolikas. Wybiegliśmy z wagonów, nie bacząc na krzyki brygadierów: „Przecież oni mają wszy!". Całowaliśmy ich i wtedy doznałem wstrząsu, którego nigdy nie zażyłem. Młodziutka dziewczyna zarzuciła mi ręce na szyję, dosłownie oplotła mnie nogami i poczułem prawie mdlejąc z rozkoszy jak jej wąska dłoń przywarła do mojego nabrzmiałego członka.

„Boże, kocham cię, kocham cię" — mówiłem bez sensu, bo jak Greczynka mogła zrozumieć co mówię.

A potem kordon jugosłowiańskich żandarmów z opaskami czerwonego krzyża brutalnie rozdzielił nas i wtedy przysiągłem sobie, że na tej pięknej wyspie Hvar spotkamy się jeszcze na pewno i że to będzie moja pierwsza, najwspanialsza dziewczyna. Tak jednak się nie stało.

5.

Split okazał się miastem Europy, antyku i świata. Na śniadania chodziliśmy pod arkady, kelnerzy w białych smokingach uprzedzali każde nasze życzenie. Tylko sałata pełna malutkich ślimaczków przyprawiała mnie nieco o mdłości. Trzy razy chodziłem na Forum Romanum, którego kolumny wtopione są w czworobok kamienic, a pośrodku dwa lwy strzegą mauzoleum Dioklecjana, nad którym góruje czternastowieczna wieża katolicka przyprawiająca o zawrót głowy, gdy wchodzi się na jej szczyt po kręconych, żelaznych schodach.

Cały pobyt w Splicie był jednak wiecznym, niespokojnym oczekiwaniem. Ostatniego dnia pobytu poznałem na Forum Milenę. Stało się to zupełnie naturalnie i oczekiwanie się skończyło.

Milena wzięła mnie delikatnie pod rękę, nic prawie nie mówiła, kupiła mi kartkę ze Splitu, a wieczorem zaprowadziła mnie na swoje poddasze.

— Wiesz, mój mąż był polskim podoficerem. Już widzę po twoich oczach, że nigdy nie miałeś kobiety.

Twarz miała pospolitą, ale tak opaloną, że cała krew uderzyła mi do głowy. Rozebrała się powoli, ciało miała brunatne od słońca i pachniała Adriatykiem.

— Nie będę cię długo pieściła, bo szybko się spalisz. Dotknij mnie. Widzisz jaka jestem wilgotna. Teraz głębiej, jeszcze głębiej. I tak leż spokojnie.

Wtedy poczułem jej skurcze tam głęboko i ogromny wilgotny pocałunek, który obejmował całe moje usta.

Nie wiem, ile razy traciłem przytomność. Obudziłem się delikatnie całowany w czoło i po oczach.

— Z tamtym nigdy nie miałam dziecka. A to będzie twoje. Wyjedziesz, a ja będę myślała. Nie gniewaj się, będę myślała, że to jego. Bo on miał mnie pierwszą.

— Milena, spotkamy się na Hvari.

— Nie, kochanie. Ja jestem z Zagrzebia. Ty jesteś moim podoficerem. On zginął. Ty żyjesz. Ty będziesz pamiętał. A wiesz, jesteś bardzo ładny. A lepiej mówię po polsku niż po kroacku. Musisz to zrozumieć.

Wyszedłem. Za godzinę statek „Knin" wiózł nas na legendarną wyspę Hvar.

Statek kołysał jak cholera, ale widać nie jestem czuły na chorobę morską, co po wielu latach sprawdziło się. Mijaliśmy wyspy zielone, o dziwnych kształtach, całymi godzinami w terkocie motoru zbliżaliśmy się do miejsca przeznaczenia.

Tam już zapadał wieczór. O falochron uderzały lekkie fale, a nasz dom opadał jednym bokiem w samo morze. Łodzie rybackie cumowały do nabrzeży. Drzewa granatów czerwieniły się od owoców, na szerokich liściach agaw soczyście pęczniały zdradliwe owoce pełne igieł. Wszędzie unosił się zapach smaru i oliwy, na której przed domami smażono na rusztach rybki. W głębi rozpościerał się park z palmami i z jakimś nieznanym pomnikiem, a na drodze wiodącej nad domami rosły ogromne drzewa chlebowe. Taki był pierwszy widok miejsca mojej prawdziwej męskiej przygody.

6.

Miasteczko Jelsa na Hvarze było urokliwe. Głównie dominował tam zapach, a właściwie cały bukiet zapachów. Miasteczko zaczynało się od wielkiego falochronu, który po wewnętrznej stronie miał rodzaj korsa spacerowego. Tam pachniało morze. Na całym Hvarze prawie nigdy nie pada. Obecnie, jak słyszałem, domy wczasowe, które już nie pamiętają czasów „Omladińskiej Prugi" — zwracają koszty pobytu za każdy deszczowy dzień. Ale spacerując wzdłuż falochronu nieraz widziało się czarne chmury, przesłaniające szczyty górskie na dalekim obrzeżu Dalmacji.

Główna ulica Jelsy (bo oprócz niej na Hvarze jest jeszcze drugie miasteczko po przeciwnej stronie wyspy) tak więc główna ulica ma z jednej strony basen portu rybackiego, a z drugiej kamienne domy wspinające się tarasami pod górę. W najniżej położonych piwnicach dojrzewa wino, a czarno ubrane gospodynie wystawiają prosto na chodnik ruszta, pod którymi tli się żar. Na tych rusztach polewanych oliwą smażą się małe rybki.

Wzdłuż parku ciągnie się kręta i wyboista droga, którą wędrowaliśmy na niewielką plażę. Ziemia jest tutaj czerwona, a droga wiedzie obok stoków porośniętych winoroślą i wiotkimi drzewkami figowców, na których niby duże zielone gruszki rosną owoce.

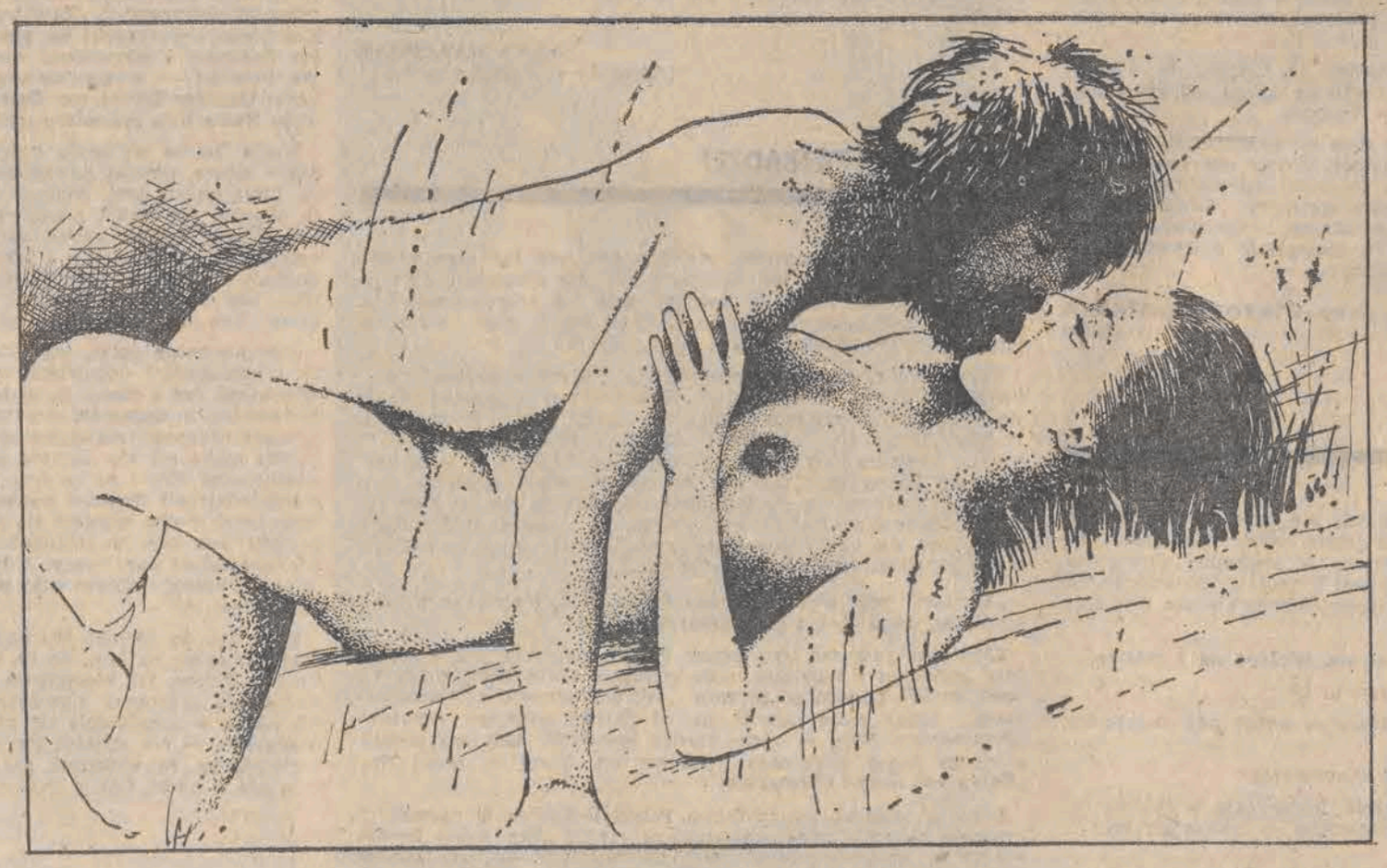

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Gdy ukąsić słodką, zieloną figę, wówczas widzi się biały miąższ, pokryty czerwonymi żyłkami. Figi suszą się i dochodzą do swego cukrowego smaku na płaskich dachach parterowych chat. Drzewa tu nie ma — jedynym budulcem są płaskie kamienie.

Pewnego wieczoru zerwaliśmy się na równe nogi słysząc wielki gwar przed domem „Omladińskiej Prugi". To przybyła nowa grupa brygad jugosłowiańskich. Na początku wszyscy ustawili się w dwuszeregu, rozpięli bluzy, a służba sanitarna z wielkimi szprycami każdemu aplikowała chmurę DDT. Wrócili prosto ze swej morderczej pracy, weseli mimo zmęczenia, z humorem traktując zabiegi higieniczne.

A potem, ku naszemu niebywałemu zdziwieniu, przed obiadem utworzyli kilka kręgów, tańcząc zapamiętale swój znany nam już taniec „sziri-kolo". I tańczyliby tak do upadłego, bo zwrotek było kilkanaście, gdyby nie okrzyk wąsacza w skórze i z pistoletem przy pasie wzywający na obiad.

A posiłki to już odrębna sprawa. Jedliśmy wszyscy razem w wielkiej sali, siedząc na ławach przy drewnianych stołach. Przed każdym stała wielka blaszana miska, wypełniona makaronem i piekielnym, ostrym pieprzem oraz papryką. Do tego w plastykowych amerykańskich kubkach stała śmietana. Pośrodku stołu widniały ogromne konwie z winem i wodą. Początkowo wzorem Jugosłowian, wlewaliśmy śmietanę do misek, ale to w niczym nie łagodziło piekielnego smaku. Potem przełykaliśmy szybko po kilka łyżek potrawy, popijając śmietaną. Co jakiś czas Jugosłowianie popijali wino wymieszane z wodą. My przeciwnie — wodę najwyraźniej lekceważyliśmy.

W przejściu na schodach uśmiechnęła się do mnie opalona, skośnooka dziewczyna. Zatrzymałem się na moment, ale ona wbiegła lekkim tanecznym krokiem. Zaczęły się wzajemne odwiedziny w pokojach świeżo przybyłych brygad. Prasowano tam koszule, prano skarpety, czyszczono buty — ale co najdziwniejsze prasowano również wyjęte z walizek i nieco pomięte portrety. Naszym zdziwionym oczom ukazywały się potem gładziutkie twarze marszałka Tito i Lolo Ribara — bohatera Słowenii. Na krzesłach i stołach walały się pistolety różnych marek, do których czyszczenia nasi nowi znajomi zabierali się z pasją, równocześnie mówiąc do nas mieszaniną serbo-kroackiego i rosyjskiego. Trzeba przyznać, że rozumiało się z tego dosyć dużo. Wtrącane zdania słoweńskie i rosyjskie były zrozumiałe prawie dla każdego z nas.

W ostatnim pokoju zdębieliśmy: Tutaj brzmiała polska mowa, a jedwabne koszule koszule rozwieszone na wieszakach mówiły same za siebie. Cały pokój to był jeden wielki babiniec. I tak poznaliśmy kilkunastoosobową brygadę dziewcząt z ZWM, które gdzieś tam w Warszawie załatwiły sobie wyjazd, a że nie na darmo — o tym świadczyły liczne odznaki „udarnika" wpięte w bluzy.

Drzwi się nagle otworzyły, stanął w nich poznany niedawno wąsacz, a obok niego skośnooka opalona dziewczyna.

Musiałem mieć bardzo cielęcy wyraz twarzy, gdy gapiłem się na nią z szeroko otwartymi oczami.

— Co tak na mnie patrzysz? Czyżbyś nigdy nie widział polskiej brygadierki?

I nagle wyrwało mi się nie wiedzieć jak to osobliwe zdanie:

— Czy nie zechciałaby pani ze mną powędrować jutro rano po skałach? Tam rosną samotne cyprysy. Ogromne.

Dziewczyna roześmiała się.

— No dobrze. Pójdziemy na te cyprysy. Może od razu po śniadaniu.

— Ale śmieszny z pana chłopak — dodała. — I widze też „udarnik".

7.

Całą noc przesiedziałem w oknie korytarza, tam gdzie ściana budynku opadała prosto do morza. Dobry Leszek przyniósł mi litr wina i o nic nie pytał. Posiedział ze mną chwilę, a na odchodnym zostawił paczkę „partizanów". To były piekielnie mocne papierosy. Znów byłem szczeniacko zakochany, bo prawdę mówiąc ta dziewczyna miała coś takiego w twarzy, ni to dowcipnego, ni to obiecującego.

Z całą beztroską wyrostka ani przez moment nie przypuszczałem, że spotkam się z odmową.

Ranek wstał trochę wietrzny, wymarzony na spacer. W czasie śniadania żując ser i zupę kukurydzianą patrzyłem przez kilka stołów w jej kierunku. Ale ona zajęta swymi dziewczętami śmiała się, gestykulowała i ani jednym spojrzeniem nie przypominała o danej obietnicy.

Cyprysy były istotnie imponujące. Dziewczyna wspinała się po skałach jak koza i bez przerwy mówiła. Była jakby zmartwiona, że nie jestem warszawiakiem, ale szybko zaczęła wypytywać o Kraków i Łódź — moje drugie rodzinne miasto. Wydawało mi się, że po pół godzinie znała cały mój życiorys. Mimochodem tylko nadmieniła, że jest sierotą i że nazywa się Krystyna.

Gdy usiedliśmy zmęczeni, ośmieliłem się i przygarnąłem ją niezdarnie. Cofnęła się leciutko, a potem niby mimochodem położyła mi dłoń na piersi.

— Mój Boże, jakże ci strasznie bije serce — i dodała — mój mały.

Wracaliśmy — ona uśmiechnięta, ja ponury i milczący.

— Uśmiechnij się wreszcie — powiedziała — wchodzimy już do Jelsy.

Od tej pory starałem się być przy niej jak najbliżej. Przy „sziri — kolo" brałem ją za suchą maleńką rękę. Oczywiście miała swoje rozliczne obowiązki i wtedy chodziłem jak struty.

8.

Upały stawały się nieznośne. Noce niczym nie różniły się od dni i przeważnie wszyscy spaliśmy nago pod prześcieradłami na tarasach. Czerń robiła niesamowite wrażenie — odległe od siebie bielały tylko płachty jak duchy. Nie trzeba dodawać, że noce spędzałem prawie bezsennie. Upał i wprost fizyczny ból tęsknoty za Krystyną nie dawały zasnąć. I w przeddzień odjazdu zdarzył się cud. Wpierw ktoś delikatnie dotknął prześcieradła, pod którym spałem, a potem nagle ciało dziewczęce wślizgnęło się pod płachtę i przywarło gorąco do mnie. Chyba już wszyscy spali, gdy zacząłem całować palce jej nóg, potem wargi wędrowały do kolan i nagle spostrzegłem, że uda ma zaciśnięte. Czułem językiem słoność potu na tych udach, gdy powolutku rozwierały się. Wreszcie dopadłem ustami tam, w to najpiękniejsze miejsce, rozchylałem je wargami i językiem nieprawdopodobnie pięknie pachnące. Dłońmi i ustami pieściłem pachwiny, płaski brzuch i drobną pierś. Wtedy poczułem jej ręce, gdy delikatnie gładziły mi włosy.

Pod boleśnie napiętym członkiem nagle poczułem lekki opór, a potem wilgoć. Jeszcze nie byłem w jej wnętrzu — to była wilgoć krwi. Zupełnie już oszalały wdarłem się w jej piękne, niewidoczne ciało, zacząłem gorączkowo myśleć o otaczających nas agawach, drzewach chlebowych, o ziemi na której leżeliśmy i trwało to bardzo długo. Nareszcie poczułem jej jęk, długi, przejmujący, stłumiony.

Potem leżeliśmy przywarci do siebie i spływał z nas strugami pot.

— Krysiu — powiedziałem — Krysiu, dziękuję ci dziewczyno moja.

I usłyszałem cichutki szept.

— Ja nie jestem Krystyna. Ona jest moją mamą. Ma teraz trzydzieści sześć lat. W Polsce zostawiła męża, ale wiem jak strasznie się męczyłeś. Jestem jej córką, nazywam się Ewa. Chyba wiesz, że byłeś moim pierwszym.

Już prawie świtało, gdy wciągnęła na siebie slipki i bluzeczkę leżące obok prześcieradła, pocałowała mnie w tym miejscu, gdzie bije serce i już jej nie było.

Nazajutrz mieliśmy odjeżdżać. Brygada dziewczęca jak i większość przybyszów jeszcze zostawała. „Knin" czekał już u nabrzeża. Żegnał nas tłum przyjaciół jugosłowiańskich i greckich. Ewy nie było. Z daleka dojrzałem Krystynę trochę smutno uśmiechniętą. Pomachała mi chusteczką.

Siedziałem na dziobie samotnie. Leszek podszedł, wyciągnął z kieszeni paczkę „partizanów".

— Na wszystkie smutki — powiedział — najlepiej zakurzyć.

EDMUND LEWANDOWSKI

Najlepszy kryminał francuski

Niedawno pojawiła się na półkach księgarskich niewielka powieść Jeana Mazarina pt. „Kolabo-song", którą wcześniej drukowała już w pięciu odcinkach „Literatura". Książeczka ta zasługuje na uwagę co najmniej z dwóch względów. Po pierwsze, została uznana za najlepszy kryminał roku i wyróżniona specjalną nagrodą — „Grand Prix de Litterature 1933" — przyznawaną we Francji pisarzom francuskim i zagranicznym. A poza tym ukazuje mało znane i szokujące dla nas obrazy kolaboracji Francuzów z hitlerowskimi Niemcami. Ta druga kwestia ma szczególne znaczenie w kontekście wrzawy propagandowej wokół filmu „Shoah" Claude Lanzmanna. Jak wiadomo, francuskie środki masowego przekazu oskarżyły naród polski o współudział w eksterminacji Żydów, która miała miejsce na naszych ziemiach podczas II wojny światowej. W tej sprawie rząd PRL złożył oficjalny protest u władz francuskich.

W okresie trzech tygodni projekcji film „Shoah" obejrzało w Paryżu 12 tysięcy osób. W pokazie premierowym wziął udział nawet prezydent Francois Mitterand. Olbrzymia reklama przyniosła jednak dość skromne efekty. Pamiętajmy bowiem, że w rejonie paryskim mieszka aż 350 tys. Żydów, a sam reżyser spodziewał się w stolicy 100 tys. widzów. Teraz film jest w repertuarze kin prowincjonalnych, gdzie prawdopodobnie również nie odniesie oczekiwanego sukcesu.

W dniu 13 czerwca 1985 r. prorządowy dziennik „Le Matin" zamieścił obszerny wywiad z Claude Lanzmannem, w którym wyraził on zdumienie z powodu reakcji naszego rządu. *„Zrozumiałbym natomiast* — powiedział reżyser — *gdyby gwałtownie zareagował Kościół polski, gdyż ukazany w nim został w pełnym świetle wiekowy antysemityzm chrześcijański. Nie widzę wszakże powodu, dlaczego stawia tę sprawę dzisiejszy rząd polski".*

Cóż można na to powiedzieć? Najlepiej przypomnieć znaną chyba w katolickiej Francji zasadę Chrystusową, że kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. A fakty historyczne są jednoznaczne. Otóż w długich dziejach antysemityzmu europejskiego akurat nie polski Kościół i naród przodowały. Nieporównanie więcej powodów, do wstydu mają Francuzi i inni Europejczycy zachodni. Bardzo znamienny fragment znajdujemy w słynnej powieści „Ulisses" Jamesa Joyce'a, gdzie stary Garret Deasy poucza Stefana Dedalusa: *„Irlandia, powiadają ma zaszczyt być jedynym krajem, który nigdy nie prześladował Żydów. Czy wie pan o tym? Nie. A czy wie pan dlaczego? (...) Dlatego, że nigdy ich nie wpuściła..."*

W przedwojennej Polsce było 3 mln 500 tys. obywateli narodowości żydowskiej; z tego 380 tys. mieszkało w Warszawie oraz 250 tys. w Łodzi. W Łodzi Żydzi stanowili 37 proc. ogółu ludności (Niemcy ok. 10 proc.). W społeczeństwie II Rzeczypospolitej, co dziś trudno sobie wyobrazić, Żydem był co drugi adwokat i co trzeci lekarz; obywatele pochodzenia żydowskiego stanowili aż 43 proc. burżuazji oraz 55 proc. drobnomieszczaństwa. W tej sytuacji ugrupowania endecko-katolickie podburzały Polaków przeciwko Żydom. Wzywano naród do walki o „kulturalno-gospodarczą niepodległość Polski", propagowano hasło „swój do swego" jako kwestię „naszego bytu", reklamowano firmy „chrześcijańskie" i usiłowano bojkotować żydowskie. Zdarzały się też, niestety, akty wandalizmu i przemocy wobec Żydów.

Ale w tamtych latach — pod wpływem ideologii nacjonalistycznej i faszystowskiej — prawie wszystkie kraje Europy notowały wzrost niechęci do Żydów. Także we Francji, mającej stare tradycje antysemityzmu, nasilała się obsesja antyżydowska. Obecny arcybiskup Paryża, kardynał Jean-Marie Lustiger, który z pochodzenia jest Żydem, wspomina: *„Przed bramą liceum Montaigne'a sprano mnie kiedyś po twarzy dlatego, że jestem Żydem. Kiedy zbliżałem się do grupki rozmawiających chłopców, odpychali mnie: To ciebie nie obchodzi, ty brudny żydziaku! Znam to wszystko".*

Każdy głęboko myślący i wrażliwy człowiek musi uznać za potworny fakt, że Niemcy hitlerowskie wymordowały około 6 mln Żydów. Ta świadoma, planowa i systematyczna zagłada była przecież dziełem chrześcijańskiego narodu zachodnioeuropejskiego stojącego na bardzo wysokim poziomie cywilizacji i kultury. Synowie tego narodu uśmiercili również miliony Polaków, Rosjan oraz przedstawicieli innych ludów. Z okazji 40 rocznicy zakończenia wojny mówił o tym do zgromadzonych w Bonn członków Bundestagu i Bundesratu prezydent Richard von Weizsäcker: *„Wspominamy zwłaszcza sześć milionów Żydów, którzy zamordowani zostali w niemieckich obozach koncentracyjnych. Wspominamy wszystkie narody, które ucierpiały wskutek wojny, zwłaszcza niezliczonych obywateli Związku Radzieckiego i Polski, którzy stracili życie".*

Tak się złożyło, że straszliwe dzieło zagłady dokonało się głównie na ziemiach polskich, gdyż tutaj Niemcy wybudowali największe obozy. Z wszystkich okupowanych krajów przywożono Żydów do Oświęcimia i innych zakładów śmierci. Na tej podstawie w licznych publikacjach na Zachodzie i w Izraelu pojawiły się pod adresem Polaków zarzuty, że wszystkiemu biernie się przypatrywali lub sympatyzowali i współdziałali z Niemcami. Na przykład Menachem Begin stwierdził: *„Owszem, Polacy walczyli i mieli ruch oporu, ale na 30 milionów najwyżej stu pomagało Żydom... Duchowieństwo polskie to antysemici... Teraz rozumiecie, dlaczego obozy zagłady były ulokowane na terenie Polski..."* I z podobnymi oszczerstwami wystąpił ostatnio Claude Lanzmann. W wywiadzie dla dziennika „Liberation" powiedział, że nasze wsie wokół obozów są bogatsze od innych dzięki złotu skradzionemu ofiarom żydowskim. Podkreślił on, że „antysemityzm polski jest bękartem katolicyzmu w Polsce".

Zapomniano więc, że tylko w Polsce za pomoc Żydom hitlerowcy stosowali karę śmierci. Zignorowano fakt, że z narażeniem życia Polacy uratowali przeszło 100 tysięcy Żydów. Zapomniano wreszcie, że w planach niemieckich wyznaczono narodowi polskiemu ten sam los co żydowskiemu. Niełatwo zrozumieć, skąd bierze się takie antypolskie zaślepienie. A w szczególności trudno pojąć, że właśnie we Francji są siły, które pragną widzieć Polskę na „ławie oskarżonych" — we Francji, czyli w kraju, gdzie było tylu kolaborantów, a rząd Vichy i policja francuska w ogromnym stopniu przyczyniły się do wyniszczenia miejscowych Żydów. W dyskusji na XIX Plenum KC PZPR Jerzy Krassowski mówił: *„Na nasz naród rzucono najohydniejszą potwarz, przypisując nam na oczach narodów całego świata cechy zbrodnicze. Niemców oczyścić, Polaków obciążyć: takie płatne zamówienie (...) Któż mógł przewidzieć, że Wielka Rewolucja Francuska zrodzi po 200 latach azyl dla rozbestwionych Pigmejów. Brudne ręce powołały do życia antylechityzm, bękarta nacjonalizmu. Tego jeszcze w Europie nie było".* Tylko z ostatnim cytowanym zdaniem dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie nie mogę się zgodzić, bo Europa przeżyła już o wiele gorsze rzeczy.

Po tych uwagach warto przyjrzeć się bliżej wspomnianemu na wstępie kryminałowi „Kolabo-song", wydanemu we Francji w 1982 roku, który obecnie można nabyć za jedyne 90 zł w polskim przekładzie Ziemowita Fedeckiego. Bohaterka powieści, Laura Santenac, jest żoną słynnego profesora medycyny, w którym zakochała się będąc jego studentką. Ślub odbył się na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Ambitna, dwudziestoletnia panienka z prowincji wyszła, ponaglana przez matkę, za człowieka sławnego i zamożnego, lecz starszego od niej o trzydzieści lat. Już po kilku miesiącach zrozumiała, że popełniła błąd. Źle czuła się w dużym mieszkaniu, nudziło ją uczone towarzystwo męża, który w dodatku zdradzał ją z personelem kobiecym szpitala, i przestał zajmować się żoną, ale nie chciał wyrazić zgody na rozwód.

Po wkroczeniu Niemców do Paryża początkowo nic się nie zmieniło w trybie życia ludności. Później jednak zaczęto coraz bardziej odczuwać trudy wojny i okupacji: pojawiły się kłopoty zaopatrzeniowe, wprowadzono system kartkowy, zniknął smaczny chleb, brakowało opału, trzeba było kupować u spekulantów. Poza tym mieszkańcy stolicy bali się *„nawet westchnąć głośniej, żeby nie rozległ się natychmiast tupot podkutych buciorów".*

Znaczna część elity francuskiej przystąpiła do współpracy z hitlerowcami. Żydów pozbawiono prawa wykonywania praktyki lekarskiej. Edmund Santenac otrzymał propozycję aktywniejszego włączenia się do „dzieła wielkiej odnowy". Jego szef mówił: *„Rząd przewiduje podjęcie nowych kroków, bardziej radykalnych, niejako ostatecznych i ci którzy włączą się do ruchu odrodzenia narodowego zostaną wówczas nagrodzeni wedle zasług".* Mówiono o Rewolucji Narodowej, a członków ruchu oporu identyfikowano jako bandytów, komunistów i Żydów...

Pewnego razu Laura znalazła w pokoju służącej tysiące ulotek z gwiazdą Dawida i nadrukiem: „Stowarzyszenie Intelektualistów i Studentów Żydów". Podziemna organizacja ostrzegała ludność żydowską przed zbliżającym się śmiertelnym niebezpieczeństwem. Po krótkim wahaniu Laura zadenuncjowała pokojówkę i w celu przestraszenia Edmunda podrzuciła mu do szuflady kilka ulotek. Spowodowała tym aresztowanie służącej (później okazało się, że agentki niemieckiej) i męża, który faktycznie działał we francuskim ruchu oporu, zajmując wysokie stanowisko w organizacji gaullistowskiej. Notabene aresztowań dokonali Francuzi, przy wydatnej pomocy dozorcy. W siedzibie francuskiego gestapo prof. Santenac uwolnił się z rąk strażników swych rodaków, wyskoczył z trzeciego piętra i poniósł śmierć. Kapitan niemiecki, Helmut Hildsheim, skomentował ten fakt następująco: *„Pewne służby francuskie wykazują, być może, nadmiar gorliwości chcąc nas upewnić o swoim oddaniu sprawie".*

Śmierć męża nie wstrząsnęła zbytnio Laurą. Szybko pocieszyła się w ramionach pewnego kolaboranta sprawującego kierowniczą funkcję w policji specjalnej. Wspólnie z kochankiem zabawia się w drogich lokalach i na przyjęciach w gronie kolaboranckim. *„Nowy rok* — czytamy — *witają w «Szeherezadzie», modnym lokalu nocnym, ulubionym miejscu spotkań eleganckiego kolabo-Paryża. Sala jest nabita, w ostatniej chwili ustawiono dodatkowe stoliki, żeby jakoś rozlokować gości. Dużo mundurów, spodnie z podwójnym czerwonym lampasem generałów Wehrmachtu, kołnierze oficerów SS połyskujące srebrnymi zygzakami, orły na piersiach i na rękawach przemieszane z toaletami wieczorowymi, głębokimi dekoltami, klejnotami, uśmiechami i z nienagannymi smokingami, gdyż dzisiejszej nocy obowiązują stroje wieczorowe".* Jeden z przyjaciół Laury udaje się na front wschodni: najpierw w charakterze korespondenta wojennego, a potem ochotniczo jako żołnierz. Bohaterka nabiera w swoim otoczeniu takiej świadomości, że partyzantów uważa za terrorystów. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zwycięstwa aliantów oraz prześladowania ze strony ruchu oporu.

Nie będę, oczywiście, dalej streszczał fabuły i nie zdradzę zakończenia. Powiem tylko tyle, że choć powieść Mazarina mało przypomina kryminał, to ma zupełnie nieoczekiwany, niesamowity i na wskroś kryminalny finał. Natomiast to, co przedstawiłem, może służyć jako ilustracja do rozważań o kolaboracji Francuzów.

Historycy i znawcy problemów II wojny światowej wiedzą, że autor powieści „Kolabo-song" dość wiernie odtworzył realia okupacyjne Paryża. W rzeczywistości sporo Francuzów odegrało wówczas haniebną rolę. W ogóle trzeba stwierdzić, że Francja nie popisała się w tamtej wojnie. Najpierw bowiem nie udzieliła sojuszniczej Polsce obiecanej pomocy, która mogła doprowadzić już w 1939 r. do klęski Niemiec, a później nieudolnie się broniła i wreszcie splamiła daleko idącą kolaboracją z okupantem.

Kiedy niemieckie czołgi sforsowały Ardeny i przekroczyły 12 maja 1940 r. granicę Francji, wojska francuskie ogarnęła panika. Niemcy odnosili tak łatwe sukcesy że Hitler aż musiał hamować swych generałów, obawiając się nadmiernego ryzyka. Kompromitująco wypadło dowództwo armii francuskiej. Francuzi nie zdobyli się nawet na przyjęcie propozycji Churchilla utworzenia unii z Anglią. Burżuazja francuska bardziej bała się dominacji brytyjskiej czy zwycięstwa frontu ludowego niż okupacji hitlerowskiej.

Zdrajcy i kolaboranci zadowolili się rządami w „wolnej" strefie, gdzie znieśli III Republikę i utworzyli „Państwo Francuskie", zaś w miejsce „Wolności Równości Braterstwa" wprowadzili pétainowskie hasła — „Praca, Rodzina, Ojczyzna". Z plakatów propagandowych — czytamy w „Kolabo-song" — *„krzepkie rodziny chłopskie spoglądały na łany dojrzałych zbóż, jednocząc się mistycznie w Rewolucji Narodowej"* Wcześnie wprowadzono ustawy dyskryminujące Żydów, a później organizowano łapanki i deportacje. Jan Baszkiewicz pisze: *„Historia reżimu Vichy to dzieje coraz głębszego upadku, coraz obrzydliwszej kolaboracji z hitleryzmem i faszyzacji stosunków wewnętrznych. Dotyczy to już czasu przed listopadem 1942 r., tj. przed całkowitą okupacją Francji przez Niemców. Rząd Pétaina miał w tym czasie znaczną swobodę działania: korzystał z niej w sposób haniebny".* Polakom trudno uwierzyć, że generał de Gaulle musiał potajemnie opuścić Francję, aby kontynuować walkę, za co został przez rodaków uznany za dezertera i zdrajcę oraz skazany na karę śmierci.

Po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej nowe władze francuskie ukarały tylko część spośród licznej rzeszy kolaborantów. Sądy wydały 2071 wyroków śmierci, ok. 2200 osób skazano na dożywocie i ok. 39 tys. na mniejsze kary więzienia. Znacznie więcej kolaborantów ukarano w Belgii i Holandii. Wielu Francuzom pracującym w gestapo i walczącym u boku Niemców pozwolono wstąpić do korpusu ekspedycyjnego w Indochinach.

Skoro tak sprawy wyglądały, dlaczego dziś Francuzi rzucają oskarżenia na Polskę i Polaków? Olgierd Terlecki dość przekonująco tłumaczy to francuskim k o m p l e k s e m winy i klęski. Pisze on: *„Nieogarniona doprawdy jest liczba polityków, generałów, pisarzy, prawników, znaczących dziennikarzy i w ogóle ludzi ze społecznych wyżyn, którzy ochoczo wysługiwali się Niemcami. Wróćmy do wyłapywania Żydów. Któż to robił we Francji nie okupowanej? Może Niemcy? Może jakieś szumowiny? Nie, robiło to oficjalne, francuskie gestapo. W tym wszystkim Legion Francuski na froncie wschodnim i francuska dywizja SS «Charlemagne» to już właściwie tylko dodatki".* Autor przypomina, że Francuzi mieli największą armię lądową świata; i ta armia doznała bezprzykładnej klęski — bijąc się zaledwie dwa dni dłużej od słabszej Polski, której nie wspierali żadni sojusznicy. Poza tym w Polsce nie było kapitulacji i nie znalazł się nikt spośród polityków i oficerów, kto zgodziłby się współpracować z Niemcami. Świadomość tego wszystkiego ma być źródłem kompleksu, który wyładowuje się w kierunku polskim.

Ponawiane ostatnio często we Francji ataki na Polskę są dla nas szczególnie przykre, ponieważ z różnych narodów świata najbardziej lubimy Francuzów. Jest to miłość tradycyjna, lecz bez wzajemności. Sondaże opinii w społeczeństwie francuskim od dawna wskazują, że Polacy nie należą tam do ludów obdarzanych dużą sympatią. Również historia pokazuje, że ze strony Francji niewiele dobrego spotkało nasz kraj. Już w 1831 r. zauważył to pruski hrabia, Helmut von Moltke. W niewielkiej książeczce, przełożonej na polski w połowie lat 80 XIX w., czytamy: *„Francja tak w nowszych jak w dawnych czasach często używała Polski dla swych celów, ale nigdy nic dla prawdziwego dobra tego narodu nie zrobiła. Żaden kraj nie miał tak w swoim ręku losów Polski jak Francja i żaden kraj tak nie zawiódł jej nadziei".* Podobną opinię sformułował sto lat później inny Niemiec — Rudolf von Thadden, historyk z Getyngi, z którym przeprowadził niedawno rozmowę Adam Krzemiński.

W ostatnich latach, równolegle z atakami wymierzonymi przeciwko Polsce, postępuje zbliżenie Francji do Niemiec. A prezydent Mitterand jako pierwszy, ubiegając Ronalda Reagana, wysunął problem rewizji układów jałtańskich. Powinniśmy więc być czujni i mądrzej lokować nasze uczucia.

(2)

Dzieci kosmosu

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Profesor bardzo często zaczynał w taki właśnie sposób — niby nic nie wie, niczego takiego nie odkrył, nie przebadał, żadnych wniosków nie przygotował i w ogóle mało co wie, a w rezultacie zaskakiwał najczęściej prawdziwymi rewelacjami.

— Jestem pewien, że profesor chowa coś w zanadrzu.

— Niczego nie chowam, wszystko widać niemal gołym okiem. Stwierdziliśmy, na przykład, wszyscy, że nasza planeta jest martwa. Od siebie mógłbym tylko dodać, że owszem, martwa, ale w nader osobliwy sposób — profesor zapalał się powoli — w osobliwy, ponieważ nie odkryliśmy nawet najmniejszych śladów walki. Czy wam to nic nie mówi?

— Oczywiście! — odpowiedział Arktur, specjalista w dziedzinie wszystkich rodzajów broni, jakimi dysponowała „Adara" — przecież to jasne. Demorion nie dostał się na Telemetrię, bo to niemożliwe. Nie on poszarpał osłonę falową, z czego wynika niezbicie, że nasi sami opuścili planetę.

— Bzdura, przyjacielu, czysta bzdura — wtrącił Ehat, zastępca dowódcy, jeden z najbardziej doświadczonych pilotów międzygwiezdnych, wybitny geograf w skali międzygalaktycznej, twórca wielu map gwiezdnych — przecież wiadomo, że Telemetria nie dysponowała odpowiednią ilością statków międzygalaktycznych, starczającą na exodus. A gdzie zapasy żywności, nasiona, części zamienne, niezbędne wytwórnie i laboratoria? Nikt przecież nie rusza w daleką podróż z pustą walizą!

— Racja! — zgodził się profesor Sadalmelek — skoro jednak tak się stało, musimy dojść przyczyn i ewentualnych skutków, inaczej nie znajdziemy odpowiedzi na zasadnicze pytanie — czy my ich kiedykolwiek jeszcze zobaczymy i czy poszukiwania mają szansę?

Załoga „Adary" przebyła wielką drogę. Ośmiu starannie wyselekcjonowanych radiotelegrafistów, uznanych za najlepszych spośród najlepszych, wydostało się szczęśliwie z gwiezdnej strefy opanowanej przez Demoriona, przemierzyło olbrzymie przestrzenie kilku galaktyk w poszukiwaniu sojuszników, jakiejś przyjaznej cywilizacji. Znaleźli jednak ani wroga, ani przyjazną planetę rozumnych istot dwunożnych, zwiących się ludźmi. Nie była to planeta, z której mógłby pochodzić Demorion, także przecież dwunóg. Ludzie zielonej i błękitnej ziemi, skłóceni, żyjący na krawędzi samozniszczenia, nie dysponowali jeszcze techniką umożliwiającą dalekie podróże międzygalaktyczne, sięgnęli ledwie swojego księżyca, ale zdołali zgromadzić kilka razy więcej pocisków atomowych, niżby ich było trzeba dla rozsadzenia planety. Cóż, ośmiu radiotelegrafistów zawróciło, nie znalazło przyjaciół w kosmosie. Zawróciło w stronę ojczystej Telemetrii.

— Czy można już coś powiedzieć na temat przyczyn, wyjaśniających exodus? — spytała Mirah, lekarz pokładowy, kucharz do tego, biochemik z zawodu, wielki miłośnik przyrody z prywatnego zamiłowania.

— Przyczyny moja droga? Rozumując czysto teoretycznie mógłbym przedstawić przynajmniej trzy. Pierwsza to spowodowane okolicznościami zbiorowe samobójstwo, samozagłada.

— Ależ, profesorze! Nie wykryliśmy żadnych śladów wskazujących na taką możliwość.

— Jakich śladów? Gdzie? Na martwej Telemetrii? W grę mogła wchodzić tylko totalna, całkowita dezintegracja, absolutne zderealizowanie narodu przy pomocy odpowiednich fal. Bezbolesny, błyskawiczny rozpad żywego organizmu bez najmniejszego śladu. Rada Lotów Międzygwiezdnych brała i ten wariant rozwiązania losu narodu pod uwagę i mogła go zrealizować, kiedy stało się jasne, że nie jest już możliwe ani życie w galaktyce zniszczonej przez Demoriona, ani sprawiedliwy dla wszystkich powszechny exodus.

— Kiedy to nieprawdopodobne! — profesorowi przerwała Danebola, specjalistka obsługująca maszyny tłumaczące niemal wszystkie sygnały z kosmosu — przecież musieli dać szansę jakiejś wybranej grupie, aby Telemetria nie zginęła, mogła się odrodzić w innym miejscu.

— Trafiłaś w sedno! — profesor zbliżył się do ekranu głównego audiowizora — taką grupą, której dano szansę, jesteśmy właśnie my. Trzy pary narzeczonych i stary profesor, nie można, kochani, lepiej wybrać.

Słowa wybitnego profesora wywarły duże wrażenie. Istotnie, nie zdarzyło się, aby najlepiej wyposażony statek międzygalaktyczny wysyłać, na dobrą sprawę, w nieznane. Szukajcie przyjaciół we Wszechświecie — co to jest w końcu za polecenie? Nie zdarzyło się również i to, aby jakikolwiek statek dalekiego zasięgu zabierał ze sobą wszystkie tajemnice Telemetrii i wszystkie wynalazki. Na co komu olbrzymie ilości nasion roślin użytecznych, środki owado- i bakteriobójcze, maszyny spulchniające ziemię, zdolne przekształcić nawet skały w urodzajną glebę. Na co komu odżywki dla dzieci i młodych matek? I rzeczywiście — czemuż w skład ekipy weszły trzy wyraźnie sympatyzujące ze sobą pary? Przypadek? Za dużo tych przypadków. Rada Lotów Międzygwiezdnych liczyła się z możliwością klęski, zagładą Telemetrii, ale nie narodu radiotelegrafistów. Stąd samotny, daleki rejs „Adary" aż na peryferie Wszechświata, do nieznanego układu słonecznego, gdzie żyją skłóceni ze sobą ludzie. A w gruncie rzeczy rejs oddalający załogę od wojny z Demorionem i jego robotami.

— A dwie pozostałe hipotezy? — spytał Murzim.

— Proszę bardzo, ale one są chyba mniej prawdopodobne. Można założyć, że wojna z Demorionem pochłonęła miliony ofiar, a ci, którzy ocaleli zmieścili się jednak w rakietach i odlecieli. Nie wykluczam takiego wariantu exodusu, choć wątpię, żeby mógł wejść w grę. Demorion został rozbity poza Telemetrią, straty nie mogły więc być wielkie. I wreszcie hipoteza trzecia — zejście pod powierzchnię planety. Telemetria nie wystygła całkowicie, jądro ciepła jeszcze się żarzy, trzeba je umiejętnie podniecać, a będzie grzało, a raczej ogrzewało dostatecznie jeśli nie całą, to wybrane części naszej planety.

— Wszyscy wryli się w ziemię? — spytała Szaula, kierująca siecią falowej łączności „Adary", najmłodszy członek załogi.

— A cóż innego mogliby zrobić? Zmarznąć na powierzchni? Budują podziemne miasta, próbują przystosować się do nowych warunków życia.

— Nie wierzę! — oświadczyła stanowczo Szaula — jeśli są, to muszą wysyłać sygnały w przestrzeń kosmiczną. Nie odebrałam ani jednego.

— I ja nie wierzę z tych samych powodów — powiedział profesor.

Czas na decyzję — pomyślał Murzim. Telemetria milczała, to jedno było pewne. Ruszać więc dalej, czy przeprowadzić szczegółowe badania?

— Zbadamy jednak Telemetrię, oczywiście z zachowaniem wszystkich środków ostrożności.

— Masz rację — Ehat poparł z miejsca przyjaciela — pamiętasz nasze przygody na Genadinie? Niewiele nam brakowało do śmierci.

Genadinę, samotną planetę w Piątej Galaktyce, zamieszkiwały niewidzialne istoty rozumne, posiadające jedną wspólną świadomość, jeden centralny ośrodek dyspozycyjny, sterujący wyłącznie energią elektryczną. Badanie Genadiny, jak zresztą całej rzekomo jałowej Piątej, nie było przewidywane. Murzim i Ehat lądowali jednak na planecie. Zaciekawiły ich barwne błyskawice, kolorowe wyładowania, które sprawiały wrażenie jakiejś gigantycznej i równocześnie dziecinnej zabawy. Warto ją zobaczyć z bliska — pomyśleli obaj — a może i zabawić się? Mieli dużo szczęścia, wysiedli bowiem z rakietki zwiadowczej osłonięci silnym polem falowym. O powrocie nawet mowy być nie mogło. Potężne uderzenia elektryczne wznieciły pożar na rakietce, zapomnieli ją osłonić. Sami nie wytrzymaliby pewnie zbyt długo elektrycznego ataku, gdyby nie mądry i przewidujący profesor Arkadar, wybitny zresztą znawca subcywilizacji kosmicznych. Przypuszczał już wcześniej, że owe elektryczne ognie, fajerwerki, błyskawice, kolorowe tęcze o niespotykanym napięciu i temperaturze to tylko przynęta dla ciekawskich, naiwnych i niecierpliwych badaczy kosmosu, gotowych wziąć ten festiwal za wspaniałe igraszki natury, a nie zimno skalkulowaną zasadzkę. Wiązkami silnych fal dezintegrujących rozładował przestrzeń wokół obu przyjaciół. Wylądowała błyskawicznie następna rakietka i zabrała mocno wystraszonych amatorów nie planowanych badań.

— Pamiętam doskonale, co nas spotkało na Genadinie, ale przed nami Telemetria. Ciekawe, co może nam zagrażać w tej pustce?

— Może najgorsze licho — powiedział Arktur — byłem wtedy asystentem profesora Arkadara i dobrze pamiętam jego naukowy komentarz do waszej przygody. Zbiorowe cywilizacje wyglądają na oko jak bezrozumna masa. Mogą to być miliardy drobinek magmy, plazmy, czasem mikroskopijnych owadów, albo niewinnie wyglądających drobnych blaszek sterowanych jednak z żelazną konsekwencją przez ośrodek centralny. W wypadku Genadiny były to niedostrzegalne okiem, ale karne i zdecydowane ładunki elektryczne.

— Pięknie mówisz, nie gorzej od profesora, ale co to ma wspólnego z Telemetrią?

— Otóż motoryczną siłą takich cywilizacji, a raczej subcywilizacji, jest nieodparte pragnienie rozdzielenia się, rozbicia na miliardy samodzielnie działających istot. Energia, jaką dysponują, może tylko scalać, utrzymywać wyłącznie świadomość zbiorową, zasilać wyłącznie wspólne działanie. Niezależnie jednak od tęsknoty za indywidualnym, w pełni podmiotowym bytem, są to cywilizacje poszukujące, potrafią przemieszczać się i to szybko z planety na planetę, a nawet zmienić galaktykę w nadziei na znalezienie energii dezintegrującej całość, ale nie jednostkę. To chciałem wam powiedzieć przed lądowaniem na Telemetrii.

— Jak wiecie jestem raczej przeciwnikiem mojego kolegi Arkadara — powiedział Sadalmelek — ale w tym wypadku zgadzam się z nim całkowicie. Na Telemetrii mogły pozostać, powiem więcej — z pewnością pozostały duże zasoby energii falowej, a to łakomy kąsek. Upłynęło sporo czasu od katastrofy i rzeczywiście nie wiadomo, jakie licho może na naszej ziemi siedzieć. A teraz wniosek — „Adara" w ogóle nie ląduje, połowa załogi zostaje, gotowa nieść w każdej chwili pomoc ekipie badawczej.

I na tym stanęło, tyle tylko, że pomiędzy Murzimem i profesorem doszło do ostrej wymiany zdań. Dowódca jednak nie ustąpił — profesor zostanie na pokładzie, o bezpośrednich badaniach na Telemetrii nawet mowy być nie może, bo to zbyt wielkie ryzyko. Uczonemu tej miary należy dostarczyć odpowiednich danych do naukowej analizy i ten obowiązek bierze na siebie on, wraz z Danebolą i Arkturem. Ehat musi, niestety, pozostać na statku jako zastępca dowódcy.

Jak zawsze w podobnych wypadkach najpierw odleciały wyspecjalizowane roboty w rakietkach przystosowanych do przewozu sprzętu badawczego. Wylądowały na dawnym lotnisku międzygwiezdnym.

— Pusto, ani jednej rakiety — zauważyła Danebola, kiedy już stanęli na Telemetrii. Pracowite roboty szybko zestawiły pojazd naziemny.

— Odlecieli, to nie ulega wątpliwości. Siadajcie, pojedziemy do miasta.

Roboty oczyściły jako tako drogę do stolicy, zainstalowały falową osłonę, chroniącą i przed burzami piaskowymi. Jechali szybkim gliderem rozglądając się ze smutkiem wokoło. Wiatry ustały chwilowo, ale szara, przygnębiająca zawiesina i tak utrudniała dokładniejsze rozpoznanie.

— Nie będzie już na Telemetrii dnia ani nocy — westchnęła Danebola.

— Nie będzie i pór roku — dodał Murzim — pogasły słońca, naturalne i sztuczne.

— Trzeba ustalić jak się teraz planeta porusza — powiedział praktyczny Arktur — po jakiej krąży orbicie, jakie ma odchylenia, w którą zmierza stronę.

— Słusznie — zgodził się dowódca — orbita niemal zawsze określa losy planety. Małe odchylenie grozi zderzeniem i katastrofą. Mało prawdopodobne, żeby teraz Telemetria orbitowała bezpiecznie jak kiedyś. Cały układ został rozbity, albo przynajmniej rozregulowany. Nie działają siły przyciągania, a jakie działają? Oto jest pytanie!

Istotnie, problem należał do najbardziej rozstrzygających o losie martwej planety. Jeżeli bowiem Telemetria nie leży już w żadnym polu grawitacyjnym, nie działa żadna zasada równoważąca harmonijnie siły przyciągania, to porusza się inercyjnie, jakimś rozpędem zastanym w momencie katastrofy. W jakim jednak kierunku? Czy możliwe jest, aby — po prostu — znieruchomiała? Na podstawie dotychczasowej wiedzy o ruchach ciał kosmicznych mogli sądzić, że nie istnieją ciała, na które nie działa żadna siła, gdyż grawitacja zawsze ma charakter uniwersalny. Niechże się o to martwi profesor.

Dojechali do stolicy. Po drodze widzieli tylko lodowatą pustynię. Żyzne ogrody, sady i warzywniki okalające centrum, przysypał piasek, proch i pył kosmiczny, potworzyły się już jałowe, nawiane góry i doliny, wyrosły dymiące piaskiem ruchome zaspy. Ale w mieście było jakby lepiej, ciężka praca wichrów nie przyniosła tak widocznych rezultatów. Sprawne, wszędobylskie roboty, wyposażone w czułe komunikatory, nadsyłały zwięzłe meldunki z różnych dzielnic opuszczonej stolicy.

— Niepojęte — dziwił się Murzim — jak oni się zdołali zabrać? A przecież zdołali!

— To niemożliwe! — upierała się Danebola — meldunki robotów rzeczywiście są jednoznaczne. Fabryki puste, najcenniejsze urządzenia, maszyny, laboratoria, pracownie naukowe, cały ośrodek nadawczo-odbiorczy, biblioteki, archiwa — zniknęły. Na całej planecie nie ma żywej duszy, a przecież to niemożliwe!

— Co jest w końcu według ciebie niemożliwe, czy to, co stało się rzeczywiście? — spytał spokojnie Arktur — Od siebie mogę jeszcze dodać, że zniknęła, została wywieziona cała broń, odleciały także wszystkie statki. Z tego wynika tylko jedno — pełny exodus był jednak możliwy.

— Nic nie rozumiem — powiedział Murzim trochę bezradnie — taki exodus przerastał możliwości Telemetrii. Gdyby to chociaż odlecieli sami, ale z tak wielkim bagażem? Zabrali nawet wytwórnię zabawek dla dzieci. Niepojęte? Jak oni tego dokonali?

— Nie oni! — krzyknęła Danebola — cała tragedia na tym właśnie polega!

Glider zatrzymał się przed Centralnym Ośrodkiem Dyspozycji, gdzie kiedyś pracowała Rada Lotów Międzygwiezdnych. Całą trójkę ogarnęło wzruszenie. Ileż przeżyć wiązało się z tym okazałym gmachem! Tu przecież otrzymał Murzim nominację na pilota międzygalaktycznego pierwszej klasy. Mógł od tego dnia dowodzić statkami najdalszego zasięgu, a nawet całymi flotyllami. Już następnego dnia przedłożył Radzie konkretny plan poszukiwań planety zastępczej dla radioteleków. Telemetria, od lat oblężona przez dwunożne roboty, kierowane precyzyjnie mózgiem Demoriona, wyczerpywała powoli swoje zasoby energii i żywości, wyczerpywały się i surowce. Wiedziano już, że Demorion był rozbitkiem, wyszedł cało z kataklizmu, któremu uległa jego cywilizacja, wyjątkowo agresywna i okrutna sądząc po rozbitku. Wszystko wskazywało, że zniszczyła się sama, a jej instynkt nieustannej agresji ujawnił Demorion, kiedy się już dobrze usadowił w pobliżu Telemetrii.

— Drzwi nie mają żadnej osłony — zauważył Arktur wchodząc do wnętrza. W czasach długoletniej wojny obronnej wejścia do tak ważnego gmachu strzegła zawsze niewidzialna osłona falowa. Kiedyś olbrzymi hall recepcyjny witał każdego ciepłym, lekko błękitnym światłem. Na ścianie, po przeciwległej stronie, zachwycała kolorami szlachetnych kamieni wielka mapa układu planet, w którym królowała spokojnie Telemetria. Kamienie nie błyszczały już, zmatowiały. Arktur skierował wiązkę świecących fal na drzwi prowadzące do pracowni Algeniba. Były otwarte. Zamyślił się. Tędy przecież, tym wejściem zmierzał do swojego mistrza. Poznali się bliżej w dość niezwykłych okolicznościach. Murzim odkrył już wtedy Siódmą Galaktykę, gdzie znalazł warunki umożliwiające życie. Telemetria była oblężona, o pokojowym exodusie, etapami, na raty, ani mowy. Demorion nie dysponował tak szybkimi statkami międzygwiezdnymi, nie mógł więc ich ścigać, mógł jednak niszczyć systematycznie zaplecze surowcowe i żywnościowe radioteleków. Zdołał zabrać ze sobą spory zapas materii rozszczepialnej i umiał, niestety, umiał jej szukać. Technikę budowy pocisków termojądrowych znał dobrze, rozsadzał więc nimi planety pożyteczne dla Telemetrii. Polował i na statki radioteleków, ale bez rezultatów, były szybsze, leciały z antygrawitacyjnym przyśpieszeniem napędzane energią fal, której nie znał i nie rozumiał.

— Nie mamy tu czego szukać — szepnęła Danebola — chyba tylko wspomnień.

— Czasem i to jest dobre — westchnął Arktur.

Algenib, syn Algoraba, wielkiego odkrywcy w dziedzinie wykorzystywania fal we wszystkich dziedzinach, nigdy nie był zwolennikiem rozstrzygania konfliktów przy pomocy wojny. Szanował słowa Konstytucji Telemetrii — „nic cudzym kosztem, nic drogą zagłady i krzywdy". Nieustanna agresja ze strony Demoriona sprawiła jednak, że to szlachetne posłanie, usankcjonowane majestatem obowiązującego prawa, zawisło niejako w próżni, trzeba było walczyć. Musiał więc skonstruować nie tylko nowe rodzaje obrony, ale i śmiercionośne wyrzutnie fal, które dekomponowały, rozstrajały błyskawicznie każdy żywy organizm i każde urządzenie techniczne, zbudowane przez istoty rozumne, mogły też wszystko zamienić w pył. I przy tej właśnie pracy konstrukcyjnej pomagał Arktur swojemu mistrzowi.

Przyszli do hali centralnych mechanizmów, ale nie znaleźli już niczego prócz ciemnej i zimnej pustki. Kiedyś ta właśnie hala pobłyskiwała wesoło setkami różnokolorowych sygnałów, które napływały z różnych stron Telemetrii i całej galaktyki. Maszyny tłumaczące przekładały je natychmiast na język potocznie używany. Audiowizory dalekiego i bliskiego zasięgu przekazywały barwne, dźwiękowe obrazy z każdego żądanego miejsca. Czujne oczy i uszy Telemetrii sięgały dalekich gwiazd i planet, a nawet galaktyk. Deszyfratory, maszyny tłumaczące, informujące, objaśniały znaczenie i wagę każdej napływającej wiadomości, czy tylko sygnału. Przy tych właśnie maszynach pracowała Danebola pod troskliwą opieką Formalhauta, prawdziwego mistrza w interpretacji każdego dźwięku napływającego z kosmosu i wybitnego specjalisty w nawiązywaniu kontaktu z innymi cywilizacjami. Dobra to była szkoła i piękne lata. W tym właśnie czasie poznała bliżej surowego, ale sprawiedliwego Murzima. Egzaminował ją nieco wcześniej z teorii lotów międzygwiezdnych i wysoko ocenił jej wiedzę. Ale i urodę, jak się domyślała bez większego trudu. Zbliżyli się do siebie dopiero przy maszynach deszyfrujących i tłumaczących.

— Tu stały deszyfratory, pamiętasz?

— Nigdy nie zapomnę, odkryliśmy tutaj dwie wielkie prawdy.

— Jedną z nich odkryła Danebola. Rozszyfrowała rozumne sygnały z Jedenastej Galaktyki. Panowała tam cywilizacja oparta prawdopodobnie na energii elektrycznej, bliskiej jednak już wyczerpania. Istoty rozumne sygnalizowały, że nie mogą przenieść się na inne obszary kosmosu, nie mają energii i proszą o pomoc. A drugą prawdę odkrył Murzim. Ustalił mianowicie ponad wszelką wątpliwość, że trudno mu będzie żyć bez bardzo rozumnej istoty zwanej Danebolą.

— Ta pustka jest zastanawiająca — powiedziała.

— Pustka to pustka, cóż ty w niej takiego widzisz? — spytał Arktur.

— Jest systematyczna, uporządkowana, zamieciona. Nie ma tu niczego porzuconego w pośpiechu, zapomnianego.

— Rzeczywiście — zgodził się Murzim — więc?

— Taką zamiecioną starannie pustkę mogą pozostawić po sobie tylko istoty, którym się nigdzie specjalnie nie śpieszy. A po drugie — istoty, dla których wszystko co tu było okazało się jednakowo ważne. Nasi nie zabieraliby chyba dziecinnie prostych urządzeń.

— Więc kto je zabrał?

— Chodźmy już — polecił Murzim — profesor będzie się musiał nad tym pogłowić.

Zerwał się znowu ostry, lodowaty wiatr. W gliderze było bezpiecznie i ciepło, cierpliwe roboty zawsze mogły torować drogę przez piaskowe zaspy, po cóż jednak tułać się po zamarłym świecie, wśród bolesnych wspomnień? Nie należało pozwolić, aby się odezwały dalekie echa beztroskich zabaw w reprezentacyjnym Parku Tęczowców. Dziwne to były istoty, ocalone niemal w ostatniej chwili przed kohortami Demoriona. Nie miały żadnej cielesnej postaci, był to zbiorowy wielki talent w dziedzinie barw. Przezroczyści tkacze projektowali niestrudzenie kolory świata — domów i strojów, przeinaczali barwy kwiatów, zielone lasy przemieniali na pewien czas w pomarańczowe, barwili morze i wszystkie wody tak, że błyszczały w słońcu kolorami tęczy, urządzali publiczne gry, w znikające i pojawiające się kolory.

Glider zawrócił posłusznie w stronę rakiety zwiadowczej. Uciekali, nie chcieli pamiętać młodzieńczych zawodów sportowych — wyścigów dziecinnych prawie, ponaddźwiękowych rakietek, konkursów przebijania najtwardszych skał przy pomocy mechanicznych kretów, zaopatrzonych w ładunki wybuchowe, czy turniejów trudnej sztuki szybkiego odczytywania naturalnych sygnałów z kosmosu. Kto pierwszy zdołał ustalić odległość i wielkość planety emitującej, kto podał bezbłędnie skład chemiczny atmosfery — otrzymywał nagrodę Rady Lotów Międzygwiezdnych. Zdobył ją Arktur, niejedną „zaliczył" Murzim i Danebola.

— Patrzcie! — krzyknął Arktur. Mijali właśnie akademicką strzelnicę, gdzie jeszcze nie tak dawno zwyciężył w strzelaniu z dezintegratora falowego, pobił nie tylko Murzima, ale i Ehata.

— Lepiej nie patrzeć, bo się zupełnie rozkleimy — radził Murzim — twierdzisz, że to nie nasi tak dokumentnie ogołocili Telemetrię? — zwrócił się do Deneboli.

— Twierdzę.

— Demorion?

— Całkiem możliwe. To był bardzo akuratny rabuś. Nie mamy przecież żadnej pewności, że został zniszczony, wiemy natomiast, że chciał zdobyć nasze urządzenia techniczne. Zabrał wszystko, ponieważ nie wiedział, co mu się w końcu rzeczywiście przyda.

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Przemyślny złoczyńca z Przemyśla

Społeczeństwo Polski południowo-wschodniej odetchnęło z ulgą. Po długotrwałej, skomplikowanej akcji ujęto groźnego przestępcę, rekina spekulacji z Przemyśla. Ten wyjątkowo perfidny oszust żerował od lat (sic!) na pożałowania godnym sybarytyzmie mieszkańców pewnej miejscowości, gdzie pracował (dla niepoznaki zapewne) jako robotnik niewykwalifikowany w miejscowej stadninie. Proceder, uprawiany przez „wampira z Przemyśla" był w założeniu dość prosty: wykorzystując zapotrzebowanie mieszkańców wsi i pracowników stadniny na świeże pieczywo, którego nie uświadczysz w lokalnej placówce handlu uspołecznionego, groźny ów aferzysta wstawał o czwartej rano i luksusowa limuzyna PKS udawał się do pobliskiego Przemyśla, gdzie nabywał bułeczki, świeże i chrupiące, w ilości sięgającej niejednokrotnie trzystu sztuk (!), aby następnie sprzedawać je w swej stadninie ze spekulacyjną marżą!

Jak sam się przyznaje ten bezczelny oszust, jego zarobki dochodziły do dwóch tysięcy pięciuset złotych miesięcznie... Zapewne kłamie zresztą, chcąc wprowadzić w błąd organa ścigania!

W luksusowym, jednopokojowym apartamencie, zaimowanym przez podstępnego dezorganizatora uspołecznionego rynku, zakwestionowano i tymczasowo zajęto liczne przedmioty zbytku, jak telewizor biało-czarny, lodówkę itp. Ponadto książeczkę PKO z wkładem 500 tys. zł (pół miliona! pół miliona z grabieży dokonanej na szkodę wdów i sierot, którym zachciało się chrupiących bułeczek na śniadanie...).

Groźny zbir z Przemyśla jest, jak twierdzi, inwalidą. Mamy nadzieję, że staranna i bezstronna ekspertyza medyczna obali ten inwalidzki parawanik, zasłaniający prawdziwe oblicze zwyrodnialca!

Groźny ów osobnik został tymczasowo aresztowany. Bardzo słusznie! Ujawniona dotychczas niesłychana przebiegłość tego Wroga Publicznego powoduje uzasadnione przypuszczenie, że może on, w celu utrudnienia śledztwa, ukryć się sprytnie lub nawet wyjechać za granicę, gdzie zapewne zostałby otoczony troskliwą opieką różnych służb specjalnych i ośrodków antypolskich. Kto wie zresztą, czy dotąd nie korzystał z ich pomocy i inspiracji?

Żeby nie być gołosłownym, przytoczmy tu ujawnione przez wstępne śledztwo fakty, rzucające jaskrawe światło na wyjątkową przebiegłość przemyskiego „króla podziemia". Jak podobno sam o sobie z upodobaniem mówił: kilka lat temu zwrócił się mianowicie do władz gminnych o uzyskanie zezwolenia na swoją przestępczą działalność, a nawet posunął się (o ironio!) do propozycji, że będzie opłacał podatki! Propozycja — jak łatwo się domyślić — została z godnością odrzucona przez organ administracji państwowej szczebla podstawowego. Ludowe państwo nie będzie czerpało zysków z ewidentnego oszustwa, nie będzie sui generis wspólnikiem spekulacji!

Nawet wprowadzenie stanu wojennego nie pohamowało chciwości pazernego hochsztaplera: wyłudził on od dyrekcji stadniny zaświadczenie, że jest jakoby „dostawcą pieczywa dla pracowników stadniny" i przy pomocy tego fałszywego dokumentu wprowadzał w błąd władze i spokojnie kursował na trasie Stadnina — Przemyśl, bez żadnego uszczerbku dla swych ciemnych, przestępczych machinacji i nienależnych zysków!

Na szczęście, trwająca od kilku lat — nieprzerwanie! — działalność spekulacyjna została wreszcie przerwana. Groźny dla porządku publicznego malwersant, oszust i wyzyskiwacz czeka za kratkami na proces, pracownicy stadniny i mieszkańcy wsi zadowalają się pieczywem z miejscowego sklepu GS, a ich spokój bywa zakłócony tylko przez straszliwą wizję łagodnego, krótkoterminowego wyroku, po którym owo straszliwe indywiduum może pojawić się w okolicy i mamić swe ofiary kuszącym zapachem świeżego pieczywka.

Niedoczekanie! Opinia społeczna domaga się sprawiedliwego, surowego wyroku! Może odnośne władze zdecydują się te ponure sprawę wyjąć spod jurysdykcji Sądu Rejonowego i skierują ją do Trybunału Stanu? Społeczna szkodliwość wyjątkowo ohydnych występków obwinionego zamach, jakiego dokonał na niezakłócone, praworządne działanie handlu uspołecznionego, ze wszech miar usprawiedliwiłyby taką decyzję.

Nie ma i nie może być u nas miejsca dla bogacenia się na taką skalę i takimi metodami.

A pieczywo czerstwe jest zdrowe, i jako takie zalecane przez lekarzy...

ANDRZEJ KAROL

2

U fryzjera

Nieregularnik felietonopodobny

Świnia

Pewnego majowego dnia do zakładu fryzjerskiego pana Franciszka zajrzała nikomu bliżej nie znana kobiecina w kraciastej chustce na głowie, trzymająca w ręce wielką podróżną torbę — jak się okazało — pełną cielęciny. Tudzież ostro przyprawionej kiełbasy o ciepło brzmiącej nazwie „swojska". Jej niespodziewana wizyta nie tylko ocaliła nas wtedy przed kolejnym zatruciem pokarmowym oraz przywróciła wiarę w możliwość zrobienia nad Wisłą naprawdę smacznej wędliny, ale i stała się pretekstem do opowiedzenia przeze mnie autentycznej i jak mi się wydawało, pouczającej historii.

Otóż pewien inżynier rolnik — mniejsza o nazwisko i miejsce zamieszkania — hodował sobie jedną świnię. Hodował ją we własnoręcznie skleconym chlewiku kategorii „E" (ekonomiczny) na terenie zakładu pracy, w którym był zatrudniony, gdyż rodzice nie zostawili mu w spadku ani hektarów, ani odpowiednio dużej gotówki w szafie na półce pod pościelą. Karmił tę świnię zlewkami z zakładowej stołówki, z którymi nareszcie było co zrobić, a także — legalnie zakupioną paszą dla trzody chlewnej krajowej produkcji i pewno trwałoby to aż do samych świąt Bożego Narodzenia, gdyby któregoś dnia dyrektor nie polecił mu na piśmie z trzema pieczątkami rozebrać natychmiast ów świński domek, ponieważ jego widok jawnie kłócił się z podstawowymi zasadami estetycznego wychowania społeczeństwa, a klasy robotniczej w szczególności. Cóż było robić? — inżynier ani pisnął... Wytłumaczył jakoś świni, że teraz nie ma u nas już miejsca na slumsy, gdyż preferujemy nowoczesne budownictwo, a że biedaczka nie miałaby gdzie się podziać po przymusowej rozbiórce, choć z bólem serca — dał jej obuchem w łeb.

O ile jednak dla świni był to koniec kłopotów życiowych, to dla inżyniera rolnika — dopiero prawdziwy ich początek. Już w chwili po dokonaniu mordu na niewinnym zwierzęciu wpadł był bowiem w panikę: co zrobić ze zwłokami i to w samym środku lata. Domowa lodówka nie mogła pomieścić ich w całości, a zakopać — nie pozwalało sumienie. Chcąc nie chcąc, sprzedał więc inżynier po kilka kilogramów świńskiego mięsa kolegom z pracy i miał nadzieję odetchnąć po tym z ulgą. Ale jak każdy morderca nie zaznał zbyt długo spokoju, gdyż na ślad przestępstwa wpadła wkrótce milicja obywatelska (zawiadomiona zresztą przez kogoś życzliwego) i rozpoczęło się regularne śledztwo, którego wyniki nie były, niestety, dla inżyniera zbyt pomyślne. Co prawda, okazało się, iż posiadał on zgodny z przepisami akt zgonu zwierzęcia wystawiony przez weterynarza, dopuszczający mięso do spożycia, zaś kolegom sprzedawał je po cenach ustalonych przez ministra Krasińskiego, to jednak pozwolenia na handel owym mięsem przecież nie posiadał. I dlatego — zapadła decyzja — powinien być przykładnie ukarany jak każdy obrzydliwy spekulant wykorzystujący naszą przejściowo trudną sytuację gospodarczą do dorobienia się cudzym kosztem. Dalej sprawą zajęła się już prokuratura, ale że szczęśliwym zbiegiem okoliczności obowiązywała akurat ustawa o amnestii, morderstwo dokonane na świni puszczono w niepamięć i...

— ...I — wpadł mi w słowo Literat — wszystko zakończyło się szczęśliwie, czy tak?

— No, niezupełnie — odparłem — dlatego, że w kilka miesięcy później ta sama prokuratura przysłała mu pismo, z którego jednoznacznie wynikało, że jeżeli nie wpłaci dobrowolnie sumy czterech tysięcy złotych polskich na jakieś tam konto, to oni mu...

— To oni mu co? — zapytał pan Franciszek.

— Mniejsza o szczegóły — wyjaśniłem. — W każdym razie inżynier rolnik postanowił, że on i tak nie zapłaci.

— I słusznie! — ucieszył się Literat.

— A ja uważam — odezwał się Działacz — że nielegalny handel trzeba zwalczać. Chociaż w tym wypadku... — i tu przerwał, aby przełknąć kolejny kęs „swojskiej".

PAWEŁ TOMASZEWSKI

3

Transport kołowy

Nigdy nie zastanawiałem się, jak dzieli się transport. A podziały mogą być różne, w zależności od tego w jaki sposób porusza się pojazd. Na przykład może być transport powietrzny, wodny, lądowy. Ale jest też pojęcie transportu kołowego, to znaczy takiego, który porusza się na kołach, a więc zarówno samochodowy jak i kolejowy. Czyli cały transport lądowy, gdyż poduszkowce są raczej rzadko używane i na stałe do transportu nie weszły. Wszakże niedawno odkryłem, że pojęcie transportu kołowego ma również zupełnie inny sens.

Wszystko się na tym świecie psuje, człowiek też, a co dopiero mówić o rzeczach martwych, ciągle eksploatowanych. Psują się więc drogi, psują się rury ciepłownicze, wodociągowe, psuje się kanalizacja. To, co się psuje, musi być reperowane. Tak więc reperuje się drogi, reperuje rury uprzednio zagrzebane pod ziemią. I żeby je zreperować, trzeba tę ziemię rozkopać. Właśnie wzięto się do rozkopywania ulic.

Od dłuższego już czasu remontuje się ulicę Jana Kilińskiego. Remont to potrzebny, ale przerwany został ciąg komunikacyjny z południa na północ. Łódź — jak zapewne wiadomo — rozwijała się początkowo właśnie wzdłuż traktu wiodącego z południa na północ lub z północy na południe, był to trakt piotrkowski. Dla miasta, które rozwijało się przez długie lata wzdłuż takiego ciągu komunikacyjnego jego utrzymanie ma zasadnicze znaczenie dla komunikacji. Przez długie lata najważniejszym ciągiem komunikacyjnym z południa na północ była ulica Piotrkowska. Teraz są ciągi pomocnicze.

Ale właśnie w lipcu mamy remont ulicy Jana Kilińskiego, Stefana Kopcińskiego po stronie wschodniej, Henryka Sienkiewicza od ulicy Adama Mickiewicza do Juliana Tuwima, no i ulica Piotrkowska tradycyjnie jest już w swojej północnej części zamknięta dla ruchu samochodowego. Dzięki temu w śródmieściu powstał taki kołowrót, że trudno się w tym wszystkim połapać. Kierowcy na ogół jeżdżą na pamięć, milicja ma więc niezły dochód z mandatów. Spadła szybkość ruchu w śródmieściu, przez co w upalne dni ulicą przejść nie można, bo samochody stoją i spalają benzynę czekając swej kolejki w wąskiej na przykład uliczce Romualda Traugutta. Na dodatek jeszcze grożono, że również w tym czasie rozpocznie się remont ulicy Stefana Żeromskiego. Klops byłby już całkowity.

Rozumiem konieczność remontów ulic, ciągów ciepłowniczych i wszelkich innych prac ziemnych, które zmuszają do zamykania ulic. Ale musi być w tym jakaś logika. A tej właśnie nie widzę. No, bo skoro już trzeba pozamykać wszystkie niemal ciągi z południa na północ, to przynajmniej trzeba było otworzyć na ten czas ulicę Piotrkowską. Jeśli już nie na stałe, to w godzinach szczytu.

Inny przykład. „Społem" wpadło na znakomity pomysł i przy „Halce" na chodniku ulicy Stanisława Moniuszki urządziło coś w rodzaju ogródka. Ma ich ponoć być więcej. I bardzo dobrze. Pomysł należy pochwalić. Tego było potrzeba. Ale pomysłu tego nie doprowadzono do końca. Ulica Stanisława Moniuszki nie została zamknięta dla samochodów. Siedzi więc człowiek na powietrzu, zraziki z kaszą gryczaną spożywa i wdycha spaliny. Ten kawałek ulicy między Henryka Sienkiewicza a Piotrkowską dla ruchu samochodowego zbyt wiele nie znaczy. Służy ta ulica raczej za parking dla samochodów. Podobnie jak i Romualda Traugutta, tyle że przy zamknięciu ruchu dwustronnego na ulicy Juliana Tuwima ulica Romualda Traugutta stała się niebywale zatłoczona, a więc należałoby tam zlikwidować parkowanie samochodów. Co człowiek nie zrobi z ruchem samochodowym w śródmieściu Łodzi będzie źle. Nic więc dziwnego, że transport kołowy z perspektywy śródmieścia Łodzi nie od tego się bierze, że na kołach się porusza, ale od tego, że człowiek skołowacieć może rozwiązując komunikacyjne łamigłówki.

Skoro już o kołowaciźnie komunikacyjnej mowa, to muszę podzielić się spostrzeżeniami związanymi z nabyciem „Informatora komunikacyjnego MPK Łódź'84". Nabyłem go wiosną 1985 i w praktyce stwierdziłem, że jest on w części nieaktualny. Po pierwsze — żaden tramwaj nie chodzi dziś ulicą Jurija Gagarina, bo się remontuje tam torowiska. Kto zatem kupił ten „Informator" i mu uwierzył, wybierając się na Chojny starymi liniami tramwajowymi srodze się nabrał.

Po drugie — nieaktualna jest trasa linii autobusowej nr 75. Ulicami: Augustów, Zakładowa, Olechowska, Tomaszowska autobus ten nie chodzi. Znów ktoś, kto zawierzył „Informatorowi" i wybrał się, aby autobusem 75 pojechać, nabrał się fatalnie.

Po trzecie — nieaktualna jest trasa autobusu nr 82. Chodzi on wprawdzie na Olechów, ale inną trasą niż to pokazuje „Informator". Tym razem ja się nabrałem.

Skoro już się wydaje taki „Informator" i sprzedaje się go w kioskach wiosną 1985 roku, to przynajmniej dobry obyczaj nakazuje wydać dodatkowo korektę, która informowałaby o zmianach już istniejących i planowanych. Ale myśmy zapomnieli o dobrych obyczajach. Niestety. O czym się można coraz częściej przekonać i o czym z przykrością donoszę Kochanym Czytelnikom.

LUCJAN BOGUSZ

4

Lewym okiem

Felieton na upały

Jest lato, upał, urlopy — lada dzień ktoś zobaczy węża wodnego w szkockim jeziorze, ktoś inny doniesie o nowym spotkaniu z człowiekiem śniegu gdzieś w Tybecie, jeszcze ktoś — spotka się oko w oko z przybyszem z kosmosu. Byłem kiedyś na prelekcji poświęconej nieznanym obiektom latającym i zaskoczyło mnie, z jaką pewnością siebie mówili uczestnicy o niewątpliwym — ich zdaniem — penetrowaniu naszej przestrzeni życiowej przez gości z odległych galaktyk.

No dobrze. To ja też mogę dorzucić parę „faktów", świadczących nie wiadomo o czym, a więc nadających się do dowolnej interpretacji. Popularny przed wojną fizyk i pisarz, Bruno Winawer, ogłaszający w wielu pismach felietony popularyzujące najnowsze odkrycia i wynalazki, człowiek o umyśle absolutnie nieskłonnym do jakichkolwiek wzruszeń metafizycznych, pisał w roku 1938 (w zbiorze „Cztery kąty widzenia"):

„Niedawno u wybrzeża polskiego dostrzeżono dziwne zjawisko nad Bałtykiem — dwie kule promienne, połączone pasmem światła, i następnie jakieś smugi świetliste na niebie..."

Ani chybi — UFO! — powiedzą ci, którzy od dawna są przekonani i przekonywać ich nie trzeba. A w książce jeszcze trochę starszej, bo w „Żywotach urojonych" Marcelego Schwoba z 1924 roku, czytamy w rozdziale o bogoburcy średniowiecznej Szkocji, Cyrylu Tourneurze:

„Nad kalenicą domu pojawiła się jakaś gwiaździca płomienista i wściekła, utworzona jakby z promieni kopcących, skręconych i źle ze sobą związanych".

I jeszcze raz trochę później:

„Zjawił się na niebie meteor potworny i począł krążyć pod księżycem. Była to kula ognisto-biała, tocząca się z nakazu jakiejś złowieszczej siły. Stanęła nad domem Cyryla i zalała go światłem metalicznym"...

Cóż to być mogło, jeśli nie UFO? Ale tego słowa i tego pojęcia nikt jeszcze wtedy nie znał, nie było Dänikena ani klubów ufologicznych. O kulach promiennych nad Bałtykiem pisał Bruno Winawer po prostu tak:

„Ongiś ludzie opowiadali sobie o tych dziwach szeptem, słuchacz kiwał głową i przeważnie nie wierzył. Dziś zajmują się tą sprawą fizycy (Leonard, Stormer); wykryli oni, że zorzę polarną — na małą skalę — mamy właściwie w każdej rurce próżniowej w laboratorium. Fizycy mówią po prostu: luminescencja i twierdzą, że tego roku — w związku z plamami słonecznymi — będzie więcej takich efektownych zimnych ogni na firmamencie północnym".

Co do średniowiecznego „potwornego meteora" nad Szkocją niech wystarczy zamiast komentarza fakt, że opowieść o nim podano w dziele pt. „Żywoty u.r.o.j.o.n.e". Wszystko jest w tej książce wymysłem francuskiego pisarza, tak jak w każdej książce każdego beletrysty. Żaden z dwóch podanych „faktów" nie nadaje się więc do wciągnięcia w kartotekę zjawisk, czekających na wyjaśnienie.

Nie przeczę, że bywają takie czekające wyjaśnienia sprawy. Na pewno się wcześniej czy później dadzą wytłumaczyć — jestem pewien, że w sposób o wiele prostszy, niż sięganie do pozaziemskich cywilizacji. Dlaczego mamy jako pierwszą hipotezę chwytać akurat tę najmniej prawdopodobną i nie pasującą wcale do tego, co wiemy już o atmosferze, stratosferze, różnych polach magnetycznych i grawitacyjnych, o budowie chemicznej wszechświata i jego fizycznych „obyczajach" o czasie, przestrzeni i szybkości.

Jeśli mamy przyrządy, potrafiące z odległości setek milionów kilometrów podać nam panującą tam temperaturę, sfotografować i podsłuchać każdą rzecz i każdy ruch dziejący się niemal poza zasięgiem wyobraźni, to jakżeby mogły tuż nad naszymi głowami unosić się statki z twardej materii, nie dające się w ogóle zauważyć? Jeśli to jest możliwe, to chyba tylko w felietonie, w upalny, urlopowy czas.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Wielki las

(5)

ZBIGNIEW NIENACKI

Tak więc te kilka drobiazgów już by mu wystarczyło, żeby zacząć wietrzyć niebezpieczeństwo. Oczy Kuleszy były jednak oczami ślepca, dla niego Maryn pozostawał tym, o kim go poinformowano: strażnikiem łowieckim. Wątpliwe czy ten młody leśnik w ogóle miał zdolność do refleksji, do zastanawiania się choćby przez chwilę nad innym człowiekiem, prawdopodobnie nie ciekawiła go cudza osobowość i nie przychodziło na myśl, że ktoś może być kimś innym niż to zostało zanotowane w papierach. Co ten gówniarz wiedział naprawdę, na przykład, o swojej młodej żonie, która z zaciśniętymi gniewnie ustami przeniosła swoje ciało na drugą stronę balii, aby jej mąż nie mógł oglądać jej wypiętego zadu? Taki gest mógł nic nie znaczyć, ale mógł znaczyć bardzo wiele. Maryn odnotował go w pamięci niejako z zawodowego przyzwyczajenia, choć ta kobieta i ten mężczyzna nic go nie obchodzili.

— Czytałem w jakiejś książce, nie pamiętam tytułu — niedbale odezwał się do Kuleszy — o bogatych, pięknych i młodych kobietach, nawykłych do życia w dostatku, które szły za mężami w dzikie tajgi i mrozy, dlatego że tam ich zsyłano z powodu niełaski władcy. Nie dla wszystkich kobiet, kolego Kulesza, ta męska rzecz musi być aż tak ważna, skoro one szły za mężczyznami tylko po to, aby raz na dzień zobaczyć swoich mężów w drodze na zrąb lasu. Kto je załatwiał, panie Kulesza? Prawdopodobnie nikt. Co je trzymało przy tych mężczyznach, skoro oni ich nie załatwiali? Może miłość, panie Kulesza? Dlatego tak sobie myślę, że jest jednak na świecie prawdziwa i wielka miłość, do której cała ta łóżkowa reszta pozostaje zupełnie nieważnym dodatkiem.

W swojej izbie przekręcił włącznik maszynki elektrycznej, otworzył dwie puszki regeneracyjne z kapuśniakiem, wlał ich zawartość do garnka i czekając aż zupa się zagrzeje, ukroił kilka cienkich plasterków chleba. To miał być obiad — niemal taki sam od trzech tygodni. Czuł głód i był zły, dlatego powiedział Kuleszy to, co powiedział. Gdyby ten leśnik był choć trochę oczytany i więcej myślał a mniej gadał, odpowiedziałby Marynowi, że wtedy niektóre kobiety terroryzowała taka właśnie postawa. Moda posiada siłę, której nikt jeszcze do końca nie pojął — może nawet zmusić do życia w pobliżu mężczyzny bez nadziei na cielesne zbliżenie Ale teraz jest inna moda — kopulować trzeba często i dużo, z tą, tamtą, ową; to się nazywa wyzwolenie od przesądów. Kiedyś nazywano prawdziwą miłością to, co robiły owe kobiety idące za mężczyznami na wygnanie, teraz nazywa się miłością nieustanne trzymanie członka w pochwie. Mówi się wtedy, że w ten sposób została na chwilę przełamana samotność dzieląca człowieka od człowieka. Kiedyś być może ludzie nie bali się samotności tak jak teraz, albo nikt im nie uświadamiał, że są samotni. Powiedziano im też, że nie ma innej drogi do przełamania własnej i cudzej samotności jak poprzez pochwę i członka, spółkowanie krótkie lub długie; to długie bywało oczywiście lepsze, ponieważ dłużej się było z kimś bliżej, a nawet potrafiło przełamać na ten czas w człowieku strach przed niewiadomym.

Lecz jakby o tej sprawie nie myśleć, jakby ją nie osądzać — pozostawało faktem, że za Józefem Marynem, który załatwiał kobiety dokładnie i bardzo długo (małe i duże, ładne i brzydkie, jedne z przyjemnością inne zaś bez przyjemności, zawsze jednak dając z siebie wszystko, co było w nim dobrego w sensie rżnięcia) — nie poszła żadna. Ani mała, ani duża, ani ładna, ani brzydka. Nawet jego własna żona Eryka. A przecież to nie miała być wędrówka w odległy świat, w pustkowie i mróz, lecz zaledwie trzysta kilometrów od stolicy do wioski o dziwacznej nazwie Mordęgi. I jakby nie patrzeć na tę sprawę, z góry czy od spodu, z lewa czy z prawa, wynikało z tego niezbicie, że owe męsko-damskie czynności nie okazywały się aż tak ważne. Dlatego, nawet jeśli nie chciało się wierzyć w istnienie czegoś takiego jak wielka miłość, to przecież rozsądek nakazywał zastanawiać się, czy gdyby Eryka choć trochę go kochała, zapewne dostałby od niej choćby krótki list albo przyjechałaby tutaj, aby go po prostu zobaczyć, dotknąć, ugotować obiad, podać śniadanie czy kolację. Za swoje rżnięcie nie wymagał zresztą aż tak wiele — przykre, że nie otrzymał nic. Po prostu — nic. — Przez swoją głupią wiarę w penisa i vaginę — jak to się ładnie mówiło — przegrał coś istotnego, aż wstyd to nazwać, bo nazwa wydaje się głupia i prostacka, banalna i zużyta.

Nocą znowu więc nasłuchiwał jednostajnego skrzypienia starego łóżka i starał się sobie wyobrazić goły tyłek Weroniki, tak samo wypięty jak wtedy, gdy prała bieliznę na podwórzu. Niestety, wyobraźnia była jałowa, nie powodowała szybszego bicia serca a jak gdyby nawet przeciwnie, zwalniała uderzenia serca, sprowadzała otępienie i senność, o którą do tej pory było mu tak trudno. Z góry już nie wiało grozą i obrzydzeniem czy wstrętem, ale jakąś przeogromną nudą. Tak właśnie — jako przeogromną nudę — musiała to odbierać Eryka, gdy na nią właził noc w noc, a jemu nawet przez myśl nie przeszło, że nie sprawia jej przyjemności, nie budzi w niej zachwytu, lecz po prostu ją nudzi. A kiedy już owa nuda stawała się nie do wytrzymania, wydawała z siebie okrzyk (teraz wiedział, że udany, wytrenowany) i był to dla niego znak, żeby kończył swój męski proceder. Na początku małżeństwa jeszcze go od czasu do czasu głaskała po spoconych skroniach i szeptała: „Byłeś dobry", lecz potem (przypominał to sobie teraz) nigdy mu już nic nie mówiła, tylko odwracała się do niego plecami; on zasypiał, choć coś mu podpowiadało, że ona nie może zasnąć, myśli o czymś uparcie, zapewne już wówczas zastanawiała się w jaki sposób przy najbliższej okazji uwolnić się od jego osoby. Czy mogło być jednak inaczej? Czy ubrany w swój garnitur z męskiej pychy, uwierzyłby, gdyby mu powiedziała: nie rób tego, ja i tak będę przy tobie, bo cię kocham. Nie, nie przyjąłby wtedy takich słów, bo przecież nie wierzył w coś takiego jak wielka miłość. Natychmiast stałby się podejrzliwy, szukałby wokół jakiegoś kochanka, lepszego od siebie.

...Zasypiał. W pierwszą noc od przeszło trzech tygodni zasypiał mimo jednostajnego skrzypienia łóżka — i właśnie wtedy coś na górze upadło z ogromnym łoskotem aż Maryn poderwał się na swoim żelaznym łóżku. Pomyślał, że tamci rżnęli się na jakimś sprzęcie, na fotelu czy czymś takim, i to coś przewróciło się nad jego głową. Potem jednak słyszał podniesiony męski głos i chyba kobiecy płacz. Krótko to trwało — nastąpiła cisza, prawdziwa cisza odkąd tu zamieszkał. Zasnął i obudził się wypoczęty, z nabrzmiałym prąciem, tak jak to powinno być rano u zdrowego trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Stało się jasne, że jakiś zablokowany trybik nagle zaskoczył w jego psychice, co się natychmiast potwierdziło, gdy pomyślał o wypiętym tyłku Weroniki. Zobaczył go w wyobraźni bardzo dokładnie; dwie gładkie półkule obnażonych pośladków o skórze gładkiej, bardzo napiętej i mięśniach twardych jak kamień, bo takie pośladki pokazał mu Kulesza, zadzierając sukienkę swojej żonie. U styku ud domyślał się gęstego futra kryjącego pochwę; Weronika miała bujne czarne włosy na głowie, takie kobiety i między nogami bywały także mocno owłosione. Prącie sterczało mu długo, ponieważ wypięty tyłek Weroniki wciąż tkwił w wyobraźni...

Tego dnia pokłusował skrajem lasu i jeziora, wzdłuż asfaltowej szosy, która prowadziła do odległej o siedem kilometrów wioski Gaudy. Większość na wpół zrujnowanych domów z czerwonej cegły wykupili w niej ludzie z wielkich miast, odremontowali, za wsią pobudowali kilkadziesiąt drewnianych will o spadzistych dachach, sięgających niemal ziemi. W jezioro wchodziły wąskie pomosty dla łodzi motorowych i żaglówek. Nie opodal — chyba o dwa kilometry w głębi lasu — ogrodzone siatką i dwoma rzędami drutu kolczastego, stały dwie opustoszałe wille, które były i jak gdyby nie były własnością osób znanych z pierwszych stron gazet. Maryn nie zajrzał tam nigdy, choć wiedział o nich od nadleśniczego oraz z mapy sztabowej, którą miał w mapniku przytroczonym do siodła; kilkakrotnie przekraczał jedynie drogę wylaną asfaltem, ale już spękaną, tu i ówdzie porośniętą wysoką trawą, nikt bowiem tędy od dawna nie jeździł, zresztą zabraniał tego znak drogowy umieszczony na skraju lasu. Nadleśniczy Masłocha opowiadał mu, że prawie przez rok w Gaudach urzędowała jakaś komisja, wioska wtedy wyglądała jak uszminkowany trup. A potem nagle komisja się zabrała i gdy nastało lato ten i ów z właścicieli zaczął nieśmiało przyjeżdżać — najpierw na dzień, na trzy dni, potem na dłużej, nawet z żoną, dziećmi, psem. „Tego lata przyjadą znowu wszyscy" — oświadczył nadleśniczy, co się potwierdzało, ponieważ znowu otwarto nieczynny przez rok drewniany zajazd ze ścianami wyłożonymi modrzewiową boazerią, restauracją i siedmioma pokojami na piętrze. Na razie w restauracji nie było dużego wyboru jedzenia, podawano przeważnie flaki z chlebem i proponowano drogie rosyjskie koniaki. Właściciel zajazdu zatrudniał tylko barmankę i jedną kelnerkę — chyba swoją córkę. Miała nie więcej niż siedemnaście lat, wąskie biodra, pulchne pośladki, ładną buzię z bujnymi naturalnie jasnymi włosami i ostro sterczące dziewczęce małe piersi. Podobał się jej Józef Maryn, kiedy tu od czasu do czasu przyjeżdżał na flaki i kieliszek koniaku. Nietrudno go było wyłuskać z gromady obszarpanych i niedomytych leśników; oni to na razie — przed łatem i przybyciem tych z domów i will — pozostawiali przed zajazdem służbowe ułazy i upijali się własną wódką przywożoną w kieszeniach zielonych mundurów. Ta dziewczyna podawała Marynowi flaki i spoglądała na niego z roztargnieniem dużymi niebieskimi oczkami, uśmiechała się drobnymi nie pomalowanymi wargami i najpewniej tylko czekała, żeby się z nią umówił gdzieś w lesie. Maryn znał kilka takich dziewcząt o podobnym roztargnionym spojrzeniu i z nikłym uśmieszkiem na twarzy, który maskował piekło nienasycenia, dręczącego je w majtkach. Tak naprawdę nigdy żaden mężczyzna nie mógł ich zadowolić, choćby to robił trzy razy na dzień i sześć razy w nocy. Nigdy nie były mężczyźnie za to wdzięczne, nie przywiązywały się, zawsze liczyły, że inny okaże się lepszy. Dopiero koło czterdziestki pojmowały, że lepszych nie ma i nigdy nie będzie. Podobała mu się jednak ta dziewczyna z twarzą aniołka, ponieważ miała wąskie biodra i pulchne pośladki, sterczące dziewczęce piersi i mógł na nią wskoczyć tak łatwo jak na grzbiet swojej klaczy. Tylko, że się bał. Siebie, to jest swego prącia, swoich głupich myśli o prawdziwej miłości. Taka jak ona poszłaby przez las i dziesięć kilometrów do leśniczówki w Mordęgach, lecz tylko po to, żeby ją tam Maryn załatwiał przez kilka godzin. Gdy jednak wyobraził sobie dwa jednostajnie skrzypiące łóżka — jedno na górze a drugie na dole — wróciło poranne uczucie obrzydzenia.

W drodze do Gaud skręcił w stronę bagna Topnik nad jeziorem; wczoraj na ścieżce wydeptanej przez zwierzęta leśne zobaczył zastawione wnyki. Dziś od razu zauważył martwą sarnę, zaduszoną przez pętlę z cienkiego drutu. Sarna była jeszcze ciepła, a więc stało się to przed co najwyżej godziną. Kłusownik, był tu być może o świcie i zastał pustą pętlę, co znaczyło, że znowu przyjdzie tu jeszcze raz. Choć zapewne nie tak zaraz, może w południe albo wczesnym wieczorem. Galopem powrócił więc do domu, wprowadził klacz do stajni, zabrał z domu aparat fotograficzny i zieloną pelerynę z kapturem i powrócił na bagna. Położył się w dole po wywróconym kiedyś przez wichurę jakimś grubym drzewie, nakrył peleryną, wkręcił teleobiektyw, usunął trzy gałązki, które zasłaniały mu widok martwej sarny, naciągnął migawkę i zaczął czekać. Bez zniecierpliwienia, z ową zdumiewającą przyjemnością, której od dawna nie przeżywał. Tak, w swoim czasie bywał na polowaniach, strzelał do kozłów i łani, do samotnych odyńców, do zajęcy na zamarzniętych grudniowych polach, ale to go nudziło. Łowy na człowieka dawały zupełnie inny smak a nawet zapach, to znaczy mdlący zapach własnego potu wywołanego podniecającym strachem, bo miało się do czynienia z istotą niebezpieczną. W lesie było zresztą duszno, z góry lały się potoki wiosennego słońca, olchy na bagnie dopiero rozwijały liście i nie okryta przez nie ziemia silnie parowała. Roje komarów i drobniutkich muszek wirowały nad peleryną, wystarczyło odrobinę wychylić głowę spod kaptura, a kleiły się do oczu, zapychały usta. Od ściółki pokrywającej wykrot ciągnęło bagienną wilgocią. A jednak to wszystko pozostawało bez znaczenia, skoro tam leżała martwa sarna i za godzinę, dwie lub nawet cztery miał po nią przyjść człowiek. „Bezkrwawe łowy" — tak niektórzy nazywali fotografowanie. Oczywiście, krew nie lała się od razu, może trochę później. Zresztą to nie musiała być wcale krew. Ivo Bunder takim samym japońskim aparatem upolował kiedyś pewnego osobnika, gdy tamten od żebrzącego pod luksusowym sklepem ślepca kupował maleńką jak pudełko od zapałek paczuszkę czegoś, czego nie powinien kupować człowiek, który chce być szanowany. Potem tamten powiesił się jak ta sarna. Na Bundera też polowano, zresztą chyba na każdego z ich profesji. Józef Maryn wiele razy czuł się na muszce aparatu fotograficznego, potem niemal ciągle miał wrażenie, że ktoś na niego poluje. Kiedyś, na przykład, poznał młodą poetkę, która go do siebie zaprosiła na noc do ładnie urządzonej pracowni na poddaszu. Aparat podsłuchowy został tak niezręcznie umieszczony na belce pod sufitem, że Maryn opuścił poddasze i wziął dziewczynę do swojego samochodu, wywiózł ją za miasto, dał po mordzie i wyrzucił z wozu. Tak się nie powinno polować na ludzi, choć właściwie to żadna różnica, czy zwabić ma zaduszona sarna czy też dziewczyna, która pisze wiersze. Polowanie musi być jednak zorganizowane ze smakiem, a nie byle jak. Wszystko powinno mieć swój styl, wysoki poziom, przez to przejawia się szacunek dla tego, na kogo się poluje. On, Józef Maryn, ma chyba aż za dużo szacunku w stosunku do tego łobuza, zapewne jakiegoś brudasa z jakiejś zagubionej w lesie wioski. Zresztą, kto wie, kogoś dziś Maryn upoluje? I to jest właśnie takie ciekawe, takie podniecające, że się nigdy nie ma pewności jaka będzie zwierzyna ludzka i co zrobi, gdy migawka pstryknie kilkakrotnie. Gniew, groźby, skamlania, płacz, błagalne wyciąganie dłoni z pieniędzmi — Maryn to znał, a przede wszystkim znał to dobrze Ivo Bunder i nieraz mu opowiadał, czym różni się w takiej sytuacji zachowanie mężczyzny od zachowania kobiety. Nie było takiej, co nie chciałaby podnieść sukienki, ale przecież Bunderowi nigdy o coś takiego nie chodziło. To mógł mieć bez tego całego kramu; najważniejszy był nowy kompromitujący kogoś dokument, który Bunder ukrywał w sobie tylko znanym miejscu. Właśnie zapewne z tymi dokumentami w teczce tak po prostu sobie odszedł, wczesnym rankiem przekroczył pieszo dwa skrzyżowania i wszedł do gmachu policji. A potem nikt, nawet Eryka nie chciała mu wierzyć, że on, Józef Maryn, który niemal całą noc przegadał wtedy z Bunderem — nie domyślił się, co tamten zrobi wczesnym rankiem. Niewiele już miał ufności i wiary w ludzi, ale przecież jak się okazało, ta niepotrzebna odrobina w nim pozostała i dlatego Ivo Bunder bezpiecznie zrobił to, co zrobił. A teraz Maryn leży w leśnym wykrocie nakryty peleryną i czeka na głupiego obszarpańca, który przyjdzie po sarnę. Taki ciemniak chyba nawet nie doceni klasy i wysokiej techniki myśliwego, bo dotąd miał do czynienia tylko z ciągle pijanymi strażnikami leśnymi, którzy na tłustych brzuchach nosili wycofane z obiegu tetetki i wielkimi kaburami obijali sobie kości biodrowe albo jaja, gdy im pistolety zjeżdżały na podbrzusza.

Tak więc pod peleryną było bardzo duszno, Marynowi pot spływał po skroniach i koszula lepiła się do ciała, ale nie żałował tego, że nie siedzi w zajeździe, nie patrzy na dziewuszkę z małymi pośladkami i z roztargnionym spojrzeniem, ponieważ to co robił, przypominało mu nie tak znowu odległą przeszłość i miało w sobie coś bardziej podniecającego niż zabawa z dziewczyną. Bo kiedy się już leżało na dziewczynie, wszystko było niemal zawsze takie samo lub podobne, jednostajne i monotonne jak skrzypienie starego łóżka na górze, należało powtarzać wciąż te same czynności — a tu czekało niewiadome. Kochał swój dawny zawód, nawet to, że na kogoś się polowało a potem było samemu zwierzyną łowną. Poczucie, że jest się zwierzyną też przecież ma w sobie coś piekielnie podniecającego. Maryn uważał, że był dobry w swoim zawodzie, a nawet bardzo dobry, ponieważ bardzo kochał tę grę z sobą samym i z innymi. Niepotrzebna a nawet zgubna okazała się tylko owa odrobina zaufania do innego człowieka. Po prostu lubił Ivo Bundera, nikogo zaś nie wolno było lubić. A nawet jeśli się już kogoś polubiło, to tym bardziej powinno mu się nie ufać. Skąd mógł jednak wiedzieć, co uczyni Ivo Bunder wczesnym rankiem? Tamten wziął ze sobą teczkę, a w teczce nazwiska i informacje i poszedł z tym bagażem na policję. Ale przecież Pan Bóg podobno ulepił człowieka właśnie z błota. *„Idź błota do błota"* — mawiał wesoło Ivo Bunder, brudne sprawy kolejnego faceta czy facetki zamykając w papierowej teczce. A potem ten materiał sprzedał. Pewnego dnia wczesnym rankiem w gmachu policji. Sprzedał jak krowę, jak owcę na targu. Zabił tym swojego przyjaciela, Józefa Maryna. Nie dosłownie — ale w ich życiu nigdy nic nie brzmiało dosłownie. Zresztą, dwa miesiące aresztu śledczego to prawie była śmierć. Co czeka Ivo Bundera? Też śmierć. A przed nią długi okres strachu — można by tak powiedzieć, gdyby Bunder albo Maryn uważali strach za coś naprawdę przerażającego. Zawsze przecież żyli w strachu. Płacono im za strach, życie bez strachu nie miało dla nich sensu. Strach potrafił podniecać jak kobieta, właśnie w wykrocie pod peleryną Maryn odczuwa odrobinę strachu, bo nie wie jak postąpi człowiek, który tu przyjdzie i usłyszy trzask migawki aparatu fotograficznego. Nie, nawet nie usłyszy migawki, bo ona działa bezszelestnie. Potem jednak Maryn będzie musiał do niego podejść, przerzucić na niego swój własny strach, omotać go nim jak siecią i obezwładnić. Świat został tak urządzony, że człowiek powinien się ciągle czegoś bać. Głupcy odczuwają strach przed nieokreślonym, mądrzy mają strach przed ludźmi w dobrze skrojonych garniturach, o wąskich dłoniach kieszonkowców, chłodnym spojrzeniu, mówiących z prośbą w głosie, ale z naciskiem: „czy mógłbym z panem zamienić kilka słów o pewnej nieprzyjemnej sprawie".

CDN

Rys. Janusz Szymański-Glanc